Poezya

HANNA

POEMAT NA TLE POWSTANIA z 1863 R.

NAPISAŁ

GULDENSTERN.

KRAKÓW

NAKŁAD I DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1890.

HANNA.

HANNA

POEMAT NA TLE POWSTANIA z 1863 R.

NAPISAŁ

GULDENSTERN.

KRAKÓW
NAKŁAD I DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1890.

PIEŚŃ I.

Okrężne. — Dwór w Zażewie.

Długo, długo godnego przedmiotu szukałem,
Jako dar potomności — przekazać go chciałem;
Zasięgając pamięcią życiorysów ludzi,
Których zacny charakter zajęcie obudzi.
Wreszcie stanął mi w myśli obraz świeży, nowy,
Który chciałbym przedstawić najprostszemi słowy.

Jako główne siedlisko minionych wydarzeń,
Jako główne siedlisko mych myśli, mych marzeń,
Obrałem miejsce ciche i pełne uroku,
Nie łudzące kunsztnemi świecidłami wzroku,
Miejsce ciche i skromne; gdzie przyroda całe
Rozpostarła widoki, piękne, okazałe;
Gdzie istnieje duch czasu, nie napięty modą,
Gdzie pierś ludzka oddycha miłością, swobodą,
Gdzie w spadku odebrano prócz ojców spuścizny,
Miłość Boga, bliźniego i matki Ojczyzny.

Mały dworek, podparty od zajazdu strony
Filarami, lipami wkoło otoczony,
W ogrodzie z dwóch stron gęste ciągną się szpalery,
W niebo wznoszą wierzchołki swe topole cztery;
Ostatnia sucha prawie, a na onej wierzchu
Bociany ścielą gniazdo; teraz już o zmierzchu
Powróciły, dla piskląt niosąc hojne dary.
W powietrzu brzęczą głośno chrabąszcze, komary,

Pierwsze drzew się czepiając, obaczywszy konie,
Wracające na nocleg, lecą ku ich stronie,
Opędzają się batem, jadący żniwiarze,
Niejedeu za natręctwo śmiercią ich ukarze. —
Drugie wzbite w gromadę, skoro ujrzą dzieci,
Kij, lub kamień rzucony, postrach w nich roznieci.
Po wsi hałas grzechotki jednostajny, głosi
O sprzętach ukończonych. — W kole, koło osi
Umieszczona, pospiesznym ruchem się obraca,
Klekocąc jako bocian, gdy do gniazda wraca.
Wesoło ryczy bydło, pędzone do wody,
Po skwarze całodziennym doznając ochłody;
Jako władca haremu, poważny, na przodzie
Kroczy stadnik powoli, zanurza się w wodzie,
Zagrzmi kiedyniekiedy jak dzwon groźnym basem.
W dali owce gromadą zdążając pod lasem,
Jedne polem, a drugie przez trakt wysadzany,
Beczą, wznosząc za sobą kurzawy tumany.
Na płocie zasiadają perliczki, indyki,
Żegnając zachód słońca wrzaskliwemi krzyki.
Nietoperz pruje skrzydłem powietrzne sklepienie:
Wrony wśród drzew gałęzi znalazłszy schronienie,
Przeskakują, krakając, o miejsca pewniejsze
Ubiegając się wzajem, do snu dogodniejsze.
Puhacz wraz zatrzepoce szaremi skrzydłami,
Pomiędzy spróchniałemi skryty konarami.

Już cisza — gwar ustaje, żuraw opuszczony,
Wyda odgłos skrzypliwy, budząc ze snu wrony;
Na trawnikach wieczorne zapadają rosy;
Gdy chórem na dziedzińcu ozwały się głosy,
Połączone z kapeli wesołemi wtóry,
Skrzypców, fletu, basetli, dochodzą pod mury
Dworu wioski Zażewo, w której mieszka stary
Pan prezes. Do rąk jego składają ofiary
Przodownice żniwiarek, bukiety i wianki
Uwite z kłosów zboża, ruty, macierzanki.

Pan prezes na urzędzie spędziwszy wiek młody —

Zatęskniwszy do ojców prastarej zagrody,
Dobrowolnie zaszczytne zdawszy dostojeństwo,
Wrócił, piękną sąsiadkę pojąwszy w małżeństwo.
Nie cieszył się z nią długo szczęśliwem pożyciem,
Bo z córki jedynaczki Haniusi powiciem,
Rozdzieliła śmierć matkę z dziecięciem na wieki.
Opłakawszy tę stratę, pan prezes opieki
Podjął się nad maleńką, nieletnią sierotą;
Odtąd była mu w życiu osłodą, pieszczotą;
Czuwał nad nią od dziecka i nieraz ze łzami
Rozmyślał nad sierotki przyszłemi losami:
Dziś panienka dorosła i piękna urodą,
Witała się z wieśniaków ochoczą zagrodą;
Z kolei przyciskając do łona żniwiarki,
Składając przodownicom w nagrodę podarki.
Gdy szczęśliwe, wracają do tanecznic grona,
Młodzież za filarami z dwóch stron zaczajona,
Jednocześnie wylewa dwie wody konewki;
Krzyczą niespodziewanie napadnięte dziewki,
Otrząsnąwszy się z wody, nie tracą humoru,
Ale się przyłączywszy do śpiewaczek choru,
Nucą pieśni o pannie, o dziedzicu swoim,
O starym ekonomie, zowiąc go opojem;
O skąpej gospodyni, zbyt srogim włodarzu,
O zbytnią gorliwością przejętym pisarzu;
Porównywując własne i innych dostatki
Nakoniec uchyliwszy parobczak rogatki,
Wystąpił z grona mężczyzn, Hannę prosi w tany;
Kołują przez dziedziniec, żwirem usypany,
Obertasa muzyka raźno grać poczyna,
Zachęcona przykładem panienki, drużyna
Uwija się, by dobiedz w tańcu pierwszej pary,
Która już przed dworcowe zawraca filary.
Parobczak założywszy połę od kapoty,
Przyklękuje, zwinnemi mijając obroty,
(Wraz z Hanną, która zda się nie dotyka ziemi),
Postępujących w tańcu z tyłu i za niemi
I skrzesiwszy hołubca, kłania się panience,
Na zakończenie tańca całując ją w ręce.

Wesoły to dzień bardzo dla wiejskiej młodzieży
Tymczasem stary dziedzic do piwnicy bieży,
By dać służbie wytoczyć beczki wódki, piwa,
Starszych i młódź częstuje; owoce, mięsiwa
Oczekują na stołach; rzędem rozstawione,
Również bułki i chleby na dziś upieczone.
Raźno bawią się ludzie. Dla uprzyjemnienia,
A może w części i dla urozmaicenia,
Pan prezes wszystkich z sobą do ogrodu prosi,
Kędy służba napoje, pokarmy przenosi.

W gaju miejsce się między drzewy znajdowało,
Pośród którego chwasty i zielsko wzrastało,
To miejsce dzisiaj suche i wygracowane,
Świeżym żwirem dokoła równo usypane,
Na którym nie zbywało, albowiem w bliskości
Płynęły dwa jeziora milowej długości,
Po nadbrzeżnych mieliznach wszędy go spotkałeś
I ubyć się nie zdało, mimo że ubrałeś.
Różnokształtne na drzewach lampy wiszą wkoło,
Świecąc jakoby gwiazdki na niebie wesoło,
Od nich blask zapożycza taneczników grono.
Dla kapeli osobne miejsce przeznaczono,
Było to wywyższenie z desek zbitych społem,
Plac cały otaczają długie ławki kołem,
Na których starsi wiekiem miejsca swe zajęli,
Patrząc jako młódź w tańcu raźno się weseli.
Wiele cudów zawierał ów obraz, uroku,
Księżyc blady wyzierał z pomiędzy obłoku,
Odbijając się w wodzie; połysków srebrzystych
Udzielając drzew szczytom, a z pod rozłożystych
Wewnątrz dolnych konarów, latarnie czerwonym
Odblaskiem przyświecały drzewom zapłonionym.
Bez przerwy brzmią rozgłośnie melodye muzyki,
Wśród których wesołości wznoszą się okrzyki,
Uwijają się pary, przy świetle latarek,
Ochoczych parobczaków i raźnych żniwiarek.
Puszczyki wystraszone, uciekły w głąb gaju,
Niezbyt rade z żniwiarzy polskich obyczaju;

Nietoperze pomiędzy zarośla się chronią,
Tylko mnóstwo mszyc nocnych ponad latarniami
Uwija się, trzepocąc zlekka skrzydełkami.

Tak minęła noc cała. Już słońce nad rankiem
Roztoczyło swe blaski promienistym wiankiem;
Część żniwiarzy zastawszy zaśniętych pod ławą,
Muzyka coraz ciszej gra, coraz mniej żwawo;
Radaby już wypocząć i z taktem się mija,
A młodzież bez przestanku na lewo wywija.
Ósma była godzina, gdy syty zabawy,
Szedł każdy ku domowi. Niektórych zpod ławy
Wyciągano przemocą, tak śnili wygodnie.
W południe do kościoła idący przechodnie,
Nieraz z pośród zarośli słyszeli westchnienie,
Przerywające głuche natury milczenie,
Był to bowiem świąteczny dzień, wolny od trudu,
Solennie obchodzony od polskiego ludu.

Po południu w gościnę do dworu przybyli
Dwaj siostrzeńcy prezesa; za nimi po chwili
Zjawił się i ksiądz proboszcz, przyjaciel domowy
I spowiednik nieboszczki pani prezesowej
Często z państwem wieczory długie przesiadywał,
Z prezesem w maryasza, albo w wista grywał,
Hannę znał nicmowlęciem; gdy lat dziesięć miała,
Jemu się poraz pierwszy z grzechów spowiadała.
Siostrzeńcy owi, bracia rodzeni; starszemu
Było Zdzisław na imię, Floryan młodszemu;
Od Zażewa niespełna mieszkając o milę,
U wuja przepędzali wolne życia chwile;
Zasięgając rad w wielu razach, doświadczenia,
Gdyż to człowiek, co jasnym sposobem myślenia
Przewyższał wszystkich innych, w prawości celował,
Nie dziw, że go czy krewny, czy obcy szanował,
Że każdy ze sąsiadów w dostatku, czy biedzie
Pewien był, że się na nim nigdy nie zawiedzie.
Prócz tych prezes miał jeszcze jednego siostrzeńca,
Ale się nie doczekał, by wyrosł w młodzieńca;

Po utracie rodziców sam został na świecie,
Prezes go wychowywał, jako własne dziecię;
Chłopiec zdolny, pojętny, prędko się rozwinął,
Nagle gdzieś niewiadomo — bez wieści zaginął.
Gdy na nic nie przydały się poszukiwania,
Doszedł wreszcie do tego z czasem przekonania,
Że umarł. Płakał po nim i Hanna po bracie
Nie mogła się pocieszyć i dać wiary stracie.

Po powitaniu goście gdy zasiedli w sali,
Rozłożone na stole, dzienniki zastali;
Prezes w nich przeczytawszy z Francyi wiadomości,
W te słowa do zebranych odzywa się gości:
„Srodze mnie zagraniczne gniewają gazety,
Niegodziwie nas łudzą, nie szczędząc podniety,
Aby znów kraj namówić na nowe powstanie,
Niecna ta ich obłuda i wyzyskiwanie;
Gdy Francyi potrzeba zająć państwa Wschodu,
Do naszego przysyła odezwy narodu;
Obiecując swą pomoc, byleśmy powstali,
Niepomna, że nam zemstę zgotuje Moskali.
Gdy się przywabić damy słowom Napoleona,
A bezbronnych i słabych wróg znowu pokona,
Wyprą się nas jak Judasz śmiał się wyprzeć Chrysta;
Boć to rzecz jasna całkiem, pewna, oczywista,
Że powstanie nie może udać się bez broni,
A lud pójdzie za nami — niechaj Bóg nas chroni!
Wam młodym marzyć łacno, ale ja, co pomnę,
Jakie w roku trzydziestym mieliśmy ogromne
Wojsko, broń, amunicyą, a jacy wodzowie!
Jednakowoż — zwycięstwo odnieśli wrogowie.
Któż umie bronią robić? jeszcze wy, wieśniacy,
Prędzej zdać się możecie do takowej pracy;
Ale z miasta młodziki, chowani w pokoju,
W salonach, czyż nawykną do trudów i znoju?
Czyż im to dźwigać kosę, lub porą zimową,
W lesie spocząć pod burką, z wspartą o pień głową?
W każdym razie gdy przyjdzie szczęścia popróbować,
Sądzę, że nie będziecie w tej sprawie folgować“.

Tak mówił prezes, jako wszyscy prawie starzy;
Ale młodzież gorętsza, co rzeczy mniej waży,
Inne myśli taiła — aby zrzucić carów,
Wypędzić zsłowiańszczonych z ojczyzny Tatarów;
Bez względu jakie skutki ztąd wypłynąć mogą;
Jak może zbytni pośpiech kraj przypłacić drogo,
Nie czekając sposobnej do działania chwili.
Tej myśli i siostrzeńcy prezesowscy byli;
Starszy pięści zacisnął, wzrok mu ogniem płonie,
Młodszemn zdało się tchu nie dostaje w łonie;
Snać go niecierpliwiła prezesowska mowa,
Bo gdy zamilkł, przyszedłszy nareszcie do słowa,
Zawoła w uniesieniu:
„Wuju, czyż być może,
Czyż to prawda? powstanie niedługo... ach, Boże!
Co za szczęście nam dożyć tak radosnej chwili!
Więc Zdzisławku, przeczucie częstokroć nie myli,
Wszakżeśmy nieraz społem w samotnem dumaniu,
Rozmyślali, i śnili o przyszłem powstanin!“
„Prawda,“ odrzecze Zdzisław:
„marzyliśmy wiele,
Pomnę nieraz: że staniem na rodaków czele,
Że na wrogów uderzym i w proch ich rozbijem,
Otóż Bóg da, tej chwili radosnej dożyjem!
I chociaż nie na czele, jako szeregowi,
Potrafim się przysłużyć nieprzyjacielowi
I będziem tłuc, zabijać, druzgotać w perzynę!
Bóg zapłać wujaszkowi, za taką nowinę!“

To rzekłszy, uścisnęli obaj wnja dłonie,
On wzamian pocałunek złożył na ich skronie,
Szepcąc cicho:
„Sza, chłopcy, tylko cierpliwości!
Gdyby nie siwe włosy i schorzałe kości
I jabym z wami rnszył, nie pora potemu;
Dokonawszy niemało, czas spocząć staremu;
Na was kolej, jeżeli nie dopniecie celu,
To dzieci wasze, wnuki — choć po latach wielu;
Lepiej jednak gdy rzeczy mniej się lekceważy
I czeka, aż się pora pomyślna nadarzy‘.

Patrząc na zapał ojca, Hanna na uboczu
Otarła łzy, co wcisły się gwałtem do oczu;
Owe łzy tak urocze, niewiastom właściwe,
Których serca są więcej od męzkich wrażliwe,
Którym trudno zataić, co je wewnątrz boli,
Zwłaszcza piękne — gdy nie są sztnczne; mimowoli
Gdy prosto z serca płyną, jako krople rosy;
Takie łezki to modły, płynące w niebiosy.
Takim łezkom Bóg chyba odmówić nie zdoła,
Na szali ważą tyle, co modły anioła.
Łzy Hani do ostatnich policzyć możemy;
Objąwszy szyję ojca, rączkami drobnemi,
Następnie odwróciwszy się do obu braci,
Po kolei ich zapał pocałunkiem płaci.
Niezwykłe uniesienie wzrok jej opromienia,
Gotowości do ofiar, czynów — poświęcenia.

„Oj, młodzież! Do wszystkiego pochopna i skora!
Szkoda, panie prezesie, że nam już nie pora!"
Rzecze proboszcz, zażywszy spory niuch tabaki;
„Ci chcą już biedz, ta płacze, dobry zapał taki,
Prosić tylko, aby Bóg dodał nam wytrwania,
Ja bo przyznam się, jestem tego przekonania,
Że w jakiejkolwiek sprawie pragniem powodzenia,
Trza najpierwej boskiego zawezwać imienia,
Wtedy tylko coś sprawim, gdy będziem mieć wiarę,
Że nienadarmo z siebie czynimy ofiarę;
Że nią okupim szczęście dzieci naszych, braci,
Że za nas Bóg sowicie potomstwu odpłaci.
Boć i święci, jeśliby ufności nie mieli,
Że ich wiarę w tysiące Bóg innych dusz wcieli,
A ztąd się rozwielmożni w chwale Kościół boży,
Pewnieby do poświęceń nie byli tak skorzy".

Tymczasem stół nakryty został do wieczerzy,
Hania starszym nalewa herbatę, młodzieży;
Kiedy prezes z proboszczem siedli do maryasza
Rzecze Zdzisław:
„Jedna rzecz tylko mnie zastrasza:

Czy lud poszedłby z nami, bo w nim główna siła,
Szlachta go bez litości nieraz ciemiężyła".

„Tam gdzie go ciemiężyła, to nadziei nie ma,
Aleć nie wszystka szlachta te miała systema,
Więc Bogu zaufajmy". Prezes mu odpowie.
„Ale dajmy na teraz pokój tej rozmowie,
Może nas kto podsłuchać. As! dama! dwie szóstki!
Cóż tam u dobrodzieja?"

„Dwójka, czwórka — pustki!"

„To źle".

„Ha i cóż począć, mój prezesie, na to!"
Rzecze ksiądz, popijając brak szczęścia herbatą.

„Hanno", pyta Floryan: „cóżeś od tej pory
Kiedym was nie odwiedził, a to już czas spory,
Robiła, zabiegała? opowiedz, kochana".

„Nic nowego" — odrzecze zwolna zapytana;
„Piękna była pogoda, więc całe dnie boże
Spędzaliśmy z ojczulkiem, zajęci na dworze;
On swoją gospodarkę doglądał, ja swoją.
Takie dnie są najmilsze; jak pszczółki się roją
W około ula, wszyscy koło swojej pracy,
A jak to mówią: „bez niej nie będzie kołaczy".
Owe rozpogodnione niebieskie oblicze,
Odsuwa od nas mary, częstokroć zwodnicze.
Wstępuje w nas otucha i nadziei siła;
Lecz o czemże nadmienić jam ci zamierzyła?
Odwiedził nas przez ten czas gość nielada jaki..."

Tu przerwali jej bracia, pytając: „kto taki?"

„Pan Alfons kilka razy był u nas w gościnę,
Gorąco polecony przez ciotkę hrabinę".
Zdzisław skrzywił się nieco, zerknąwszy na brata
Ten zauważył, że zbyt gorąca herbata;

Hanna nic nie zważając, tak ciągnęła dalej:
„Bywało, gdyśmy chwilę sam na sam zostali,
Tak dziwny spostrzegałam wyraz w jego wzroku,
Gdy przysuwał się do mnie, jak przeszłego roku,
Nim jeszcze ową podróż odbył zagranicę;
Jak gdyby chciał wyjawić jakąś tajemnicę,
Ale ja od robótki nie spuszczałam oczu;
Raz mówił mi, że chciałby czytać w ich przezroczu,
Co się we wnętrzu serca mojego dziać może;
Ja wstawszy zagadnęłam: tak pięknie na dworze,
Przepraszam, że wyjść muszę, ogrodnik mnie czeka“.
„Czego pani przedemną tak zawsze ucieka?
Zapytał, gdym już była prawie u drzwi progu;
Udałam, że nie słyszę i dziękując Bogu,
Żem się go raz pozbyła, siadam koło domu,
Wtem słyszę, ktoś się za mną skrada pokryjomu...“

„Aj, panie dobrodzieju, a to się nie godzi!
To podstęp, to oszustwo, wierzaj pan dobrodziej!“
Naraz zawoła proboszcz:
„Ale gdzież, broń Boże,
Każdy musi się bronić; to nic nie pomoże!“
Odrzekł prezes:
„Kto widział?“ Znowu ksiądz nastaje:
„Czemu pan w karty patrzy kiedy je rozdaje?
Niech pan rozda uczciwie, to nikt nie przygani;
Rady sobie nie mogę dać już z ojcem pani!“
Zagadnął nagle Hanię, przerwawszy jej mowę;
„Ja już nie wiem co czynić z panem, tracę głowę!“

Wtedy Hania, przerwawszy tok opowiadania,
Ku rodzicowi z tkliwą czułością się skłania
I rzecze: „Czy to prawda, że się sługa Boży
Tak bardzo na ojczulka kochanego sroży?“

„Oj, kuglarz pan dobrodziej!“ Znów ksiądz: „ani słowa!
„Epstein niech się zawstydzi; Bosko niech się schowa!

Ja pana dobrodzieja i przy córce złapę!
Nie tak łatwo wziąść księdza starego na lapę!"

Tedy prezes, puszczając kłęby dymu z fajki:
„Bajki mój dobrodzieju! bajki, bajki, bajki!"

I dalej grają znowu.
„Dać panom po drugiej?"
Pyta Hania; ksiądz na to:
„Na pani usługi" —
I podawszy jej szklankę, zażywa tabaki.

„Złapałam na uczynku! To dobrodziej taki?
A to zkąd się ta szóstka u niego znalazła?"

„Ależ Boże uchowaj, chyba cudem wlazła,
Pewnie ją pan dobrodziej znienacka podsunął".

„Pfi, księże" — rzecze prezes — „pfi" — dodał i splunął;
„Niewinnych tak oskarżać, a sam to inaczej?"

„Niech się prezes przekona i karty obaczy".

„Zgoda mój dobrodzieju; dajże nam tabaki;
A wy także zażyjcie wraz z nami, chłopaki".
Zwrócił mowę do młodych. Każdy szczyptę chwyta,
On kończy:
„Dobrodzieju, teraz z nami kwita!
Tylko moja córunia gwarząc z tymi chwaty,
Staremu drugiej szklauki nie dała herbaty.

„Ojczulku, czyż być może?" — zawołała Hanna.

„Tak raka spiekła, jakby w kąpieli Zuzanna",
Zrobił ksiądz porównanie.
Ona szklankę stawia
Ojcu, w skroń go całnjąc, z wstydem się wymawia;
Gdy na miejsce wróciła, młodzi nalegali:

„Opowiedz-że nam resztę; dokończ-że: co dalej?"
Zatem ona:
„Zkąd zacząć? A! siedząc przy domu,
Słyszę, ktoś się zakrada ku mnie pokryjomu..."

„Pan dobrodziej znów mami".
„No, proszę mi dowieść!"

Rozległ się znów swar graczów. Hanna pragnie powieść
Mimo to ciągnąć dalej; gdy ze wsnech stron razem
Wszyscy kichnęli, jakby za jednym rozkazem
I nastał śmiech, po którym ucierane nosy,
Plączą się w różne brzmienia, w przeróżne odgłosy;
Do tego — przyłączyło się psów ujadanie,
Które w obiad, kolacyą, czy też na śniadanie,
Zawsze zmysłem trafiły z dworu do pokoi,
Czując, że im ze stołu coś się też okroi.
I dziś przyszły, posłuszne zwyczajowi swemu;
Kot myślał, że szczekanie psów przeciwko niemu,
Siedząc za piecem, pocznie pluć, miauczyć i sapać;
Kanarek przestraszony, że go kot chce złapać,
Przebudziwszy się ze snu, po daremnej trwodze
Śpiewa, wrzeszczy piskliwie, dmąc w gardziołko srodze,
Że aż szyby poczęły brzęczeć w całym dworze.

„Na rany Chrysta!" — krzyczy ksiądz -- „skaranie Boże!
Oszaleć tu w tym zgiełku!

„Ha! ha! ha! hi! hi! hi!"
Śmiejąc się odrzekł prezes. „Ów hałas i śmiechy
Powstały dobrodzieju skutkiem twej tabaki,
Chociaż dałeś nam tylko szczypcik ladajaki;
Ale spróbuj dać więcej".

„O! wiem, ksiądz odrzecze,
To wtedy dyabeł chyba z pośród was ucieche.
Pójdziesz! pójdziesz przeklęte!"
Roztwarłszy drzwi z dworu,
Powypędzał celniejszych przewodników chóru.

Już potrosze stopniowo wrzawa coraz cichnie,
Czasem kiedy niekiedy ktoś z przytomnych kichnie,
Ksiądz już się udobruchał, bo wniesiono raki,
Które on bardzo lubił.

„Księżulku, tabaki!“
Zawołano raz jeszcze, on przecząco kiwa;
Każdy przeto milczący, dar boży spożywa.
U Hanny ksiądz był w wielkich łaskach i faworze,
Więc mu rada przysłużyć, dogodzić w czem może;
Wiedząc o tem, przybierał zwykle po dwa razy.
Po rakach przyniesiono z kaszą bite zrazy,
Hanna, aby pocieszyć nieszczęśliwą psiarnię,
Co może, to ze stołu z resztek dla nich zgarnie.
Gdy się goście do syta kolacyą najedli,
Prezes z księdzem na nowo przy kartach zasiedli;
Hanna zaś młodym dalej tak rzecz opowiada:

„Więc mówiłam, ktoś ku mnie zcicha się zakrada,
Oglągam się: pan Alfons; popatrzył przez chwilę,
I rzekł: „Wszak, panno Hanno, jeśli się nie mylę,
Miałaś pani mieć pilną sprawę z ogrodnikiem?“
Cóż było począć tedy z natrętnym młodzikiem?
Schwytana na uczynku i przelękła srodze,
Oglądam się znów; już go więcej nie znachodzę
A jużem się co tylko tłómaczyć mu miała,
Że ogrodnik nie nadszedł i żem nań czekała.
Później to uczyniłam, by go nie obrazić...“

„Dobrodzieju! chcesz widzę, mnie dziś do gry zrazić“.
Słychać znów głos prezesa: „a to karta służy!
Między nami rachunek jaki?“

„Ech, nieduży!
No, wygrałem od pana złoty, czy półtora“.

„Wielki mi owoc pracy całego wieczora!“
Mówi prezes, śmiejąc się:

„Lecz uciechy wiele“.

Dodał proboszcz: „Jutro się obaczym w kościele,
Niedziela, a tymczasem dobrej nocy życzę“.

„Niech dobrodziej poczeka, to się z nim rozliczę“.

„Jutro mi pan dług zwróci, z pieniędzmi to zdradnie,
A nuż mnie jakie licho po drodze okradnie?“
Odrzecze ksiądz: „dobranoc!“ i do dom odchodzi;
Po nim chcą jechać mimo ciemnej nocy młodzi,
Ale ich zatrzymano.
Nie pomnąc niedzieli,
Do dziesiątej nazajutrz snem błogim zasnęli,
Obudwom jednakowe snuły się widzenia
Alfons gdy z Hanią ślubne obrączki zamienia,
To niby ją uwozi, na rączym rumaku
I widzą jego postać, wysmukłą, we fraku,
Jak ciśnie dłoń kuzynki, spoziera jej w oczy,
I obydwóch zazdrości serce robak toczy.
Szukają z nim zaczepki, sposobność się zdarza,
Wyzywają rywala, to znów u ołtarza
Wydarli mu ofiarę, przedmiot swej miłości,
I możeby tak śnili do nieskończoności,
Gdyby się były nagle drzwi nie otworzyły,
I nie poczuli raptem chłód dosyć niemiły,
A po nim z wymierzonych razów ból dotkliwy,
Niezbyt wprawdzie, lecz w sposób przenoszący, żywy,
Z marzenia w rzeczywistość I pierzchły obrazy,
A w uszach zahuczały natomiast wyrazy:

„Wstawać! Czas do kościoła, dość już tego spania!
Przyrzekam najsolenniej, że nie dam śniadania,
Jeśli za minut dziesięć na dół nie zejdziecie,
Hartować się zawczasu potrzeba wam przecie“.
Cóż było zatem począć na argument taki?
Ubrali się corychlej, jak mogli, biedaki;
W niespełna dziesięć minut będąc już gotowi,
Zeszli, dzień dobry życząc Hannie i wujowi.

„Tak to lubię! aż miło“; wuj widząc ich, rzecze:
„Teraz już wam posiłek ranny nie ucieczel

Haniu, uracz ich dobrze; bowiem innym razem
Gotowi nam zniewagi niepopuścić płazem;
Człek syty, łacniej niźli naczczo się przeprosi,
Zwłaszcza posiłkiem z rączek nadobnej gosposi.“
To też wkrótce już młodzi wszystko przepomnieli.

Hanna o świcie wstawszy, pomimo niedzieli,
Od rana już obszedłszy całe gospodarstwo,
Choremu włodarzowi zaniosła lekarstwo,
Po które przyszła prosić przelękniona żona.
Jeszcze za czasów księstwa! ba! Napoleona,
Służył on w pułku gwardyi i na stare lata
Przybywszy do Zażewa, by odwiedzić brata,
Który tu obowiązki piastował pisarza,
Został we wsi, objąwszy zajęcie włodarza.
On Hanię jeszcze małą, na ręku piastował,
Skoro więc posłyszała, że Prot zachorował,
(Tak mu było na imię) corychlej pobiegła,
By zbadać stan chorego, bo lekarka biegła,
Wyręczyć się w tej sztuce nie da byle komu,
Poczem przez wieś czemprędzej wróciła do domu,
Kędy razem z kucharzem piekła bułki, ciasta,
Po które zbyt daleko było słać do miasta.
I przysmażała w cukrze owoce jesienne,
Takie było zajęcie Hanny całodzienne.

PIEŚŃ II.

Sąsiedztwo.

Podczas pory jesiennej, snujące się chmury,
Rozpostarte na niebie, piętrzą się jak góry;
To znów w kształcie całunów, wiszą na błękicie,
A każdej z nich na ziemi spostrzeżesz odbicie;
Cienie rzuca chwilowe — z za krawędzi onych —
Widać szczyty gór, lasów, słońcem oświetlonych,
I gdy pchane powiewem, zmieniają postacie,
I ziemia wciąż w odmiennej przedstawia się szacie.
Pagórki na wpół żółte, to wpół się zielenią,
Dalej rżyska, połyski złotemi się mienią;
Nad niemi rozpostarte siatki z pajęczyny,
Owdzie znów podorane czernią się równiny.
Na drodze, w kształcie wiru, wiatr piasek nanieci,
Włościanie powiadają, że to dyabeł leci;
W powietrzu unoszą się długie włókna białe,
Czepiając się drzew szczytów, których liść w wspaniałe
Jak kwiaty, różnobarwne szaty przyodziany,
Babskiem latem od ludu, ów czas jest nazwany.
Wreszcie w polu, za wzgórzem, sterczą stogów szczyty,
I kościołek, dachówką czerwoną pokryty;
A przy nim chaty ciągną się dwoma rzędami,
Pośród których wieśniacy zdążają parami,
W strojach świątecznych; dziewki w sukniach kolorowych,
Głowy ich strojne w chustki, o barwach ponsowych.
Bez obuwia dochodzą do stopni figury,

Gdzie wkładają trzewiczki.
Nagle z poza góry
Ukazał się kocz, w cztery wiatronogie konie;
Wszystkich twarze zwróciły się ku onej stronie,
Wszyscy — Hannę — prezesa, poznawszy z oddali,
Jako ojca — ukłonem szczerym powitali:
On ich wszystkich pozdrowił; kocz przebiegł wzdłuż sioła,
Przystanął; ojciec z córką weszli do kościoła.

Po chwili znów opodal słychać turkot drugi
I toczy się landara; w liberyi sługi,
Rozlega się huk z bata: raz wtóry, raz trzeci,
Przejechawszy opodal przechodzących kmieci,
Powoli przed kościelne zawraca podwoje;
Zstępuje z niej po stopniach na dół osób troje;
Pierwsza, najurodziwsza, wolnym stąpa krokiem,
Dumnym, nakazującym mierząc wszystkich wzrokiem;
Druga młodsza, ubrana w strój nieco jaskrawy;
Mężczyzna zdał się zdradzać wojaka z postawy:
Siwe wąsy, sumiaste brwi cal długie blisko,
Wieśniacy im po drodze kłaniali się nisko;
Szepcąc z cicha, z podziwu pokręcając głową;
Wyraz: „kapitanostwo“ wtrącając co słowo.
W samej rzeczy kapitan był to z swoją żoną,
Ona młoda, powabna, jemu już liczono
Przeszło kopę lat z górą, siedemdziesiąt prawie;
Mówiono, że się pysznią oboje jak pawie;
Może chcieli, by znano w całej okolicy,
Godność męża, jak również jego połowicy;
Gdyż zostawszy małżonką pana kapitana,
Kapitanową była powszechnie nazwana.
Wypada nam się bliżej poznać z stadłem onem;
Kapitan służył w gwardyi pod Napoleonem,
Do rangi porucznika doszedłszy, raniony,
Syty sławy, powrócił w swe rodzinne strony,
Osiadłszy na wsi, z młodą towarzyszką życia;
Nagle śmierć do wiejskiego zajrzała ukrycia
I zabrała ją z sobą; przejęty żałością
Rozstaje się kapitan z swoją majętnością,

Przeniósłszy się do miasta; życie miejskie, troski
Nie zdołało ukoić; więc kupił dwie wioski,
Przy Zażewie; z prezesem zawiera znajomość,
Ów nie wiem czy umyślnie, czy przez nieświadomość,
Począł go tytułować panem kapitanem;
Ztąd cała okolica tem go czciła mianem.
Z początku owa nazwa może go zdziwiła,
Lecz później, wyobraźnia tak ją przyswoiła,
Iż często opowiadał, jako słynął z męstwa,
Wyliczając, gdzie odniósł nad wrogiem zwycięstwa.

Córki już miał dorosłe, gdy wszedł w związek drugi,
Z młodą panną, ubogą, która czcząc zasługi
I stopień kapitana, przyjęła go chętnie,
Bo przyszłość jej się zdała uśmiechać ponętnie.
Choć na wsi miała kościół, by dumie dogodzić;
(Z ujmą kapitanowej było pieszo chodzić
Kiedy prezes koczykiem jeździł w cztery konie),
By zyskać na powadze i na dobrym tonie,
Przyćmić wszystkich sąsiadów, landarę kupiła
I zaszczyt kościołowi w niedzielę czyniła,
Tak swoją obecnością, jako muszka drobna,
Której dojrzeć we wnętrzu róży niepodobna.
Landara owa miała kształt długi, kańczaty,
Z tyłu stał za nią sługa w liberyi bogatej,
Trzymając za kutasy dwa, długie, zielone,
U szczytu i z landary tyłu umieszczone.
Do wnętrza wchodziło się aż po stopniach pięciu;
Ztąd rósł dla niej szacunek w ludowem pojęciu.
A początek musiała mieć bardzo daleki,
Z kształtu przypominała Augustowskie wieki:
Drzwiczki były tak ciasne, że gdy nasze panie
Do jej wnętrza wchodziły, musiały ubranie
Dolne, które nazwisko nosi — krynoliny,
Przygniatać, czepiając się stopni, jak drabiny,
Oglądając się, wchodząc, czy owe drzwi jeszcze
Nie chwycą zawiasami ich sukien, jak w kleszcze.
Przy schodzeniu też same niewygody były,
Pan kapitan na szczęście chudy, nie otyły,

Najpierwej wyskakiwał i podawał ramię,
Z brzegu siedzącym córkom, a następnie mamie;
Proboszcz większy by kłopot miał z swoją osobą,
Szczęściem mógł się wymówić nerwową chorobą,
Od zamówin i częstych próśb kapitanowej;
Pieszo wolał pospieszać na obiad gotowy,
Gdzie zwykł był udowodnić dłuższem posiedzeniem,
Pożytek używania ruchu przed jedzeniem.
 Lecz zwróćmy do tej chwili znów opowiadanie,
Gdy kapitan i razem z nim przybyłe panie,
Zdążają do kościoła i pokłon oddawszy,
Ołtarzowi, znajomym do woli, łaskawszy
Prezesowi i Hannie; innym od niechcenia,
Siedli, w sam raz trafiwszy na czas Podniesienia.

Po Mszy kapitanowie zapraszają gości,
Bowiem to dzień imienin przypadał jejmości.
Gdy się wszyscy zjechali, po sutej wieczerzy,
Rozpoczęły się tańce wesołej młodzieży;
Szkoda tylko, że miejsca w salonie zamało
I dziesięć par w nim ledwie tańcować zdołało;
Fortepiano lat kilka niestrojne, piskliwe,
Dźwięczało w różne tony; ostre, czasem tkliwe, —
To słychać ich nie było; obluźnione młotki,
Brzęczały, jak dziecinne dzwonki i grzechotki;
Z tem wszystkiem wieczór bardzo mile przepędzono,
Po kolacyi zebrało się wesołych grono,
Panny siadły na ławce, przy ścianie, gdyż mało
Było krzeseł, a dużo osób się zjechało,
Poczem zdrowie wypiła młódź kapitanowej,
Aby ich rozweselić, mąż jej temi słowy
Wstawszy, począł wspominać swe dawne przygody:

„Słuchajcie, moi drodzy! Pomnę, będąc młody,
Wydzierżawiłem ojcu dwa wielkie jeziora;
A że postu wielkiego nadejść miała pora,
Ojciec mój ryb nałowić kazał rybakowi
I kiedy już się miało, pomnę, ku zmierzchowi,
Pojechaliśmy razem, by połów zobaczyć.

Słonko schylone do snu, poczęło majaczyć;
Przyjechawszy pod wieczór do miejsca połowu,
Patrzymy: coś wielkiego wypłynęło z rowu
Przez śluzę do jeziora: pluszcze się po brzegu;
Ojciec krzyknął, woźnicy kazał zdwoić biegu;
Ów potwór na mieliznę przypływa z szybkością,
Wije się, pełza jak wąż, rzucając z wściekłością:
Szczupak! Dalibóg, szczupak! Ojciec na mnie krzyczy;
Na szczęście, jechał z nami kucharz i leśniczy.
Pochwyciwszy powrozy, biegną ku mieliźnie
Przelękli, czyli zdobycz im się nie wyślizgnie;
Wziąwszy pomoc rybaków, co opodal stali,
Po ciężkim trudzie wreszcie przemódz ją zdołali.
Wyciągnąwszy potwora, na wozie drabiastym,
Kładą łbem ku przodowi, a hakiem śpiczastym
Za szczękę przyczepiwszy, wiążują powrozem;
Ogon jeszcze na łokci trzy wlókł się za wozem.
Przywozimy do domu zdobycz osobliwą,
Kucharze marynaty robią z niej cożywo;
Pięćdziesiąt było beczek: cała okolica
Przez miesiąc żyła z łaski mojego rodzica.
Otóż — dodał po chwili; jakem się dowiedział,
W tego szczupaka wnętrzu węgorz wielki siedział
I zemdlił nieszczęsnego, że wił się z boleści".

„Kapitanie," rzekł prezes: „pomnisz, że trzydzieści
Było beczek marynat znów z tego węgorza;
Szczupak pono nadpłynął z Bałtyckiego morza".
Niezmięszany tem wiarus, rzecze:

„Mój sąsiedzie,
Spostrzegam, że się pamięć traci po obiedzie".

„Wybornie! Doskonale!" Zawołały panie,
Śmiejąc się.
„Opowiedz nam więcej, kapitanie;
Lecz o swoich przygodach w wojsku; to ładniejsze,
Niż powieść o szczupaku; prawdopodobniejsze".

„Jakże można nie wierzyć? Wszak to rzecz prawdziwa!
Myślicie państwo, szczupak rzadko taki bywa?
Daję słowo: dwa lata temu, raz z wieczora,
Powracając do domu, nad brzegiem jeziora,
Patrzę: a tu na wodzie wielka kładka leży,
Słowo honoru! Niechaj sąsiad temu wierzy!"
Rzekł, zwracając z zapałem do prezesa mowę;
„Spozieram, zadziwiony, łamię sobie głowę,
Kto wpadł na myśl szczęśliwą, aby most zbudować?
I mówię sam do siebie: wartoby spróbować
Przejść po nim; gdy niebawem bez szwanku dochodzę
Do przeciwnego brzegu, przeląkłem się srodze,
Bo most zwarł się podemną i pod wodą tonie. .
Skaczę szybko: stanąwszy już na drugiej stronie,
Jakież było zdziwienie moje, gdym obaczył,
Że w szczupaka mniemany most się przeinaczył!
I płynął po powierzchni spokojnej jeziora
Rybak może zaświadczyć, gdyż tego wieczora
Przyszedł do mnie, o owym szczupaku donosząc".
To rzekłszy, powstał: zdrowie prezesowskie wnosząc,
Spoglądając z ukosa na swego sąsiada,
Głoszącego, że wiarus kłamstwa opowiada,
Powołując się w mowie na świadectwa ludzi,
Których chyba archanioł na sąd ze snu zbudzi.
Owym był Piotr, dość bliski krewny kapitana;
Muszę o nim pomówić, gdyż dziwnie dobrana
Była tych ludzi para.
W wzajemnej przyjaźni
Żyjąc, jeden drugiego kędy może, drażni,
Że do nich to przysłowie łacno się stosuje,
„Kto z kim się czubi, tego najwięcej miłuje".
Piotr gdzie mógł, wszędy kłamstwa kapitana głosił,
Mówiąc, że zaród kłamstwa już w pieluchach nosił;
Że pierwszy wyraz w życiu przezeń wymówiony,
Był kłamstwem.
Za co znowu — ów mszcząc się z swej strony,
Dowodził, że cyrograf Piotra znalazł trafem:
Piotr miał onym podobno kiedyś cyrografem
Djabłu prawdę zaprzedać, jak Twardowski duszę.

Co do mnie — to obydwom szczerze przyznać muszę,
Że jak można najtrafniej, sądzili się wzajem;
Piotr w szkołach był podobno nieukiem, hultajem;
Chlubił się, wspominając swoje szkolne czasy,
Że ukończył półtory gimnazyalnej klasy.
Wygnany, już nauce czasu nie poświęcał;
Młódź do brania przykładu ze siebie zachęcał.
Gdy zdrowie prezesowskie wypito, znów panie
Jęły prosić, zaklinać:

„Panie kapitanie,
Opowiedzże nam jaki epizod wojskowy!“

Kapitan opowiadać zawsze był gotowy;
Droży się niby, wreszcie na ich naleganie,
Szczęśliwy, że go same o to proszą panie,
Zanim zaczął opowieść, spojrzał na kuzyna
I z tryumfem dowodzić w te słowa poczyna:
„Myślicie moje panie, że to pod Grochowem
Chłopicki sam zbił Moskwę; otóż — moim słowem
Ręczę, że tak nie było; na lewej miał stronie
Dowodzić mój pułkownik, którego obronie
Polecił lewe skrzydło jenerał naczelny.
Otóż — gdy wrzała bitwa, gdy grad kul piekielny
Począł świstać nad uchem, prażyć ogniem zbliska,
Ów tchórz czmychnął jak zając, z swego stanowiska;
Wygrzebawszy gdzieś w rowie głęboką kotlinę,
W niej losu bitwy czekał, przeszło przez godzinę,
Dopiero, gdyśmy wrogów siły w proch rozbili,
Powraca przed szeregi.

Szczęściem w onej chwili
Ujrzeli go żołnierze, przy rowie stojący.
Po bitwie, wódz Chłopicki, głównodowodzący
Podjechał do nas: mową pełną uniesienia,
Chwalił dowódzcę, wojska sławiąc poświęcenia;
Nakoniec pułkownika przed rycerstwem całem
Co tylko zamianować miał już jenerałem;
Gdy wojsko, zasłoniwszy go sobą jak murem:
„Wodzu!“ Wskazując na mnie, wykrzyknęło chórem;

„Nie pułkownik dziś odniósł zwycięstwo nad wrogiem,
Lecz ten młody porucznik: świadczym Panem Bogiem!
Niebezpieczeństwo bystrem on okiem przeniknął
I skoro tylko spostrzegł, że pułkownik zniknął,
Kędy bój wrzał najsroższy, wpadł, jako lew srogi,
Krzyknąwszy: „Za mną wiara!“ Przestraszone wrogi,
Pierzchają; a pułkownik tymczasem tam — w rowie,
Siedział trwożny; niech o tem czterech wam opowie
I zaświadczy z pośród nas, kolegów żołnierzy:
Przysięgnie! Jeżeli im naczelnik nie wierzy!“
Po tem co zaszło, chwila nastała milczenia;
Niepodobna opisać wodza zadziwienia:
Z pogardą pułkownika od stóp do głów zmierzył,
Mnie ręką po ramieniu trzykrotnie uderzył,
Rzekłszy: „Wierzę wam chłopcy! — Zuch z ciebie mój synu
W nagrodę twego męstwa i chlubnego czynu,
Mianuję cię kolego młody: kapitanem.“
W kilka już dni po bitwie, było to nad ranem,
Przechodzę się spokojnie przed swoją kwaterą:
A tu jadą trzy wozy, zaprzągnięte cztera
Końmi, a na nich beczki sterczą jako smoki,
Było ich aż sześćdziesiąt.
Żołnierze bez zwłoki
Poczną pić; tydzień cały huczały wiwaty
Na cześć moją, bo byli do wszystkiego chwaty.
Oprócz wina, pomarańcz było ze sto skrzynek.“

„Niema co mówić bratku; piękny upominek!“
Rzecze Piotr, gdy kapitan kres położył mowie.
„To tylko mi nie może pomieścić się w głowie,
Jako wódz mógł tak swoich rozpajać żołnierzy.“
Pobladł wiarus — brwi zmarszczył — i włos mu się jeży
I spojrzawszy na Piotra, oczyma lamparta,
Zawołał:
„Kiedyż spokój dasz mi raz u czarta?
A to skaranie boskie, istne sądy boże!
Wiele się w ciasnej głowie twej zmieścić nie może!“

I byłoby się sporem skończyło i wrzawą,
Gdyby się panny były nie zarwały z ławą;

Trzasła nagle pod niemi i wszystkie niebogie
W jednej chwili z łoskotem padły na podłogę.
A że różne, padając, przyjęły postawy,
Więc rumiane, jak pączki róż wstają z pod ławy,
Niechcąc krewnym przysługę wyświadczywszy dużą,
Bo sprzeczka byłaby się zakończyła burzą;
A tak obaj na pomoc nadbiegli z pośpiechem,
Cała sala wesołym rozebrzmiała śmiechem:
Jedni śmieją się z onej przygody ławkowej,
Drudzy — ów wspominając epizod wojskowy
I tryumfy wiarusa, radują się szczerze;
Nawet go narysował Zdzisław na papierze,
Dość zręcznie pochwyciwszy rysy kapitana.
Skoro wrzawa ucichła, proszono Floryana,
By co zechciał zaśpiewać.

Siadłszy, pieśń zanucił,
Myśli ku innej stronie słuchaczów odwrócił:
Pieśni onej początek od słów się zaczyna
Smętnych: „Siedzi w klateczce więziona ptaszyna.“
I wszystkich serca pełne wesela radości, —
Teraźniejszość wspomniawszy i dzieje przeszłości,
W jednej chwili, jednakiem uczuciem zawrzały,
Myśli wszystkich przytomnych w jedną myśl się zlały,
Myśl wolności, swobody.

Przestał Floryan nucić,
Każdy bał się z marzenia błogiego ocucić;
O, bo ludzie w niewoli choć czasem weseli,
Gdy o smutku chwilowo swoim zapomnieli,
Jedna pieśń, wyraz jeden wolności wspomniany,
Odnowi w nich chwilowo zagojone rany.
Floryan głos miał czysty, dźwięczny, bardzo miły
I choć brak wyrobienia było w nim i siły,
Posiadał takie rzewne i smętne odcienia,
Że myśl wszystkich przenosił w krainę marzenia.

Skończył Floryan pieśń, patrząc na Hanię w milczeniu,
I westchnął. Dziwny wyraz tkwił w jego spojrzeniu,
Ale nikt nań nie baczył, pogrążon w dumaniu,
Floryan z Hanną w braterskiem żyli przywiązaniu

Od lat dziecinnych, wzajem kochali się szczerze,
Nieraz jej upominki przynosił w ofierze;
Ona je przyjmowała wdzięcznie, z ręki brata,
Lecz do serca jej domysł żaden nie kołata;
Za miłość bratnią płaci siostrzaną miłością
I szczere zaufanie wzajemną ufnością.
Tym razem więc jak wprzódy, spojrzenie przesłane,
Wzięła za myśli, uczuć wzajemną wymianę;
Za jednę z owych chmurek, co na sercu młodem
Osiędzie i trucizny wpija się zarodem.

Rzekła więc do Floryana:
„Powiedz drogi bracie,
Zkądże taka tęsknota spadła dzisiaj na cię,
Żeś pomniał tę pieśń smętną wśród wesołych grona?“

„Hanno“, Floryan odrzecze; „czasem myśl tajona,
Myśl smutna, nawinie się niebawem do głowy:
Ni zgadnąć zkąd jej wątek, zkąd bierze osnowy;
Niekiedy serce dziwna ogarnie tęsknota,
Niezwykła jakaś żałość tajnie jego miota,
Iż naprzekór — gdy innych upaja wesele,
Nam się marzyć i smucić chce — pragniem zbyt wiele:
Pragniem szczęścia, którego świat nam dać nie może,
Boć trudno, aby człowiek, to stworzenie boże,
Mógł we wszystkiem dojść marzeń swoich, żądz i chęci;
Wygasłaby dla Stwórcy cześć w jego pamięci.
I z nadmiaru radości, w tem szczęściu tak błogiem,
Zdałoby mu się wreszcie, że i on jest Bogiem.
Dla tego Bóg go zbłąkał, jak pośród ciemności,
Iż nieświadom, niepewien swych losów — przyszłości;
Bo sprawiedliwość boska jest niewyrównana:
Każdemu zsyła zbawcę — alboli tyrana;
Często, gdy czynią zadość własnemu zachceniu,
Nie wiedzą, iż działają w Wszechstwórcy imieniu;
Swojego posłannictwa nieświadomi sami
I że im On przeznaczył, by byli sędziami.
Ztąd — często gorsi lepszych na tym świecie sądzą,
Ale gdy w nieprawościach coraz bardziej błądzą,
Bóg zsyła na nich sędziów — znów w tamtych obronie“.

„Filozofujesz, bracie, jak ksiądz na ambonie!
Pięknie, widać niedarmoś nauki studyował;
Nie tak, jak ja, com młode lata przepróżnował!“
Na to Piotr się odzywa, który obok siedział:
„Ja — bo przyznam, dalibóg, żem nigdy nie wiedział,
By można za czemś tęsknić.
Poznawszy Terenię,
Oświadczam się z kopyta, zaręczam — i żenię:
Poco tu tęsknić, marzyć o jakimś tam świecie!
Czyż nie dosyć przestronno w gubernii, w powiecie?
Wszak jest i z kim pomówić i nie łakniem chleba,
I oczek nie skąpiły nam nadobnych nieba:
Ot, naprzykład, asińdzki Hanny Dobrodziki!“
Dodał, Hanny całując dłoń; „a wy, młodziki,
Wiecznie za czemś tęsknicie“.
I cmoknął w dłoń znowu.
Hannę rumieniec oblał od tego narowu;
Bo miał narów, że cmokał zbyt, gdy pocałuje

„Pięknie mi się kanalia dobrodziej sprawuje!“
Nagle za uchem jego wykrzyknie głos srogi.
Hanna zbladła; on mało co nie zemdlał z trwogi;
Bo trzeba wiedzieć, był to tchórz, jakich jest mało;
Chował się pod pierzynę, gdy kiedy zagrzmiało;
W wieczór z domu nie wyszedł na dwór, za nic w świecie;
A przed psami własnemi uciekał, jak dziecię:
(Niesłychana rzecz, by psy panów swych kąsały!)
O grosz kłócił się z ludźmi, a pola leżały
Odłogiem, niezorane — i w trójnasób tracił,
Gryzł się, ale w uporze grosza nie dopłacił.

„Pięknie, mój mości Pietrze! Patrzaj, dobrodzika,
Jak to twój mąż przy pannach udaje młodzika!
No, proszę! To zuch Pietrek! Klnę na Imię Pana!“
Tu Piotr, ockły z przestrachu, ujrzał kapitana,
Za którym stała, śmiejąc się, pani Piotrowa.

„A niech cię piorun trzaśnie!“ Gdy przyszedł do słowa,
Wyszeptał drżącym głosem ochłonąwszy z trwogi.

„Nic nie szkodzi, Piotruniu, nic nie szkodzi, drogi!“
Mówi pani Piotrowa, śmiejąc się radośnie.
„Toć to jest rzecz zwyczajna, róża w pierwszej wiośnie,
Zwykle jest powabniejsza, niż zwiędła, przestała;
Będziesz mi męża zwodzić, filutko!“ dodała,
Patrząc na zapłonioną od wstydu dziewczynę
I palcem wygrażając: „oj, dziecię jedyne,
To zupełnie jak matka; świeć jej duszy Panie!
Chodź, niech cię ucałuję, moje ty kochanie!“

„To wzór żon! to mi żona! dobra, pobłażliwa;“
Rzecze kapitan; „moja zaraz się rozgniewa,
Kanalia; gdy na panny choć zerknę oczyma!“

„Przynajmniejś raz rzekł prawdę: oj, za nos cię trzyma!“
Śmiał się Piotr.

„Dobrze robi: chwała Bogu, chwała!“
Odparł wiarus: „I tobie takaby się zdała,
Inaczej, nierazbym ją kłopotu nabawił!“

„No, proszę, tybyś może jej się hardo stawił?
„Wątpię bardzo!“

„A może; a cobyś dał za to?“

„Ciszej; otóż nadchodzi!“

„Krótko, węzłowato
Powiedziawszy, dla kobiet winnim mieć szacunek“.

„Gdy strach, wtedy powinność wzywasz na ratunek
I nią sam się tłumaczysz przed sobą, drugimi!“

„No, kiedy tak, to czekaj, zaraz zobaczymy!

„Nie stawiaj się tak hardo; później, później o tem!“

„Pierw piorun łyśnie, zanim ryknie silnym grzmotem,“
Dorzucił prezes; słysząc ostatnie wyrazy;
„Eh, porzućcie na stronę te wasze urazy!
Obaj zuchy jesteście“.

„Bo proszę sąsiada,“
Mówi kapitan: „on mi tu bredzi i gada,
Że ja boję się żony“...
Z ostatniemi słowy,
Spotkawszy w dali groźny wzrok kapitanowej,
Przyciszył mowę nieco:

„Widzisz, nie mówiłem?“
Przyciął Piotr; nie czekając, odwraca się tyłem,
Wszcząwszy znowu, przerwaną z Floryanem rozmowę:
„Otóż, prawił, ja miałem do nauki głowę,
Ale mi się nie chciało ślęczeć nad książkami
Wolałem z gniazd wybierać pisklęta; z chłopcami
Biegać i figle płatać: co po tym rozumie?
Człowiek dosyć, gdy pisać, podpisać się umie.
Ożeni się, to świat go szanuje i ceni:
Bo proszę cię, ci ludzie mądrzy i uczeni,
Nic im z tego nie przyjdzie, znędznieją, wybledną;
Gdy umrą, co świat o nich powie, już im jedno.
Byłeś pan gdzieś? Ot, nazwy onej przepomniałem“...

„W Wenecyi“.
„Prawda, kiedyś w historyi czytałem,
Że to miasto podobno największe na świecie“.

Tu przerwał mu kapitan drwiąco: „Co on plecie,
Jam czytał w jeografii, tam najlepsza szkoła“.

„Ale gdzież tam“.
„Wierzaj mi“.
„Któż upór zmódz zdoła?
Niech się stanie na twojem, mój ty kapitanie;
Powiedzże mi, Zdzisławie, więc to tam chrześcianie?
Katolicy jako my, a włoska ich mowa?“

„Bredzisz znów, Piotrze, Niemców znałem; ani słowa
Po polsku nie mówili, a chrześcianie prawi;
Każdy pomnę, tam Boga po niemiecku sławi“.
To mówiąc, pan kapitan podniósł się z siedzenia,
Snać mu przyszły do głowy z lat dawnych wspomnienia

I prawić począł: „W Lipsku, pomnę, chłopiec młody,
Gdy mnie Niemki ujrzały, dla mojej urody
Wydzierały muie sobie; każda listy pisze,
Aż mi wszyscy zazdroszczą szczęścia towarzysze
Choć im go nie zbywało; bowiem cudzoziemce
Wielce sentymentalnej w smak wpadają Niemce
Nic dziwnego, boć chłopy niemieckie — poczwary!
Każden filozof, wdzieje na nos okulary,
Długie włosy zapuści, brudny, nieumyty;
Przytem wcale szacunku nie ma dla kobiety,
Ale ją do najniższej posługi używa".

Niebawem poczyna się sprzeczka dosyć żywa;
Na drugiej stronie sali młódź rozweselona,
Wiedzie spory o taniec. Pono nieskończona
Byłaby znowu kłótnia, gdyby w tejże chwili
Nie zagrzmiał raźny mazur; wszyscy podskoczyli,
Ustała naraz wrzawa, bezpotrzebne zwady;
Młodzież bieży ochoczo, jak z wspólnej narady;
Tak to zwykle wśród ludzi, gdy kłótnia się wkradnie,
Jeden w myśl ich uderzy i nimi owładnie.
„Któż to taki domyślny?" Ozwano się wszędy,
A kapitan, przerwawszy tok swojej gawędy,
Podszedł do fortepianu, tam spostrzegłszy Hannę,
Ciągnie ku niej prezesa;
„Na Najświętszą Pannę!
Na rauy Chrysta!" woła, w niezwykłej radości:
„To mi córka! Niebo ci takiej pozazdrości!"
I pospieszył jej chwałę głosić ccraz dalej.
Mazur coraz rozgłośniej brzmi, coraz wspanialej,
Pot kipi, serca gorą, pierś zniża się, wzdyma;
Grającej każdy wdzięczne śle dzięki oczyma
I z taktem posuwistym wzdłuż salonu kroczy;
Wszystkich myśli szał tańca w jedną myśl jednoczy,
A z każdym krokiem coraz zapału przybywa;
Boć krew w pląsach nie krzepnie, ale się rozgrzewa.
Hannę ktoś w grze zastąpił.
Ośm par do mazura
Znów biegnie; w pierwszej parze prezesowska córa

Tańczy z panem Stefanem. Różową sukienkę
Prawą rączką unosi, on za lewą rękę
Ją trzymając, w podkówki obcasów uderza,
W miejscu trzykroć zakręca, do innych par zmierza;
Podają sobie dłonie. kołem jednem stają,
Raz na prawo, to znowu na lewo skręcają,
Rozdzielając się szybko, na koła drobniejsze,
Które znowu, z kolei, dzielą się na muiejsze.
Panny z sobą, mężczyźni wzajem łączą dłonie,
Tańcząc w dwóch, dużych kołach: po przeciwnej stronie,
Naprzeciw siebie stają szeregami dwoma,
Razem się uchwyciwszy obiema rękoma,
Tworzą koło; do środka prezesównę proszą.
Ona podrzuca chustkę; wszyscy ją podnoszą.
Lecz ubiegł młodzież Zdzisław, podniósłszy chusteczkę.
Za rączkę ima zręcznie piękną kuzyneczkę,
Trzy razy z nią wzdłuż sali przebiegł lekki, chybki,
Pląsając jako na dnie wody złote rybki;
A objąwszy jej kibić smagłą, ręką prawą,
Wykręca z nią na miejscu kilka razy żwawo.
Pan kapitan tymczasem spieszy po węgrzyna
I w te słowa do młodzi zebranej poczyna:
„Panowie, skończyliście, teraz — na podziękę,
Niedość jest ucałować panny Hanny rękę,
Trzeba wypić jej zdrowie, jak się przynależy,
Ale, ot, tak, na klęczkach, kochana młodzieży!“
I przyklęknął przed Hanną, chyląc kielich do dna,
Młodzież za nim.
„Panowie, jam tego niegodna!
To cześć boska; dziękuję!“ mówiła zmięszana.

„Nie słuchać! Pić na klęczkach! Padać na kolana!“
Komenderuje wiarus: „nie słuchać wymówek!
Bo męskie serce mięknie od niewieścich słówek;
A zwłaszcza od słów takiej nadobnej pieszczotki,
Dla której piołun łyknąć, a zdałby się słodki.
Hej, Franku! Przynieś wina, przynieś nam szampana!“
Krzyknął na służącego.

„Proszę, jaśnie pana,
Odparł tenże: kazała pani przed godziną,
Ażeby na strzemienne zachować to wino".

Na te słowa zmarszczywszy wiarus brwi ponuro,
Pięścią grzmotnął w stół; lice zaszło mu purpurą,
Zmierzywszy połowicę groźnym z gniewu okiem,
Iż raz pierwszy zadrżała przed małżonka wzrokiem,
Ryknął:
„Niechaj raz będę panem w swoim domu!"
Wszyscy rażeni, jakby uderzeniem gromu,
Zamilkli! tylko talerz zesunął się z stoła
I brzęcząc po podłodze, wirował do koła.
Służący bieży, trwożny, spełnić polecenie;
Szczęściem, prezes patrzący na owo zdarzenie,
Widząc kapitanowej bladość, pomieszanie,
Iż wyjść już zamierzała, rzecze:
„Kapitanie
Co się tobie dziś stało? obrażać małżonkę,
Gdyśmy się tu zebrali, uczcić jej Patronkę?
Zastanów się, na Boga! Chodź, przeproś ją z nami;
My jej tak zasmuconej, przecie wyjść nie damy!"
Po tych słowach, zastąpił drzwi kapitanowej;
Widno, że brzmienie szczerej przyjacielskiej mowy,
Odczuł w sercu kapitan; zbliża się ku żonie,
Ale ona to widząc, wraz gniewem zapłonie,
Twarz odwraca od niego:
„Pani, czyż się godzi?"
Mówi prezes: „mąż panią przepraszać przychodzi.
Zastanów się, co czynisz; Bóg przebaczać każe!"

„Nie przywykłam do tego; zbyt ciężkie potwarze!"
Odrzekła rozdąsana: „puśćcie mnie w pokoju!"

„Więc pani zwiesz pokojem, trwanie z mężem w boju?
Zmiękcz się, pani, na Boga, nie czyń nam zmartwienia!
Haniu, tyś jest powodem tego poróżnienia,
Chodź tu i do próśb naszych dołącz swoje prośby!"

„Otóż, panie prezesie, nie zlękną mnie groźby!“
Rzecze kapitanowa: „ale gdy chcesz winę
Zrzucić na twoją córkę, znalazłeś przyczynę,
Dla której dam się skłonić.“ To mówiąc, dłoń białą
Podaje małżonkowi, który kląkł nieśmiało
I począł ją całować. W tę chwilę służący
Wniósł na tacy ów napój, rozterki kojący,
A często jak tym razem, wichrzyciel pokoju;
Kapitan zwyciężony z żoną w wstępnym boju,
Chwyciwszy się kieliszka, jak deski zbawienia,
Wyszeptał błagająco:
„W dzień twego imienia,
Przyjąć racz, żonko, szczerze wychylone zdrowie!“
I łyknął kielich do dna, po ostatniem słowie.

„Wiwat kapitan! wiwat!“ wołano wesoło;
„Wiwat kapitanowa!!“ i stanąwszy w koło,
Każdy znów za przykładem idąc kapitana,
Pił żony jego zdrowie, ugiąwszy kolana,
A potem chórem:
„Kiedy nam się pora zdarza“.
Zanucą pieśnię: „pijmy zdrowie gospodarza!“

Wtem naraz, poza domem, huk zagrzmi donośny,
Podobny strzałom z rusznic, to cichy, to głośny;
Niby sygnał placówki, samotnej na przodzie,
To ogień tyralierki, stojącej w odwodzie;
Wreszcie grom szeregowych i ryk dział w oddali,
Iż obecni zamilkli i chwilę słuchali.
Nakoniec jednomyślnie przed dom wybiegają;
Zwyczaj ten u nas zdawna woźnice chowają,
Że nad ranem przychodzą, z własnego natchnieuia,
Uczcić trzaskaniem z batów, dzień panów imienia;
Za co ci im dziękując, co łaska, ślą w darze;
Niedość, że ich nagrodzą szczodrze gospodarze,
Ale niejeden z gości dorzuci rubelka;
A więc z tego uciecha dla nich, radość wielka.
Pani kapitanowa lubiąca zaszczyty,
Pospieszyła przez służbę przesłać dar obfity,

Sama wyszedłszy przed dom, za przykładem gości,
Podziękować prostakom, za znak przychylności.

„Każdy swój towar chwali“, skoro powrócono,
Z uniesieniem woźniców zalety sławiono:
„A co!“ mówił Piotr: „Bartosz mój zuch, chłop nielada!“
Kapitan o swym Wojtku cuda opowiada;
Pan Stefan zalet także swojemu nie szczędzi,
Tak każdy w owem kółku ochoczo gawędzi.
Aż Zdzisław z Hanią przyszli prosić kapitana,
Gdyż powieść jego sprzeczką o tańce przerwana,
Więcej ich zajmowała, niż przechwałki one.
Zanim rozpoczął mówić, zerknął wpierw na żonę:
Dostrzegłszy to spojrzenie Piotr półgłosem rzecze:
„Moi państwo! „Co się odwlecze — nie uciecze!“
Dajcie mu na dziś pokój!“ I śmiejąc się głośno,
Dodał: „Bądźże asani nad mężem litośną!“
Do siedzącej naprzeciw nich kapitanowej,
Która, czy nie spostrzegłszy tego zwrotu mowy,
Czy też nie dosłyszawszy, bowiem w onej chwili
Służący lody, ciasta, cukry obnosili,
Poczynie niemi częstować z kolei sąsiady.
Mąż jej przeciwnie, słyszał; jednak, nie chcąc zwady,
Udał, że nie uważał — i rzekł temi słowy:

„Jakoś mi ta powiastka, przyznam, wyszła z głowy;
Pozwólcie ją odłożyć raczej na raz drugi,
Zresztą — do opowieści czas już niezbyt długi;
Wszyscy mimo próśb moich, spieszą się do domu,
Kazali pozaprzęgać konie pokryjomu.
Mam nadzieję, staremu wybaczyć raczycie,
Który wam opowiadać radby całe życie!“
I wziąwszy z służącego rąk tacę z lodami,
Począł częstować, mówiąc:
„Temi łakociami
Wszakże nikt się nie przeje; proszę, jeszcze trocha!“

„Nie mogę już, jeżeli mnie kapitan kocha!“
Słychać głosy wokoło: „Dalibóg, nie mogę!“

„Bo rzucę“, znów nalega: „tacę na podłogę,
Jeśli brać nie będziecie!“

„Patrzcie, to mi srogi!“
Mruknął Piotr: „jak doświadczać wciąż pragnie podłogi!
Szczęście tylko, że razy niecelnie wymierza,
Mamy dowód z owego przed chwilą talerza“.

„Gdzież on jest?“ Zawołano zewsząd jednym głosem —
Szukając go, szczęśliwym dopuszczenia losem,
Leży jaknajspokojniej, nietknięty, bez skazy
Każdy pocznie oglądać talerz kilka razy,
A szczerby nie znalazłszy, woła:

„Istne dziwo!
Cud stał się, moi państwo!“ I bieży, co żywo,
Pokazać osobliwość oną sąsiadowi.
Najwięcej to uciechy sprawiło Piotrowi
I ryknąwszy radośnie:

„Niechaj wiarus żyje!“
Zdrowie kapitanostwa po raz wtóry pije.
Za nim drudzy; oboje szlą wszystkim podzięki,
Słowem, to pocałunkiem, to ściśnieniem ręki.
Wtem, ktoś doniósł, że stoją w pogotowiu konie,
Więc goście poczną szukać ubrania na stronie;
Młodzież znosi okrycia, mufki i kapturki:
Wśród zgiełku prezes nie mógł odnaleść swej córki.
Dzień już świtał; pomimo prośby kapitana,
Goście się rozjechali; przybywszy w dom zrana,
Twardym snem śnili pewnie, znużeni zabawą;
Wspominając wśród drogi wydarzenie z ławą;
Piskliwe fortepiano; powieści wojaka;
Niejedni może we śnie przyśnili szczupaka
I bitwę pod Grochowem; mostek na jeziorze.

Głucho było i ciemno już w Zażewskim dworze,
Gdy prezes z jedynaczką wróciwszy nad rankiem,
Z kwadrans byli zmuszeni przeczekać przed gankiem,
Pukać do drzwi, zanim je otwarto przed niemi
I wybiegła z oczyma służba zaspanemi.

Gospodyni przywykła wstawać porą ranną,
Po niedługiej naradzie, rozstawszy się z Hanną,
Pospieszyła do doju krów, ku podwórzowi;
Ta zaś idzie, wydawszy obiad kucharzowi,
Pozdrowić ojca, zanim do snu złoży głowę,
Ukończywszy z włodarzem i rządcą rozmowę.
I długo jeszcze boskiej wzywała opieki,
Ledwie o wschodzie słońca zmrużywszy powieki.
W jej uszach brzmią wciąż smutnie pieśni onej dźwięki,
Kryje twarz w śnieżnych dłoniach, włos obfity, miękki,
Długiemi sploty spływa po dwóch stronach onej,
Słońce olśniło lice, w modłach zatopionej.

PIEŚŃ III.

Święta Bożego Narodzenia. Wypadki w Warszawie.

Rok ośmset sześćdziesiąty zbliżał sie do końca,
Już coraz światło bardziej zniżało się słońca;
Dnie poczęły się krótkie i ziemię wspaniałe
Przywdziewającą szaty, jednostajno białe,
Przysłania niebo szare, chmurne, zasępione,
Drzew szczyty zielonością niegdyś umajone,
Opadły dawno z liści, jako szkielet z ciała;
Niby siwizna, lśni z nich warstwa śniegu biała;
Kryjąc pośród konarów, czarnych kruków stada,
Których nowa wciąż płynie, krakając, gromada;
Chowając dzióby w skrzydła, najeżywszy pierza.
Po śniegu stropić łacno ślad dzikiego zwierza,
Które wyszło z kryjówki, żeru szukać zrana;
Jeziora już zamarzły: ówdzie wyrąbana
Przerębel, ówdzie czernią się od sanek tory;
Tam łyżwami wycięte różnokształtne wzory.
Budynki gospodarskie mienią się w oddali;
W Zażewskim dworze światło w jadalni się pali,
Nakryto do obiadu.
Pod obrusem siano;
Już tylko z upragnieniem z okna wyglądano
Niecierliwie, na niebie pierwszej gwiazdki błysku;
Gdy wzeszła, po kolejnym, braterskim uścisku
Życzono sobie, łamiąc opłatki nawzajem,

Dosiego roku, dawnym polskim obyczajem;
Poczem zupę, potrawy wnosili lokaje,
A było potraw dziesięć: zupy dwa rodzaje.
Pierwsze miejsce przy Hannie ksiądz proboszcz zajmował,
Przyjaciel prezesowski po nim następował,
Pan Stefan; tak go w całej okolicy zwano;
Chociaż mu szósty krzyżyk blisko przyznawano,
Był jeszcze kawalerem.
Od dziecka się prawie
Chował razem z prezesem i na jednej ławie
Szkolnej, obaj siedzieli. Zamieszkał w granicznej
Wsi z Zażewem, po przodkach dalekich dziedzicznej.
Prócz prezesa i braci, Floryana, Zdzisława,
Siedziała jeszcze młoda pani Bronisława,
Siostrzenica pierwszego, a siostra rodzona
Dwóch ostatnich, na Wilią także zaproszona;
Z chłopczykiem małym i dwiema dziewczynkami,
Mąż jej bowiem wyjechał za interesami,
Do Warszawy i tamże pół roku miał bawić,
Nie chcąc samej małżonki w domu pozostawić,
Oddał ją pod wujaszka prezesa opiekę;
A że ich majętności były niedalekie,
Rozgraniczone tylko od siebie jeziorem;
Przez ten czas prezes obu trudnił się nadzorem.
Hania, uszczęśliwiona z pobytu kuzynki,
Przeznaczyła dla dziatek małe upominki.
Po skończonym obiedzie, drzwi się otworzyły,
Dzieci, które ostatnich potraw nie zdążyły
Przełknąć, z niecierpliwości, wbiegają do sali:
Tam mnóstwo na choince świec z wosku się pali,
Wstążek błyszczy z papieru różnokolorowych
I pierników toruńskich. Dzieci zachwycone,
Blaskiem świec i połyskiem świecideł olśnione,
Chwytają w drobne rączki, wręczone im dary.
O! bo zadowolnienie dzieci nie ma miary!
A zwłaszcza w pierwszych chwilach; gdy miną te chwile,
Dzieci cieszą się jeszcze, ale już nie tyle,
Najszczęśliwsze to czasy, niewinne i błogie,
Obfite w wyobraźnię, we wrażenia mnogie;

W uczucia czyste, święte, niezszarzane pyłem.
I ja niegdyś tem życiem niewiniątek żyłem!
Widzę siebie, maleńkiem dzieciątkiem, aniołem,
Spojrzę w świat, ach! niestety, z marzeń ochłonąłem!
Znikły wszystkie lat onych niewinnych rojenia,
Znikły już bezpowrotnie, daremne życzenia...
Lecz wróćmy do powieści.
Prezes wszystkich gości
Jak zwykł, na noc zaprosił; oprócz jegomości,
Który w gronie przyjaciół nie mógł długo bawić,
O północy miał bowiem pasterkę odprawić.

Nazajutrz, gdy zebrali się wszyscy na kawę,
Zastali już przy stole Hannę, Bronisławę;
Obie z kościoła wczoraj powróciły skrycie,
Mimo to dały rano zbudzic się o świcie.

Sny pełne wyobraźni! o senne widzenia!
Któż zdolny wytłómaczyć jest wasze znaczenia?
Jakże często widzimy drogie nam osoby,
Których ciała już dawno pochłonęły groby,
Widzim jakby na jawie, rozmawiamy z niemi:
Zkądże ta styczność ludzi żywych, z umarłymi?
Albo widzimy rzeczy, tak nadprzyrodzone,
Rzeczy naszym rozumem niewytłómaczone;
Rzeczy, z których nam żadna przez myśl nie przechodzi:
Skądżeż ta wyobraźnia bujna w nas się rodzi,
Kiedy ciało po trudach, bezczynnie spoczywa?
W jakich światach nadziemskich on duch nasz przebywa?...
Hanna kiedy raz senne skleiła powieki,
Zawezwawszy wpierw boskiej w modlitwie opieki;
Zaczęła dziwnie marzyć:
Widzi obłok zdala,
Który jasność niezwykła ze wszech stron okala
Na nich zdał się spoczywać w cierniowej koronie,
Orzeł biały, z oszczepem zakrwawionym w szponie,
Usiłując nim przeciąć u nóg swych kajdany;
W górze tkwiła kotwica, krzyż nawpół złamany.
Hanna orła ułatwić chcąc oswobodzenie,

Pragnie dłonie wyciągnąć; próżne wysilenie!
Opadają bezwładne; krzyknęła z rozpaczy.

„Hańdziu, na miłość boską! Haniu, co to znaczy!
Czyś ty chora?“ Wołała ze snu przebudzona
Bronisława.
„Nie droga!“ na to zagadniona:
„Zatrwożyłaś się pono mym krzykiem ogromnie;
Miałam sen, dziwny bardzo; nie lękaj się o mnie;
Śpij, opowiem go jutro“.
I cisza nastała,
Hanna jeszcze w zadumie pogrążona cała,
Gdy znowu snem zwabiona, przymknęła źrenice,
Znów marzy.
Widzi tłumem napchane ulice,
Dalej plac, a pośrodku — kolumna żołnierzy,
Do skazanego na śmierć młodziana, z luf mierzy...
Hani sen się przerywa; wylękła, z posłania
Podnosi się, zanosząc od płaczu i łkania.

Wilią Nowego Roku jak zwykle spędzono,
Pan Stefan i ksiądz szczupłe powiększyli grono,
Hanna coś była smutna, owo w śnie widzenie
Wywarło na jej umysł — niemiłe wrażenie.
I dzień cały przed ojcem swą żałość ukrywa,
Wiedząc, jaka w nim miłość płonie ku niej żywa;
Wieczorem do jadalni weszła wolnym krokiem,
Starając się nie spotkać, minąć z wszystkich wzrokiem.
Baczne oko rodzica natychmiast pojęło,
Że niezwykłe wrażenie córkę owładnęło,
Sposępniał także, zmarszczki wyszły mu na czoło;
Mimo to, przemógł smutek, i począł wesołą
Gawędkę, zabawiwszy nią całą drużynę.
Wtem zegar ścienny bije dwunastą godzinę;
Prezes stawia butelki dwie starego miodu,
Trunek to ulubiony polskiego narodu;
Wszyscy piją z kolei, składając życzenia,
Wzajemnie na rok przyszły: szczęścia, powodzenia.

„Prezesie,“ rzecze Stefan; „jak czas szybko schodzi!
Lat trzydzieści... Byliśmy jeszcze ludzie młodzi;
Wieleśmy to już odtąd przebyli kolei!
Wiele spełzło na niczem, zamiarów, nadziei!...
Świat ten zawsze jednaki i nic się nie zmienia
I chociaż myśmy boskie jak i on stworzenia,
Przetrwa nas i przeżyje. Weźmy przedmiot mały:
Owe twarde kamienie, kruszce i kryształy,
Których opór przemaga rozum ludzki, sztuka
I rozlicznych gałęzi wszechstronna nauka;
Wszystko przetrwa człowieka: to niebios przestworze,
Które okiem rozumnem w głąb przeniknąć może;
Owe gmachy, świątynie, skały jednolite,
Mogące dłonią jego w gruz, w pył być rozbite;
On, który telegrafy wynalazł, koleje;
Przed którego potęgą zwierz dziki truchleje,
W proch marny się zamieni; tylko ducha siła
Nad wszystkie go żyjące twory wywyższyła;
Że tak słaby, nieświadom swej śmierci godziny,
Podejmuje olbrzymie, chwały godne czyny;
Bo czemże człowiek? Duchem, a ciało — narzędzie,
Którem on gdzie chce włada i kieruje wszędzie.
Cóż jest duch? Jestto tchnienie Boże, które działa
I nadaje dowolny ruch czynnościom ciała.
Czem jest życie? Cierpieniem; w bólu się rodzimy,
Bólem ową wędrówkę doczesną kończymy.
Czem jest śmierć? śmierć — zagadką przyszłego żywota
I przedwstępne niejako świadomości wrota...
Bo czemu dziecię płacze, gdy na świat przychodzi?
Wewnętrzne mu przeczucie szepce, że się rodzi,
Aby cierpieć i skończyć to życie cierpieniem...
Niewinności! najmilszem tyś serca wspomnieniem!
Wspomnienia w późnym wieku lat błogich, dziecinnych,
Przy domowem ognisku zgromadzeń rodzinnych,
Jakże umysł poddają rozkosznym marzeniom!“

„Wspomnienia, rzecze prezes; nierówne wspomnieniom;
Czternaście już lat temu, wśród przyjaciół grona,
Piliśmy miód tak samo; wtem nieboszczka żona,

Trąciwszy się kieliszkiem, wnosi zdrowie moje,
Aż tu szkło jak przecięte pęka w nim na dwoje;
Dziwną wówczas w jej rysach dostrzegłem odmianę
I symtoma choroby dotąd mi nieznane.
Podawszy mi dłoń białą, blada i znużona,
Wyszeptała do ucha:
„Skoro umrze żona,
Mężu, przelej swą całą miłość na to dziecię,
Które miejsce ma matki zastąpić na świecie;
Kochaj także Czesławka, jak własnego syna,
Sierocie niechaj dom twój — własny przypomiua".

„Maryo", rzekłem: „co mówisz! co ci jest, na Boga,
Zkądże takie przeczucie, zkąd ta myśl złowroga?
Czyż mogło to niewinne z kieliszkiem zdarzenie,
Wywrzeć na twym umyśle tak wielkie wrażenie?"

„Nie kochanku", odrzekła: „ale mi się zdaje,
Że nie dla mnie to ziemskie życie, obyczaje,
Że nie dla mnie wiatr wieje i to słonko świeci,
Że nie dla mnie małżonką być i chować dzieci."
Przy tych słowach ostatnich łzy z ócz jej wytrysły,
I jako krople rosy na rzęsach zawisły.
Sprawdziło się przeczucie, chorobą złożona,
W trzy miesiące umarła najgodniejsza żona;
Umarła — jam pozostał samotny na świecie,
To jedno jest pociechą moją, lube dziecię",
Rzekł; wskazując na Hanię i otarł łzę z powiek.
„Ale czyż to cios jeden, przeżyć musi człowiek?
Drugie dziecię, przybrane, bez wieści zginęło,
Już odtąd z górą blisko lat dziesięć minęło.
Chodź tu do mnie, pociecho starości jedyna,
Twoje lice dziś smutne; matkę przypomina;
Chodź tu do mnie", objąwszy twarz córki rękami,
Czoło jej gorącemi darzył całunkami.
Ona klękła, do ust swych cisnąc ojca dłonie,
Na ten widok obecni zamilkli na stronie.
Naraz spostrzegłszy prezes, że miasto wesela,
Jego smutek i gościom wszystkim się udziela,

Rzecze:

„Dosyć tych wspomnień; nastaje Rok Nowy,
Nie trzeba gorzkich myśli przypuszczać do głowy!
A Bóg wie, co ten młodzik nam znowu przyniesie,
Może sfinks nadsekwański, co obrońcą zwie się
Uciśnionych, znów czegoś wielkiego dokona.“
Ksiądz, który domyślił się z tych słów Napoleona,
Wziąwszy je za umyślny dla niego przycinek,
Odparł:

„Mości prezesie! bez drwinek, bez drwinek!
Bo te usta co szydzą, jak z Chrystusa katy,
Będą kiedyś całować z czcią kraj jego szaty:
Gdy znów sztandar wolności dobędzie z pod gruzów.“
Proboszcz był wielbicielem cesarza Francuzów,
Prezes zaś przeciwnikiem — naodwrót zażartym;
Więc przerwie:

„Co tu począć z człekiem tak upartym?
Powiedzże mi dobrodziej, cóż Napoleon trzeci
Zrobił, że się tak wielce zasłużył waszeci?
Chyba, iż co rozpocznie tego nie dokona,
Naprzykład; w Krymie stracił ludzi z ćwierć miliona,
Aby dowieść Francuzów odwagi i męstwa,
Nie umiejąc skorzystać z owoców zwycięstwa.“

„Bo widzi pan dobrodziej, musiał się rachować,
Z swymi sprzymierzeńcami; we Francyi panować
Nie tak to łatwo; naród płochy, niespokojny,
Gotów się rewoltować, nawet w czasie wojny.
Wspomni pan moje słowa; przyjdzie czas niedługo,
Że jednego będziecie zdania z boskim sługą;
Napoleon to geniusz! On chce błędy stryja
Naprawić — i nietylko, że nam w słowach sprzyja,
Lecz przyjdzie czas, że Polskę wesprze swą potęgą;
Tylko wykombinować musi głową tęgą,
Kiedy będzie do czynu najtrafniejsza pora,
Natenczas do Moskali: „Hej, fora, ze dwora!“

„A wie ksiądz, ja mówiłem seryo, nie na żarty.“

„Wracam honor.“

„Proboszczu, będziemy grać w karty?“

„Nie, bo grając rok cały możnaby się znudzić.“

„Roku Nowego losem przestańmy się trudzić.“
Rzecze Hanna: „przedstawi nam się w swej osobie,
Ja bo tam nic dobrego zeń nie wróżę sobie.“

„Czemu?“ pytają bracia wraz z panem Stefanem;
Rozmowa skończyła się dopiero nad ranem.
Tak spędzono Rok stary;
Marzec nastał słotny,
Suchy, zimny, pochmurny, naprzemian wilgotny;
Śnieg pruszy, zasypując ślady białym szronem,
Jak piach, gnany w pustyni uraganu gromem,
Przysłaniając świat ciemną w nocy kiru szatą,
Która się odsłoniwszy, gdzieś niegdzieś, bogato
Zalśni gwiazd metalicznych przeźroczym błękitem,
Niby rój świętojańskich robaczków przed świtem
I znów spada zasłona, leci zawierucha;
Nadąwszy się, wiatr srogi prądem w przestrzeń dmucha,
Skręcając drzew szkielety, chyli do pokłonu;
O, biada podróżnemu! co niebaczny skonu,
Zapuszcza się w tę porę, w puste okolice,
Bo ku manowcom psotne wciągną go błądnice,
Lub zatrwożą w ciemności lśniące wilków oczy,
Zanim krwiożercza ciżba zewsząd go otoczy,
Sporządziwszy zeń godną swych biesiad potrawę.

W Zażewie, na kominku, lśni światło jaskrawe;
Płomień w górę się wznosi, słychać drzazg trzeszczenie,
W rurze mu odpowiada przeciągłe świszczenie,
Podobne do sygnałów, pośród nocnej doby,
Lub krzyku sów, gdy wróżbą są czyjejś żałoby,
Wiatr kominem się wciśnie i płomień przydusi,
Że ów, miejsca nie mając, aż zaglądać musi
Na zewnątrz i oświetlać w stołowej komnacie
Siedzące i gwarzące półgłosem postacie.

„Dosyć już, moje drogie; dosyć tych nowinek!“
Rzecze prezes, powstawszy: „czas iść na spoczynek“.

„Natychmiast“; jednogłośnie ozwały się panie“.

„Co to jest?“ rzekł znów prezes: „słychać psów szczekanie
I trąbkę, ktoś po nocy widać do nas jedzie“.
I wyszedł; w małą chwilę gościa z sobą wiedzie,
Którego rysy trudno rozróżnić dokładnie,
Bo wieczorem, w ciemności, obaczyć nie snadnie;
Ale gdy się zblizyli nieco do komina,
Spostrzegłszy panie naraz jasnego blondyna,
Obiedwie wykrzyknęły:
„Janek! Janek wrócił!“
Na ów głos, pan Jan szybkim ruchem się odwrócił,
I skoczył ku małżonce, z radosnem obliczem;
Popatrzywszy nań chwilę; spostrzegłszy, że w niczem
Czas nie zamienił nadobnej i pięknej twarzyczki,
Namiętnie ucałował ją w oba policzki.
Potem Hannę przywitał; łyknąwszy nalewki,
Której prezes mu radził wypić dla rozgrzewki.
Grzejąc ręce przy ogniu, temi pocznie słowy:

„Niegodziwy do drogi, jest ten czas marcowy!
Br... przeziąbłem do kości;“ czując, że pytania
Posypią się i przerwą tok opowiadania,
Ciągnie dalej:
„Uprzedzić muszę państwa z góry,
Że dlatego warszawskie porzuciłem mury,
Aby ważne wam przywieść nowiny z stolicy,
Które chciałbym rozgłosić w całej okolicy;
Zdarzenia tam niezwykłe zaszły temi dniami;
Wystawcie sobie:
Idę przed Bernardynami,
Ludzi moc, że się przez nich przedostać nie mogę;
Posuwam się, torując sobie łokciem drogę;
Księża dążą z pogrzebem, prosto od kościoła,
Jeden niesie krzyż w ręku; tłok, ścisk, zgiełk dokoła,
Śledzę bacznie, zkąd wrzawa

Od przeciwnej strony
Kozacy uderzają na lud zgromadzony;
Grzmi zdala tentent koni, świst nahajek, płazów
I kondukt pada również ofiarą ich razów.
Tłumy stoją spokojnie, jak mur, niewzruszone,
Ufne w swoją bezbronność i niebios osłonę;
Urągając brutalnej najezdników sile:
Wtem wojsku każą, aby przeszło w znacznej sile
Przez Krakowskie Przedmieście — i w boczne ulice
Lud wyparło.
Czy znacie Malcza kamienicę?
Otóż więc naprzeciwko kamienicy onej
Jest wąskie bardzo przejście; tam lud zgromadzony
Ze wszech stron, bohatersko wytrwał w swym oporze;
Dowodzący spostrzegłszy, że ludu nie zmoże,
Komenderuje: „Ognia!“ Wojsko na cel bierze:
Strzela... Przebóg! Ofiara pada po ofierze...
Unosząc pięciu trupów, rozszedł się lud wreszcie;
Wzburzenie umyslami wstrząslo w całem mieście:
Myślano już na seryo rozpocząć powstanie,
Gdy o los miasta możni zlękli się mieszczanie;
Wysłali delegacyą wprost do Gorczakowa,
On przyrzekł jej żądania spełnić, co do słowa,
Wylękły tem, co zaszło: ową krwią przelaną;
Wojsku natychmiast, zewsząd ustąpić kazano,
Żałoba. Ani zabaw, teatru: Warszawy
Nie poznałby nikt, — skłonnej do uciech, zabawy;
Wrze nowem życiem cała, jakby odrodzona;
Młodzież straż honorową trzyma: ozdobiona
Kokardami; na rogach ulic w rzędzie stoi
I nigdzie nieporządków niema i rozboi.
Stutysięczny lud zebrał się w dzień Marca drugi,
Dla oddania poległym ostatniej posługi.
I cisza była wielka w całem zgromadzeniu,
Każdy szedł za pogrzebem poważnie, w milczeniu:
Iż dosłyszećby można szelest skrzydeł muchy.
Niedługo tentent kopyt odezwał się głuchy,
Ukazało się czterech strażaków ogniowych,
W szarych kurtkach i w hełmach na głowach spiżowych.

Cechy rzemiosł rozlicznych stąpają rzędami,
Różniące się odmiennej barwy chorągwiami;
Nasi i protestanccy księża, wolnym krokiem
Idą: końca orszaku nie dościgniesz okiem.
Pierwszy z nich pieśń zaczynał: z melodyą słowa
Powtarzają następni, a pieśń ta grobowa
Coraz bardziej niknąca, w miarę oddalenia,
Przypominała echa stopniowe odcienia,
Powtarzające pieśni w górach samotnika,
Lub dumkę po poległych, starego lirnika.
Za księżmi trumien czarnych pięć się ukazało
Z cierniowemi korony; u szczytów ich biało
Nazwiska męczenników, wybite gwoździami
I wieka ozdobione takiemiż krzyżami.
Niesiono je na barkach, z głowy odkrytemi,
Dalej — szereg rabinów, szedł zwolna za niemi.
Brodate ich postacie, w strój czarny przybrane,
Na głowach takież krymki i czapki futrzane;
Oni — chociaż się różnią wiarą, obyczajem,
Przejrzeli raz, że Polska ich rodzinnym krajem:
Że w tej ziemi dziadowie ich od wieków żyli
I także cześć należną zmarłym dać przybyli.
Wyznanie mojżeszowe do jednej rodziny
Odtąd z nami należy, boc to także syny
Jako my, matki Polski; ona ich wydała,
Więc im droga jednako jej przyszłość, jej chwała.
Jako my, równie pragną swobody, wolności
Tej ziemi, w której legły ich praojców kości.
I braćmi odtąd wszystkie dzieci jednej ziemi,
Już niechęci kastowych niema między niemi.
Wszyscy wszystko Ojczyźnie poświęcić gotowi,
Może raz gwiazda szczęścia zabłyśnie krajowi —
Jako w sercach nastąpi i w losach przemiana:
Skon wrogom. Niechaj żyje Ojczyzna kochana!
Niechaj wie o tem teraz cała zagranica,
Że odżyła nanowo polska męczennica!
Że lud pragnie w pokorze uprosić u Boga,
Aby On mu dopomógł, zrzucić jarzmo wroga.
Nieszczęsnemu dłoń bratnią Europa poda,

Z jej pomocą powróci wolność i swoboda.
Religii katolickiej zgwałcone zwyczaje,
Muszą ująć się za nią katolickie kraje!
I muszą barbarzyńców, co krzyż zbeszcześcili,
Wypędzić; krucyatę zwołać w jednej chwili,
Za wstawieniem Stolicy Świętej Apostolskiej.
Tak musi wyjść z Europy rząd carsko-mongolski,
Niechaj kędyś, w Azyi, podbija narody,
Niech skraca dzikim, równie jako on, swobody,
Panuje despotycznie. Lecz tu, gdzie oświata,
Sztuki, przemysł celują, ponad resztą świata,
Tu — gdzie rozum człowieka przewagę stanowi,
Niewolno samowładnie rządzić Moskalowi!
Niewolno do bezbronnych strzelać na ulicy,
Niewolno! Tu nie katy, nie zbójce, nie dzicy!
W wiekach średnich ujść mogła tyrania bezkarnie,
Gwałty i świętokradztwa, grabieże, męczarnie;
W tych czasach za narodem ujmą się narody
I biada gnębicielom wiary i swobody!"

„Pozwól się ucałować, mój Jasiu jedyny!"
Rzecze prezes: „za one niezwykłe nowiny:
Ty, Haniu, każ kolacyą przyrządzić naprędce!"

Resztę czasu spędzono znów na pogawędce:
Pytań było bez końca. Już widno, już rano,
A jeszcze o spoczynku całkiem nie myślano.
Po zorzy — słonko jasno zabłysło z kolei,
Kiedy śnić odchodzono.
A wiele nadziei
Było w tych polskich sercach; jak błogie marzenie;
Przez okna cisnące się, słoneczne promienie,
Jasnym blaskiem do wnętrza komnaty się wcisły,
Różnorodnemi barwy mieniąc się, zabłysły
Na drzew szczytach i domach; na wodzie i ziemi,
Roztaczając swe ciepło ożywcze nad niemi.
Hanna chwilę zostając pod onem wrażeniem,
Wyrzekła do rodzica z dziwnem uniesieniem:
„Ojcze drogi, pod jarzmem urodzone dzieci,
Nie widzisz, jak nam słonko dziś inaczej świeci?

Nie widzisz, jako igra po niebie, swawoli —
Może wróży nam koniec nieszczęść i niedoli?
Spójrz tylko, jak od czasu, gdy Janko przyjechał,
Świat cały jakby do nas szczęściem się uśmiechał!“
Tak słowik, w dnie pogodne Maja, wesół, śpiewa —
I ani dżdżystej pory, słoty się spodziewa.

PIEŚŃ IV.

Święta Wielkanocne.

I znów minął czas szybko, od nocy bezsennej
I w Zażewie powrócił tryb życia codzienny.
Brak tylko z dziećmi młodej pani Bronisławy,
Gdyż w trzy dni po powrocie małżonka z Warszawy,
Pojechała z nim razem do swej majętności —
Niekiedy kto nawiedza dwór zażewski z gości,
Śpiesząc rychło, by pory nie zarwać wieczornej,
W ciemne noce wiatr wieje, ze śniegiem przekorny.
Post wielki aż do końca państwo i domowi
Obchodzili, dawnemu wierni zwyczajowi
I przepisom Kościoła. Wielkanocne święta
Niedługo nadejść mają; ztąd Hania zajęta
Pieczeniem bab i placków; bowiem na święcone
Dość liczne grono osób ma być zaproszone —
I gdy ją tak zajmuje kulinarna sztuka,
Spogląda w okno, aż tu ktoś przez szybę puka;
Chce uciekać, nie będąc po formie ubrana,
(Siódma bowiem godzina była ledwie z rana);
A wtem poznaje księży dwóch znajomych twarze:

„Laudatur Jesus Christus! Po kweście kwestarze!“ —
Wołają na jej widok obaj zakonnicy;
Znani to byli księża w całej okolicy,
Roch, słynny kaznodzieja — i kwestarz Bazyli.

„W samą porę ojcowie po kweście przybyli,
Mam zapasy w śpiżarni"; Hanna im odpowie:
„A zapewne i ze wsi coś zniosą ludkowie;
Już tam na wóz natychmiast każę wszystko wnosić".

„Bóg zapłać, przyjedziemy po świętach przeprosić,
Za niedyskrecyą; dzisiaj pilno nam, daj Boże
Abyśmy na południe stanęli w klasztorze;
Z prowiantami wlec trzeba się noga za nogą".

„A może księżulkowie przekąszą przed drogą".

„Dziękujemy!" i poszli spieszno ku wozowi;
„A proszę się pokłonić od nas ojczulkowi!"
Wołają jeszcze zdala, śląc Hannie ukłony:
„Niechaj Pan Jezus Chrystus będzie pochwalony!"

„Na wieki wieków, amen!" Hania im odrzecze,
I dalej rozpoczęte ciasta znowu piecze.

W wilią na trzech stołach stawiają pieczywa,
Przeróżnego rodzaju, wędzone mięsiwa;
Na pierwszym, jak na czele, umieszczony biały
Stoi baranek, z masła ulepiony cały,
Zatknięta chorągiewka przy nim, w dwóch kolorach;
Pokryty cienką wełną o długich kędziorach;
Kilka godzin z kolei Hani upłynęło,
Zanim z zadowoleniem skończyła to dzieło.

Obok zasiadł poważnie, na białym półmisku
Łeb świński nadziewany, jajko trzyma w pysku;
Wzniósłszy wyzywająco, groźnie, ryj do góry,
Jako myśliwskiej strzelby, dwie sterczące rury;
Spogląda na mazurki, lukrowane w wzory,
Baby, placki, upstrzone w przeróżne kolory,
Na kiełbasy zwinięte, jak węże dokoła;
Z których największa w środku, wygląda jak boa
I owija stos z jajek, w kształcie piramidki.
W południe czas był nieco i słotny i brzydki;
Gdy wszystko ustawione było należycie,

Na księdza dobrodzieja czekano przybycie.
I zajechał nakoniec o pierwszej godzinie,
Odmówiwszy modlitwy głośno, po łacinie,
Przeżegnał i pokropił wodą poświęconą,
Domowników dokoła zgromadzone grono,
Życząc zdrowia i szczęścia, wszelkich pomyślności;
Potem winem spełniono zdrowie jegomości;
Wsiada w brykę, by po wsi obchodzić święcone,
Przyjąwszy od parafian dary przeznaczone,
Które mu włożyć Hania każe za siedzenie.

Noc w koło rozpostarła po ziemi swe cienie,
W kościele na ołtarzu, tlą się liczne świece,
Przed niemi klęczą różne postacie kobiece;
Z tyłu stoją mężczyźni i śpiewają chórem
Gorzkie żale, z organów monotonnym wtórem.
Pośrodku leży Chrystus, do krzyża przybity,
Klękają Go całować, w rany, w bok przebity,
Jego wierni wyznawcy. Na stopnie ambony
Wchodzi proboszcz z kazaniem; lud płacze skruszony;
Po Ewangeliach proboszcz ma znowu przemowę —
I odmawia Zdrowaśki za dusze czyścowe;
Poczem parę — za pięciu poległych dołącza,
Rezurekcyę hymnami, modlitwą zakończa.
Wreszcie ukląkł przed Maryi obrazem w pokorze
I hymn zaintonował dawny:
„Wielki Boże!“
O pieśni, twa melodya każdego poruszy,
Jakże swoją prostotą przemawiasz do duszy!
Ileż razy, gdy byłem zbolały cierpieniem,
Tyś mi ulgę przyniosła, była pocieszeniem...
Nie znam pieśni do Boga, wznioślejszej nad ciebie!
Zdało mi się, że jestem z Aniołami w niebie.
Upadłem na kolana, drżącemi ustami
Wołając:
„Wielki Boże, zmiłuj się nad nami!“

W pierwsze święto ruch wielki był w zaźewskim dworze,
Hanna wstaje o rannej z gospodynią porze,

By rozdzielić pomiędzy domowych święcone;
Gdy wszystko jak należy było załatwione,
Każdy na nabożeństwo spieszy do kościoła,
Kędy wiernych wyznawców dzwon z oddali woła.
Msza trwała aż do pierwszej w południe godziny;
Ksiądz proboszcz na prezesa grzeczne zaprosiny,
Zabrał się z nim i z Hanną i gdy wysiadali
Przed dwór, gości na schodach krewnych powitali,
Którzy o chwilę państwa domu uprzedzili;
Tymi pan Stefan, Zdzisław i Floryan byli,
Pan Jan z żoną i dziećmi.
W jadalni święcone
Czekało na przybyłych, skrzętnie ustawione,
Dopokąd się praojców dawnym obyczajem
Nie podzielono wzajem poświęconem jajem.
Wtem donoszą, że słychać psów szczekanie z włości,
Prezes wybiegł na ganek, by powitać gości:
Był to Piotr i kapitan.
Wjechawszy przed ganek,
Pierwszy nim jeszcze zdołał zeskoczyć ze sanek,
Woła basowym głosem:
„Sąsiedzie, sąsiedzie!
Przywozim niespodziankę, hrabina S. jedzie!
No i cóż? Nic nie mówisz na oną nowinę?“

„Wszak prezes nieraz widział w życiu swem hrabinę“;
Przerwał wiarus;
Niebaczny na to, klaszcząc w dłonie,
Ciągnął dalej z zapałem Piotr: „ach, jakie konie!“

„A kocz“; znów przerwał wiarus wpół drwiąco. nawiasem;

„Jaki kocz?“

„Powóz.“

„Gdzież tam! Kareta!“ Tymczasem
Rozległ się dzwonek, tentent kopyt przyspieszony,
Przedmiot sporów zjawia się, godzić obie strony,

Jest nim modnego kształtu angielska kareta,
W której siedząc podeszłych lat nieco kobieta,
Woła, dłonią kiwając:
„Ah! mon cousin chéri!
Avant-hier powróciłam w te północne sfery.
Ah! comment vous portez-vous? Cóż tu u was słychać?
Jak tu trudno w tym naszym klimacie oddychać!

Ah! podajże mi la main. Comme je suis strudzona!"
I głębokie westchnienie wypływa z jej łona.
Nie zważając na gości uprzejme ukłony,
Wbiega co tchu po schodach w przedsionek przestrony,
Tuląc twarz w futro, wsparta o ramię prezesa.
Tu westchnęła raz jeszcze: „Cher ami, que ce que c'est ça?"
Pyta, patrząc przezedrzwi stołowej komnaty.
Wtem nagle, jakby jakiejś poszukując straty:
„Ah, mon cheri! ah, Joli! zostawiłam Joli!
Pozostał się w karecie, ah, soyez si poli,
Każ go przynieść; je vous prie!"
Te wszystkie pytania
Tak nagłe, przerywane przez częste wzdychania,
Nie dały prezesowi zebrać odpowiedzi;
Uprzedzili go grzeczni tymczasem sąsiedzi
I po chwili Piotr nadbiegł, niosąc zawiniątko,
Czyli raczej maleńkie, owinięte psiątko,
Porosłe długim włosem i z niskim ukłonem,
Oddał je właścicielce. Okiem rozjaśnionem
Hrabina spoglądała w przedmiot swej miłości
I czy przez roztargnienie, czy zbytek radości,
Nie dziękując oddawcy, ciśnie psa do łona.

„Pauvre petit Joli! Ah, chéri! Jak drży! Ach, on skona!"
I zajęta, nie baczy na Hani ukłony.
Prezes spoglądał z boku, ruszając ramiony,
Kiedy skończą się wreszcie pieszczoty hrabiny.
Gdy ta rzecze do niego:
„Wybacz, mój jedyny,
Ale cet être m'est si cher!" Wtem, zerknąwszy z boku:
„Ach, Haniu, enfant chérie. Vraiment, w jednym roku

Jak urosła! Une demoiselle! Ach, nie do poznania!
Przybliż się tu; donne ton front do pocałowania!“
I rzuciwszy nakoniec ukochane brzemię,
Które skomląc, skoczyło radośnie na ziemię,
Wziąwszy ramię prezesa, do jadalni wchodzi.
Pokłoniwszy się zlekka starszyźnie i młodzi,
Zajęła pierwsze miejsce dla niej przeznaczone.
Hanna wziąwszy z talerzem jaja poświęcone,
Poczęła się z nią dzielić, praojców zwyczajem,
Życząc jej pomyślności; ona jej nawzajem.
Inni poszli przykładem gospodyni domu,
Aż wreszcie i nie stało już dzielić się komu.

Po święconem zaprasza prezes wszystkich gości
Z jadalnej do salonu; oprócz jegomości,
Którego obowiązek niesienia pociechy,
Zawiódł z pańskiego dworu pod słomiane strzechy.
Wszyscy miejsca zasiedli dokoła hrabiny,
Przedmiotem jej czułości był Joli jedyny.
Widząc ją tak zajętą, nie chciano przeszkodzić;
Kapitan wszczął tymczasem z zapałem dowodzić
Jakąś dawną przygodę, zmarszczywszy brwi długie,
Które możnaby snadno wziąść za wąsy drugie.
Tak mówi:
„To kanalia był ten Wielki książę!
Bywało gdy się jednak do kogo przywiąże,
To mu i rzecz niejedna bezkarnie uchodzi,
Mimo, że inni byli zuchy, chwaci, młodzi...“
W retorycznym zapale i pomimowoli
Cofnąwszy się kapitan, nastąpił na Joli.
Joli skomlnął.
„Ah, mon Dieu!“ krzyknęła hrabina,
„Pauvre Joli! Cher Joli, biedna moja psina!“

„O, pani dobrodziko! na Chrystusa rany
Klnę się, przepraszam!“ woła kapitan zmięszany.
„Stało się mimowoli...“
Ale przeprosiny
Odbiły się jak o głaz, o uszy hrabiny.

Nie zważając na niego, wziąwszy skarb na łono,
Usiadła na kanapie, z miną zachmurzoną,
Spoglądając z ukosa. Nastało milczenie;
Wtem Hanna odgadując powszechne życzenie:

„Kapitanie", wyrzekła: „prosim ciągnąć dalej;
Wszyscy bardzo ciekawi i będą słuchali".

„Niewarto, prezesówno!" Usiadłszy przy Hannie
Szeptał z cicha Piotr Wilski: „kłamie bezprzestannie.
Staremu majaczeje coś ciągle po głowie".

„To nieszkodzi"; odrzekła. „Kapitan opowie".
Dodała głośniej: „Wszyscy proszą kapitana".

„Lecz nie wiem, czy hrabina pani zagniewana,
Zechce słuchać;" kapitan odparł, sklopotany:
„Zaklinam się raz jeszcze na Chrystusa rany"...

„Eh, monsieur! Eh, laissons cela; przeszło nic nie szkodzi!
Racontez. Gdzież jest l'abbé? Już poszedł dobrodziej?"
Zapytała się nagle. „Powiedz, cousin chéri...
Ah! je ne sais sama, poco wróciłam w te sfery".

„Ależ kuzynko", odrzekł prezes niecierpliwie,
„Wiem, że masz krótką pamięć, a więc się nie dziwię;
Wszak całe zgromadzenie żegnał tu przytomne
I tobie dnia dobrego życzył, ile pomnę.
Zkądże ci to pytanie?"

„Voyez, ksiądz Hyacenty
Le salue; pamiętasz go? Ach, to człowiek święty!
J'étais à Rome; wiesz przecie; j'ai visité Saint Pierre
Szczęśliwa, oddychałam sous le bleu ciel tych sfer!
I w tych miejscach tak świętych dla chrześciańskiej duszy,
Oh, quel coeur tych pamiątek widok nie poruszy!
Imaginez: poczciwy ce père Hyacenty,
Mais c'est un homme admirable! Mais vraiment, to święty!
Wyrobił mi audyencyę; vraiment, co za radość!

Uczyniwszy mym prośbom najgorętszym zadość.
I widziałam notre Saint Père! C'est un ange, nie człowiek!
Ah, vraiment, że nie śmiałam wznieść na niego powiek!
Wyraz oblicza boski; le sourire, spojrzenie...
A cette vue łez z mych oczu ont coulé strumienie.
Mówił do mnie. W tej mowie, ach combien słodyczy!
J'ai ici des médaillons, je vous prie: kto życzy?
Des różańce, o, proszę! Bénis par le Saint Père;
Des choses preciéuses pour les hommes qui vivent pośród
[tych sfer.
Au Saint Pierre ksiądz Hyacenty słuchał mej spowiedzi,
Każdy w konfesyonale ksiądz osobno siedzi,
Pour chaque langue. Avec une canne daje rozgrzeszenie;
Byłam trois fois, by z grzechów oczyścić sumienie.
Cousin chéri, pamiętasz? Artur Protopiecki,
Otóż ou na duchowny zamienił stan świecki,
Sous le nom Bonifacy. Charment, homme światowy!
Dziś taki pieux i skromny sługa Chrystusowy,
Że gdym go zobaczyła, je ne pouvais resister
Ucałować mu la main. Następnie j'assistai
A trente messes, na intencye osób sercu drogich
Do składek należałam dla księży ubogich,
Bo oni są tacy pauvres! iż trzeba ich wspierać,
C'est impossible dać głodną śmiercią im umierać".
Przy tych słowach zamilkła hrabina na chwilę:
Prezes rzecze z kolei:

„Kuzynko, wszak tyle
W Rzymie rzeczy ciekawych i pamięci godnych,
Tyle tam dzieł rąk ludzkich wszędy, różnorodnych,
Zajmujących, a zwłaszcza dla tych co nie mieli
Sposobności ich widzieć; tylko z ksiąg słyszeli,
Alboli z opowiadań doszłych w ten zakątek.
Raczyłabyś swej mowie dać odmienny wątek!
Opisać nam wrażenia, jakich doznawałaś,
Gdy w Piotra, w Kolloseum progi wstępowałaś.
Gdyś zwiedzała Kapitol, Forum, Termy Tita,
Karakali i innych, których moc obfita;
Widok ich oddziaływa na wszystkich jednako

Wiem dobrze, żeś nabożna, zawsze byłaś taką;
Księża — mamy ich wszędzie i zawsze jednacy:
Czy też tam jacy młodzi kształcą się rodacy?
Wszak spoczywa nadzieja nasza na młodzieży,
Wszak od niej przyszła dola ojczyzny zależy,
Może tam z nich niejeden łaknie, w pocie czoła
Pracując, zapracować na życie nie zdoła.
Im trza także pomocy". Snać mowa prezesa
Nie poszła w smak hrabinie.
„Eh, chéri, laisez ça!
Tu parles jak parafianin; que nous importe jacy
Mieszkają ateusze, nasi współrodacy!
Tak ich zwie ksiądz Hijacenty. Wspominał ich wiele.
Qu ils viennent rarement, że rzadko są na Mszy w kościele;
Qu'ils se confessent raz na rok, a niektórzy wcale".
Przy tych słowach ruszyła ramiony niedbale.
„Ils logent gdzieś na poddaszach; qui les voudrait cherchez?
Nie znalazłby, choćby miał intencye najszczersze.
Mais, à propos! W kościele, że remarque, ktoś stoi,
Le prince T. et son épouse; bliscy krewni moi;
Wszak wiesz, księcia T. rodzi ma tante, soeur cioteczna
De ma mère; c'est une famille honorable, odwieczna —
I jako ci wiadomo, ród od Piastów wiodą.
Ożenił się książe T. z hrabianką S. młodą
I piękną, ah! comme un ange! Pojmiesz moją radość,
Skorom ich zobaczyła. Uczynili zadość
Mej prośbie; ils sont venus tous deux me visiter,
Un appartement splendide! Des chevaux znamienite,
Zna ich prawie Rzym cały. Sont très pieux, jak rzadko;
Pytałam ich, czy dawno rozstali się z matką;
Co dnia chodzili na Mszę; byli u Spowiedzi,
Che le père Hyacenty.

„Ciągle jeduo bredzi;
Mówi Zdzisław do Hani, koło niej siedzący;
Oni wszyscy jednacy".

„Nadtoś źle myślący,"
Na to ona; „jak wszędzie, tak i między niemi

Są ludzie z zasadami złemi i dobremi;
Są wyjątki i ona ma też swe zalety".

„Wyjątki, tak, masz słuszność, wyjątki, niestety!"
Pochwycił szybko Zdzisław, pokiwawszy głową;
„Trafnie ci się wyrwało, Haniu, ono słowo;
Może mną powoduje tylko uprzedzenie
Przyznam ci się jednakże, że mam obrzydzenie,
Tak do ich bigoteryi, przesadnej, udanej,
Jak do ich mowy, w słowa obce szpikowanej;
Niby słów nie dostaje w ojczystym języku;
Do tonu ma należeć dobrego i szyku,
Popisywanie — obcej mowy znajomością:
Grzechem to zdaniem mojem i wielką zdrożnością!
Obelgą i słabości moralnej dowodem;
Szczęście, że kasta jedna jeszcze nie narodem,
Bo proszę: czemu Francuz swą mowę rodzinną
Nie przeplata polszczyzną, albo! też inną —
Boby to ubliżało narodowej czci,
Którą Francuz po przodkach w sercu swojem pieści.
Religia — pocóż z niej wciąż chełpić się przed światem?
Litować się nad księdzem; a pogardzać bratem,
Który równie jak i ksiądz, może być uczciwy
I równie bogobojny; nieraz nieszczęśliwy,
Na usługi krajowi poświęcił swe życie;
Tylko, że nie w sutannie księżowskiej, habicie".
Przez tę porę hrabina tak ciągnęła dalej:

„Podczas zimy les princes T. en Sicile mieszkali,
Chez le frère księżnej. Willę wybudował śliczną,
Parce qu'il faut savoir, jest ich słabością dziedziczną,
S'occuper budowaniem, podług swego smaku.
Wybrawszy więc miejscowość ponad brzegiem lacu,
Wystawił baron willę, z której surtout le soir
Jest widok na cały lac, czysty, comme un miroir.
I na wysokie rochers, z nich u stóp cyprysu
Une cascade spada z szumem w głębię precipisu."

„Do lacu, precipisu! piękne wyrażenia!"

Przerwie prezes.

„Oui, chéri.“

„Piękne, bezwątpienia,
Wyśmienicie spolszczone.“ Wszyscy się rozśmieli;
„Czy tam myślą pozostać?“

„Pourquoie by nie mieli?
Chacun content, gdy może tę Polskę porzucić,
Pod tym rządem; ja też, s'il ne me fallait wrócić,
Byłabym nie przybyła nigdy z zagranicy!
Mieszkała koło Saint Pierre, na takiej ulicy,
Z której mogłabym widzieć wciąż les fenêtres du Saint Père,
Uczynię to, lorsque tylko j'arrangerai mes affaires“.

„Masz racyę kuzyneczko; pierwotni chrześcianie
Szli bronić swoich zasad, walczyć za wyznanie;
Dzisiejsi do poświęceń o wiele mniej skorzy,
Bo tylko powierzchownie w nich gości duch Boży,
Nie chcą kraju; spokój im milszy jest i zdrowie;
„Jak Kuba Bogu, Kubie Bóg“; mówi przysłowie.
Kraj nic na tem nie straci, przynajmniej niewiele;
„Tak się też każdy wyśpi, jak sobie pościele“.

„Je ne comprends pas, chéri; co chciałeś powiedzieć,
Vous avez tous l'habitude marudzić i bredzić;“
Rzecze hrabina. Naraz, powstawszy z siedzenia:
„Chodź, cousin, mam ja z tobą coś do pomówienia“,
Dodała. Prezes skłonił się w niemem milczeniu
I wyszli; ona wsparta na jego ramieniu.
Tymczasem nasz kapitan, rad ze sposobności,
W te słowa czyni zadość wszystkich ciekawości:

„Otóż, mówiłem państwu, że ten Wielki książę,
Bywało, gdy się szczerze do kogo przywiąże,
To mu i rzecz niejedna bezkarnie uchodzi;
Mimo, że inni byli zuchy, chwaci, młodzi,
Jednak mnie największemi zaszczycał względami;

Prawda, nikt się poszczycić nie mógł końmi, psami,
Takiemi jako moje, w wojsku, w całym kraju;
Wielki książę zwykł klepać mnie wedle zwyczaju
Po ramieniu, i mawiał: „Jedziemy na łowy;
Weź płowego“, a był to kanalia mój płowy,
Kota brał bez obrotu, rzadko po obrocie;
Kuropatwa się zerwie, uchwyci ją w locie
I do konia przynosi, nic nie uszkodzoną;
Otóż raz, gdy nas liczne polowało grono,
W pogoni za szarakiem, klacz mi się zbieguje,
I najeżdżam na kogoś tak blisko, że czuję
Jak kolanem otarłem o jego kolano.
Ból uczuwszy, zaledwiem powstrzymał zbieganą,
Powracam, aż tu płowy już szaraka niesie,
A Wielki książę leży na trawie przy lesie
I felczer opatruje mu zbolałą nogę.
Wszyscy sądzili, znając jego serce srogie,
Że mnie każe uwięzić, rozstrzelać; ech, mało!
Bynajmniej — dostrzegłszy mnie, rzecze: „Zbliż się śmiało!
Nic ci za to nie będzie, bo cię kocham Stachu!“
Ja widząc, co się stało, przyznam. byłem w strachu.
Pojmiecie, com czuł, temi powitany słowy;
„Posłuchaj“, mówił dalej książę: „twój pies płowy
W zamian za mą łaskawość mnie się przynależy“.
Uśmiech powstrzymywany na ustach młodzieży,
Zaigrał przy tych słowach, co spostrzegłszy stary:
„Upewniam“, rzecze; „państwo nie dajecie wiary;
A to prawda rzetelna; zaręczam wam słowem“.

„Nie przeprosiłeś księcia po zdarzeniu owem?“
Pyta Piotr;

„Rozumie się, chciałem; ile razy!
Ale mi wzbraniał, mówiąc, że nie ma urazy;
Płowego mi powrócił, gdy wyjeżdżał z Polski.
W lat kilka zjeżdża do mnie, pewien pan Zadolski;
Przywozi mi obrazy; jakie, już nie pomnę;
Na ostatnim z nich było popiersie ogromne,
Wielkiego księcia, ale wybornie trafione

I gdy rysy z zajęciem oglądałem one,
Zjawia się płowy, wsparłszy o moje kolana
Przednie łapy, widocznie poznał księcia pana,
Bo zaskomlał, a potem począł wyć, tak smutnie,
Że aż serce mnie z żalu ścisnęło okrutnie".
Skończył kapitan; radość panuje dokoła;
Wtem wszedł prezes z hrabiną; twarz jego wesoła,
Spochmurniała cośkolwiek, i hrabiny lice
Zdradzało niefortunną jakąś tajemnicę.

„Nie wiem; Hani zapytam". Prezes temi słowy
We drzwiach zakończył wątek tajemnej rozmowy.
Zauważyła Hania, że to o nią chodzi,
A przeczucie w tych razach dość rzadko zawodzi,
Zwłaszcza gdy do domysłów są pewne powody:
Ów pan Alfons, przystojny, bogaty i młody,
Był siostrzeńcem po bracie rodzonym hrabiny;
W celu zapewne swatów są te odwiedziny.
Słowa wuja pojęli bracia nieinaczej —
I obydwóch przywiodły niemal do rozpaczy.
W nocy gdy powracali z onego wieczoru,
Obadwaj byli smutni, obaj bez humoru;
Przed zaśnięciem zgasiwszy świecę, w jednej chwili,
Tak jakgdyby na jedno się z sobą zmówili,
Brat brata zapytuje: czy kocha kuzynkę?
Zdzisław już Floryana posądzał był krztynkę;
Ale przyznanie brata zrobiło wrażenie
Na Floryanie, że omal nie popadł w omdlenie;
Szczęściem z młodu kochali się z sobą serdecznie,
Więc po pierwszem wrażeniu mogli już bezpiecznie
O tem mówić i czując chęć do pogawędki,
Najpierwej do serc wzajem zapuszczają wędki,
Chcąc z ich głębi wyłowić jakąś tajemnicę;
Ale nic nie zbadawszy, rozjaśnili lice,
Nastąpiły z kolei zwierzenia, zaklęcia,
Aż nakoniec rzucili się sobie w objęcia,
Popłakawszy się oba, jak za lat dziecinnych;

„Lepiej że się tak stało; z tych związków rodzinnych
Mój Florku", rzecze Zdzisław: „niewielka pociecha!

Niekażdemu jednako szczęście się uśmiecha,
Przecież bracia nie możem sobie wchodzić w drogę;
Ja w niej dla mnie uczucia dopatrzyć nie mogę,
Więc szkodzić ci nie będę; wolę pomódz raczej".

„A ja — myślisz Zdzisławku, zrobiłbym inaczej?
Ale widzę że kocha mnie tylko jak brata,
Nie mamy czem się łudzić, próżna czasu strata;
Ta hrabina nie bardzo mi tam jest na rękę,
Chciałaby za siostrzeńca wyswatać panienkę;
Ale z obejścia wuja i jej kwaśnej miny
Sądząc, niezbyt pomyślne są dla nich nowiny;
Hania też o nim wtedy mówiła niebardzo..."

„Mój Florusiu, kobiety nieraz kimściś wzgardzą,
A jako chorągiewka, naraz się odwiną
W stronę, kędy niechętne były przed godziną".

„Lecz Hania, rzecze Floryan, jest zupełnie inna,
Niż większość płci niewieściej, skromna i niewinna;
Ni cienia w niej obłudy. Oj! tego hrabicza
Rad byłbym chętnie z przed jej usunąc oblicza".
I tak bracia ze sobą gwarzyli do rana.

Nazajutrz po Mszy świętej spotkawszy Stefana,
Z nim razem w drugie święto jadą do Zażewa,
Kędy się ich gościnny gospodarz spodziewa.
I wesoło czas spłynął wszystkim na zabawie.
O wypadkach gwarzono zaszłych we Warszawie;
Święconego już większa ubyła połowa,
Resztę Hanna co roku w spiżarni przechowa
I w przewodnią niedzielę bywa zastawione.
Ot, zwyczaje świąt polskich w tej pieśni skreślone.

PIEŚŃ V.

Pojedynek. — Nabożeństwo za poległych. — Powstanie. — Pożegnanie.

„Kto jedzie?“ Słychać naraz głosy z głębi lasu;
„Dokąd?“
„A do chorego“.
„Nie róbże hałasu“,
Słychać głos z innej strony: „bo nas kto wytropi“.

„A w drogę nam tu weźli potrzebnie ci popi!“
„Co z nimi czynić?“
„Obu zatrzymać i kwita!
Ksiądz może nam się przydać, ale ta kobieta?“

„Jaka kobieta? Ja ksiądz także, mosterdzieju!
Widzę, że nam nawarzyć pragniecie oleju:
Kto wy tacy? Jak zbójcy. napadacie w lesie“.
To rzekłszy, ksiądz z siedzenia w okamgnieniu rwie się
I łyśnie napastnikom bronią w same oczy;
Za nim jego towarzysz w te pędy poskoczy
I byłoby do bójki doszło w jednej chwili,
Gdyby nie napastników okrzyk:
„Ksiądz Bazyli!
A to junak, gorączka! Natychmiast do zwady!
I my także nosimy broń, nie od parady;
Ale wstrzymaj tym razem te swoje zapędy
I słuchaj. — Przejeżdżacie nam pod nosem, tędy,
My — nie wiedząc, kto wy zacz, baliśmy się zdrady

I chcieli was zatrzymać, aby zatrzeć ślady;
Ale teraz — możecie jechać — z Panem Bogiem“.

Na to woźnica konie chciał zaciąć batogiem,
Lecz go ruchem stanowczym wstrzymał ksiądz Bazyli.
Rzekłszy:
„Wiecie, kto jestem; powiedzcie mi, czyli
Nie godzi się powiedzieć nam wasze nazwiska?“
Na to — napastujący podchodzą doń zbliska,
Iż mimo, że krótkowidz, poznaje ich zaraz:
„Janek, Florek i Zdzisio!“ Zakrzyknął ksiądz naraz;
Cała trójka; a wy zkąd, o tak rannej porze?“

„Czekamy na hrabiego“.
„Żarty! Czyż być może?
I cóż chcecie z nim czynić?“
„Zobaczysz po chwili;
A jeżeli przeczucie mnie moje nie myli,
Już jedzie“; rzecze Zdzisław.

Noc przeszła, świtało,
Z za drzew jasność przekradać pocznie się nieśmiało:
Liście szeleszczą z cicha; głośniej i stopniowo
Ruch wśród nich coraz większy; gdzieś niegdzieś, nad głową
Ozwie się ptaszek jeden; drugi, trzeci spieszy,
Gwar powstaje wśród onej napowietrznej rzeszy,
Jak w orkiestrze; owady, zwierz dziki wśród lasu
Gdy wyjdą z swych kryjówek, aby zażyć wczasu,
Łączą z niemi swe głosy w harmonijną całość,
By tem więcej przyrody podnieść okazałość.
Dla duszy poetycznej — to chwila zachwytu
I wrażeń niepojętych.
Wśród takiego świtu
Mknął lekko powóz, w czwórkę wiatronogich koni:
Gdzie spieszycie, rumaki, chcecie ujść pogoni?
Chyba wiatr was doścignie w srogą nawałnicę;
Z kopyt wam skry się sypią, jako błyskawice,
Nozdrzami para zionie, niby wulkan lawą,
A za sobą sypiecie z stron obu kurzawą.

Gdzie spieszycie, rumaki? Kędyż kres tej jazdy?
Już świecące gdzieś niegdzieś bledną coraz gwiazdy
Przyroda na wasz widok przycichła, by trwożna,
A doczekać się kresu tej jazdy niemożna.
Zadudniało na moście; tentent zagrzmi głuchy,
Szarak, który siadł w dali, nadstawiając słuchy,
Zrywa się, biegnąc z wnętrza lasu jak szalony;
Na jego widok, bocian ucieka, spłoszony,
A rumaki wciąż spieszą.
Nagle, pożądany
Kres się zbliżył; z powozu pan modnie ubrany,
Dał znak woźnicy i ten w miejscu je osadza.
Pan wysiadł i za sobą drugiego wprowadza
W głąb lasu; idą zwolna, a wtem, nad parową
Postrzegą pięciu ludzi, zajętych rozmową.
Hrabia Alfons, bo on to był, w własnej osobie,
Ubrany był z francuzka, wykwintnie, w żałobie;
Twarz bladą otaczały jasne bokobrody,
Znać z niej nieco burzliwie spędzony wiek młody —
I jakiś spleen, tak częsty, w owym ludzi stanie.
Uchylił kapelusza wierzchnie zdjął ubranie,
Nie bacząc, czy mu tamci wzajemnie się skłonią
I zajął się, podaną mu przez Jana bronią,
Przywitawszy go bardzo serdecznie i szczerze;
Biegły znawca, jakowyś przedmiot na cel bierze
I kiedy wzrok obraca na cyngiel z kolei,
Spotyka się z spojrzeniem bacznem kaznodziei.
Uśmiech zadowolenia rozjaśnia mu lice
I wyciągnął ku księdzu pieszczoną prawicę.
Ten — ścisnąwszy dłoń jego, zachęca do zgody,
Siląc się na przeróżne perswazye, wywody:
Że trzeba pychę z serca i zawziętość zrzucić,
Że mężom chrześciańskim nie godzi się kłócić,
Że krajowi potrzebni dzielnych ramion męże.

„Źle do mnie z tą przemową trafiłeś, mój księże
I nie stosuj jej do mnie, lecz do tego pana;
Rzecze hrabia, wskazując wzrokiem na Floryana;

„Ja tu jestem wyzwany, gdybym się chciał zgodzić,
Mógłbym snadno za tchórza przed ludźmi uchodzić.“

Tedy ku Floryanowi ksiądz namowy zwraca,
Lecz on zniecierpliwieniem się tylko odpłaca,
Snać zawziętość mu serce opętała sroga:
Nie pomogły zaklęcia na kraj, wiarę, Boga;
Czem znudziwszy się hrabia, już stoi na mecie
I poprawiwszy nieład w rannej toalecie,
Patrzy w niebo z zachwytem. Słońce wyżej znacznie
Podniosło się, a na niem snują się dziwacznie
Przeróżnych kształtów chmurki, kolorów, odcieni;
Ze środka nich wystrzela słup jasnych promieni,
Zmieniając postać, jako woda w wodotrysku.
Hrabia stał z zatopionym wzrokiem w widowisku,
Bo miał poezyą w duszy, pomimo przesytu.
Wtem sekundant obudził go z tego zachwytu,
Podając broń do ręki.
Floryan z drugiej strony
Stanął, jakiś ponury, kwaśny, zasępiony,
W bezmiernej zawziętości wciąż zacięty srodze;
Krew nabiegła mu w oczy i blisko w pół drodze
Gdy sekundant „raz“ liczy, w hrabiego pierś mierzy;
Strzał pada: hrabia nie drgnął; idzie, jak należy,
Prosto na przeciwnika, z wpółdrwiącym wyrazem,
Słuchając słów komendy; a za trzecim razem,
Rzecze:
„Szkoda cię zabić, ale bądź draśnięty,
Za to, żeś nadto krewki i bardzo zawzięty.

To mówiąc, mierzy zwolna, długo i z rozwagą;
Floryan stoi, jak posąg.
Tą jego odwagą
Zdumieli wszyscy, oddech powstrzymując w łonie;
Wtem księdza Rocha oko wraz ogniem zapłonie:
„Panie hrabio!“ zawoła; „trzeba być bez serca,
Wszak z ciebie człowiek zacny, nie zbrodniarz, morderca!
Spuść lufę: obaj męstwa daliście dowody,
Błahe do krwi rozlewu są wasze powody.“

Hrabia broń spuszcza na dół; snać coś w myśli waży,
Postanowienie jakieś widnieje mu z twarzy,
Zagłębiwszy dwa palce w kieszeń kamizelki,
Pięciokopiejkowy pieniądz dobywa zeń wielki
I zręcznie go w powietrze wyrzuca jak z procy,
Iż warknąwszy, zabłysnął jako gwiazdka w nocy,
Oświetlony promieńmi wschodzącego słońca:
Wszyscy wzrok nań zwrócili, śledząc biegu końca.
Naraz — rozległ się wystrzał: dym przyćmił blask świtu,
Pieniądz spadł; wszystkie piersi grzmią głosem zachwytu;
Podając go z rąk do rąk, każdy znaki śledzi
Podziwiając kształt kuli, wyżłobiony w miedzi —
I kiedy po kolei winszują hrabiemu,
Jeden Floryan stał smutny; więc hrabia ku niemu
Dłoń wyciąga, w znak zgody.
Sługa Chrystusowy
Widząc, że skutek jego odniosły namowy,
Trwożny, by owoc pracy nie spełznął na niczem,
Błogosławi im obom z radosnem obliczem,
Mówiąc:
„Puśćcie w niepamięć chwilowe niesnaski,
Bóg na was ześle za to owoce Swej łaski,
A ojczyźnie potrzeba ludzi poświęcenia,
Wkrótce bowiem nadchodzi czas oswobodzenia,
Z pod jarzma nienawistnych ciemięzców i wrogów. —
Bóg wie, kto pierwszy stanie u wieczności progów,
A że wszyscy jesteśmy dziećmi jednej ziemi,
Przysięgnijmy, że razem wspierać się będziemy
I walczyć, co sił starczy; że znikną zawiście!“

„Przysięgamy!“ odparli wszyscy uroczyście.

Kiedy słońce jaśniało promieńmi nad światem,
Drzewa już miały wkrótce umaić się kwiatem,
I pączki ubarwiły gałązki zielenią;
Pola śniegiem przesiąkłe, zdaleka się mienią,
Szczęśliwe, że się zimnej pozbyły powłoki
I ściekają rowami, z gór wody potoki;
Lody dudnią, topniejąc, ścięte ostrym mrozem,

Jako mostem jadący wóz, zwolna za wozem;
Lub huczą, jako grzmoty wśród burzy rozgłośnie.
Kiedy fijołek kielkuje, mech i trawa rośnie
I natura przybiera kształt, barwę odmienną;
Kiedy całe powietrze tchnie wonią wiosenną
I wietrzyk południowy łagodnie powiewa,
Przed kościół najbliższego miasta wsi Zażewa
Zajeżdzają powozy, karety i bryki
I słychać rżenie koni; na rynku gwar, krzyki,
Turkot kół, toczących się po kamiennym bruku,
Wszędy pełno hałasu, ruchu, zgiełku, stuku.

Jęczą dzwony posępnie w kościelnej dzwonnicy,
Lud ciśnie się w podwoje przybytku z ulicy,
Którego okna kirem żałobnym pokryte,
Ołtarze i ambona podobnież obite;
Na czarnem wywyższeniu stoi także truna,
Otacza ją dokoła świec ognista łuna;
U szczytu umieszczony orzeł polski biały
I z cierniowej gałęzi wieniec okazały.
Księża stojąc dokoła, nucą pieśń żałoby:
Czy duchy zmarłych ojców opuściły groby,
Aby wtórzyć modlitwie dziatwy zgromadzonej?
Święci polscy zstąpili, błogosławić onej,
Z chórem aniołów korne połączywszy pienia?
Dość, żem nigdy nie doznał takiego wrażenia,
Jak w dniu owym żałoby, modlitwy i skruchy.
Wszyscy byli tak pełni nadziei, otuchy
W lepszą przyszłość, ufali tak modłów potędze!
Nie nam, śmiertelnym, czytać w przeznaczenia księdze ...

Po nabożeństwie wszystkich oczy odwrócone
Były w stronę kościoła, kędy na ambonę
Wszedł jeden z zakonników; blady, pochylony,
To nasz ksiądz Roch; powszechnie przez wszystkich ceniony
I widać z prędkich ruchów, z wzroku, w którym tleje
Blask dziwny, że stworzony był na kaznodzieję.
Kląkłszy, snać o natchnienie blaga, dar wymowy,
Przeżegnawszy lud, pocznie kazać temi słowy:

„Bracia, nadszedł dzień święty, dzień szczęścia, zbawienia!
Dzień, z którym koniec jarzma i koniec cierpienia;
Dzień, w którym między dziećmi nastało zbratanie
Wspólnej matki, bez względu na stan i wyznanie.
Patrzcie! Oto jutrzenka nam zaranna świeci,
By uwolnić w ciemności pogrążone dzieci;
Po niej zorza nam wzejdzie i słońce z ukrycia,
Wprowadzi lud na drogę szczęśliwszego życia.
Tyrani, braci naszych, korzących się w skrusze
Przed Bogiem, zabijają; za tych braci dusze
Dziś modły przesyłamy do Wszechświatów Pana
Po raz drugi, rzeź sroga, przez dzicz dokonana
Została na ulicach stołecznego grodu;
Tym razem już nie pięciu, ale moc narodu,
Bez względu na wiek, ni płeć, krew męczeńska broczy;
Ale obłęd zaślepia tym tyranom oczy;
Sami sobie grób ścielą, nastając na wiarę,
Ztąd ściągają na siebie Wszechmocnego karę.
Wisłą płyną wrzucone naszych braci ciała,
Niejednego i matka własna nie poznała,
Tak srodze porąbany, krwią skrzepłą zbroczony
I tylko krzyż na piersi, szkaplerz znaleziony,
Upewniły rodziców o syna utracie;
Oto obraz niedoli i nieszczęścia macie!
Módlcie się bracia, módlcie, w modlitwie otucha!
Może Bóg korne nasze wołanie wysłucha;
Tylko w Nim jest nadzieja, tylko w Nim podpora!
Padajcie na kolana, póki jeszcze pora,
Bo on jeden w dobroci swojej niezrównany,
Za grzechy nas ukarał, dziś zerwie kajdany;
Bodaj nas krzepił w męstwie i zsyłał nadzieję,
Że ponad ziemią naszą szczęście zajaśnieje.
Nie karał dzieci za to, co ojce zawinią,
Chrystus rzekł: „Darujcie im! Nie wiedzą co czynią!"
Darujmy, jako każe wiara nasza święta,
A może z czasem i on wróg się opamięta!"

I kazał jeszcze długo; wzniósłszy w górę dłonie,
Kończąc mowę modlitwą, ukląkł na ambonie;

Cały naród kląkł również za jego przykładem,
Łzy z oczu posypały się, jakoby gradem
I serca błogiej jakiejś doznały otuchy;
Każdy padł na kolana, pełen żalu, skruchy,
Wiary w wszechmocność Boga i Pana na niebie,
Poruczając kraj Jego opiece i siebie.
Wtem organów poważny słychać dźwięk, daleki
I hymn: „Boże coś Polskę przez tak liczne wieki!“
Z wszystkich piersi wypływa, czysty, jednolity;
W tej chwili katafalku szczyt kirem pokryty,
Rozjaśnił się i z orłem cierniowa korona
Światłem słońca rzęsiście była oświetlona.
I hymn wznosił się coraz czystszy, okazalszy,
Święty, pełen powagi — i coraz wspanialszy.
Chcąc znać uczucia, które sercami władały,
Trzebaby w nie się zmienić, bo wszystkie pałały
Taką żywą radością, wzruszeniem jednakiem,
Tak każdy uczuł wtedy, co to być Polakiem,
Taką czuł w sobie dumę, głosząc owe pienia,
Że gotów był na wszelkie ciosy, poświęcenia,
Że o wszystkiem zapomniał — był w krainie czarów.
Skończył się hymn, zastąpił go: „Z dymem pożarów.“
Równie wielki i wzniosły i starców źrenice
Dawno wyschłe, w łzach toną; szlochają dziewice,
Jęk wszystkich pierś rozrywa i myśli, marzenia
Wszystkich łączą też same, jako jedne, pienia,
Które razem przesłali przed tron Stwórcy świata:
Cóż więcej, jako jedna dola ludzi brata?
Wszak i dwóch nieprzyjaciół nienawiść ominie,
Kiedy okręt się całkiem zanurzy w głębinie,
Rozbity nawałnością, pędzony falami —
I obadwaj chwyciwszy się masztu rękami,
Czując bliski swój koniec, ścisną sobie dłonie,
Zanim wzburzona bezdeń morza ich pochłonie.

Między wychodzącemi z kościoła tłumami,
Szła nadobna dziewica, z ciemnemi włosami,
Niebieskiej barwy oczu, bladego oblicza,
Smętność po niem rozlana jakaś tajemnicza;

Oparta na ramieniu starego mężczyzny,
O czem można wnioskować z postawy, siwizny,
Z schylonej naprzód głowy, z powagi, wiekowi
Stosownej — i polskiemu obywatelowi.
Oboje w szaty polskie, żałobne przybrani;
Jakże ten strój do twarzy onej młodej pani!
Jak odbija przy czarnym kontuszu jej cera!
Jakim wzrokiem pogodnym dokoła spoziera!
Długie, z pod rogatywki z piórem, włosów sploty
Spływają, na szerokie kontusza wyloty,
Który pięknie do smagłej kibici przystaje;
Do szat onych jakoby zrodzona się zdaje,
Zachwycając zebranych wdziękiem i urodą,
Jej pierś lekko się wznosi i zniża z swobodą,
Jako młodej jaskółce, gdy napowrót z wiosną
Obcięte piórka skrzydeł, do lotu odrosną.
Wyszedł starzec z dziewicą przed kościelne progi,
Kędy ciśnie się w koło podwoi lud mnogi;
Niejedna się z wśród tłumu skłoni dłoń życzliwa,
A za nią głos przyjazny:
„Jak się prezes miewa?“
I niknie; znowu druga zjawi się po chwili
I głos:
„Jakich my czasów, prezesie, dożyli!“

„Oj, prawda,“ rzecze starzec; „mój drogi sąsiedzie!
Choć nas może przeciwny los znowu zawiedzie,
O czem myśleć niegodnie... ale mnie staremu
Wybaczcie — i pozwólcie sądzić po swojemu!
Tylem razy się łudził! Często uniesienie
Dzisiaj jeszcze przeważa życia doświadczenie;
Lecz tylko na czas pewien. Jakkolwiek się stanie,
W każdym razie spokojne będę miał skonanie,
Bom dożył takich czasów, jak dzisiaj — wolności!
Ja — com myślał, że w grobie złożę kruche kości,
Ja, com myślał, żem wszystko postradał na wieki,
Widziałem zmartwychwstałą i dla niej opieki
I wolności błagałem, u Pana nad Pany!
Może Bóg nas wysłucha, zabliźni te rany;

A gotowość poświęceń światu udowodni,
Że jesteśmy narodu miano nosić godni.“

Wtem powóz w czwórkę karych koni zaprzągnięty,
Omijając tłum ludu zręcznemi zakręty
I szeregi pojazdów, lekko się zatoczył
I stanął przed kościołem. Służący zeskoczył,
Otwiera drzwiczki; pani żałobnie ubrana,
Weszła wewnątrz powozu, czekając na pana,
Dopokąd pogawędkę z sąsiadem prowadził;
Gdy skończył, znów po stopniach sługa go podsadził,
Zamknął drzwiczki, na kozioł wskoczył jednym susem;
Czwórka z miejsca ruszyła, szybkim, jak wiatr kłusem;
Zewsząd słali ukłony znajomi, po drodze,
Woźnica trzasnął z bicza, puszcza koniom wodze,
Nagle w miejscu je wstrzyma, bowiem w onej chwili
Dwaj jeźdźcy do powozu z dwóch stron się zbliżyli;
Jeden był włosów czarnych, śniady, bez zarostu;
Drugi blond, takież wąsy, wyniosłego wzrostu,
Obydwaj w barwy czarnej ubrani czamary,
Z pod nich wiszą szerokie, ciemne szarawary,
Zwieszone na szerokich butach pomarszczonych,
O obcasach srebrnemi ostrogi zdobionych;
Na głowach rogatywki, barankiem obszyte,
Burki spięte pod szyje i suknem podbite.

„Dzień dobry, wujaszkowi! Haniu, jakże zdrowie?“
Po szczerem powitaniu i krótkiej przemowie,
Wsiedli na koń, zdążając około powozu; —
Piękne było powietrze; bez wiatru, bez mrozu,
Mimo, że ku schyłkowi bieży tarcza słońca,
Grzeje wciąż, jako lampa światłem gorejąca.
Jeźdźcy mówią zkolei do wuja, do Hanny,
Nie bacząc na powozu turkot nieustanny
I gdy ten zwolnił biegu pod lasem, przez piaski,
Pyta prezes Zdzisława:

„Cóż to za niesnaski,
Były pono pomiędzy hrabią, a Floryanem?
Mój leśniczy was podszedł dnia tego nad ranem;

Znam cały przebieg sprawy, z szczegółami nawet:
Floruś gorączka, hrabia oddał mu wet za wet,
Gdyby nie kaznodzieja, koniec byłby smutny;
Hrabia Alfons to człowiek ambitny i butny
I tam, gdzie mu niechętni, nie chce się narzucać;
Na cóż spokój takiego człowieka zakłócać?
Takie sprawy niesławę przynoszą rodzinie".

Wtem zatoczył się powóz z góry ku dolinie,
Przygłuszając rozmowę i stanął przed dworem.
Kilka osób znajomych przybyło wieczorem
Do Zażewa, w gościnę i znowu codzienny
Tryb życia wrócił na wsi, w niczem nieodmienny.

I szybko czas uchodzi, dnie za dniami płyną,
Czasem w progi gościnne zawita z nowiną
Kto z krewnych, lub znajomych z stołecznego miasta,
Stosownie do niej — słabnie nadzieja, lub wzrasta.
Pan prezes wyczekuje gazet z upragnieniem,
Czytając pomyślniejsze wieści z uniesieniem
Jedynaczce: ta jego podziela nadzieje
I jej oko radości blaskiem zajaśnieje.
Znowu do zwykłych zajęć wracają oboje,
Ojciec swe gospodarstwo zwiedza; córka swoje.

Tak zszedł rok aż do końca — i po nim następny
I kraj obraz przedstawiał żałobny, posępny,
Iż można go porównać z matką, która stratę
Opłakuje swych dzieci i przywdziawszy szatę
Żałobną, czeka tylko z upragnieniem chwili,
Kiedy się nić stargana jej życia przesili,
Kiedy duch wyjdzie z więzów cisnących go ciała,
By przejść, kędy prawdziwe życie, wolność, chwała.
Dwie były partye w Polsce: zachowawcza jedna,
Tusząca, że tyranów uległością zjedna —
I do tej możni, starsi wiekiem należeli;
Druga partya: czerwonych; ci, powstania chcieli,
Choćby zaraz wypędzić z Ojczyzny Moskali!
Tę znowu zapaleńsi i młodzi składali.

Gwałty, srogie bezprawia, chłosty i więzienia
Wywołały odwetu i zemsty pragnienia,
Oburzając na Moskwę nieomal świat cały,
A nam współczucie ludów ogólne zjednały.
Zmieniali się wciąż nowi carscy namiestnicy,
Rząd narodowy tajny, ukryty w stolicy,
Po całym kraju coraz słał odezwy nowe,
Podkopując z dniem każdym powagi rządowe;
Robiono z wszech tajemnie stron przygotowania,
Na mający niedługo nadejść dzień powstania.
Pan prezes naczelnikiem poczt został obrany,
Pan Jan był naumyślnie z Warszawy wysłany
I rychlej, niż zamyślał, powrócił z stolicy,
Wioska jego leżała opodal granicy,
Przeto mu powierzono przemycanie broni;
Każdy z obywateli miał dostawić koni
I siodeł kilka z rzędem, na czas oznaczony.
Nawet Hannie był urząd także powierzony,
Którego powinnością było przygotować
Zapas strojów powstańczych, rannych pielęgnować.

Rok sześćdziesiąty drugi minął, kiedy nowy
Rząd rosyjski nakazał był pobór wojskowy —
I młodzież woląc życie poświęcić za Polskę,
Niżeli iść w rekruty rosyjsko-mongolskie,
Z miast wybiegła, kryjąc się przed wojskiem do lasu;
Tamże chcąc wyczekiwać sposobnego czasu
I z tego to powodu — ponad spodziewanie
Przyspieszone zostało nie w porę powstanie.
Jako echo wystrzałów, posłyszane w lesie,
Pomiędzy stadem dzików, szybko się rozniesie:
Zrywając się z legowisk, łączą się w gromady,
By razem im grożące, odeprzeć napady:
Tak szybko się rozeszła wieść po Polsce całej
O powstaniu — i lotem przelatując strzały,
Podąża od wsi do wsi, od miasta do miasta
I wszędzie ruch powstaje, zapał w sercach wzrasta
Ztąd, zmierza wprost na Litwę i na Ukrainę,
Które jedną stanowią z Koroną rodzinę.

I budzą się z niewoli uśpione narody
I wszyscy pragną walczyć w imieniu swobody;
Wszyscy wziąwszy na ramię strzelby, albo kosy,
Idą do lasów, wspólne dzielić z sobą losy:
Razem zginąć, lub wrócić z laurami na skroni
I wszędzie słychać okrzyk:
„Do broni! Do broni!“
Rodzice błogosławią krzyżem świętym syna,
Dziewczę narzeczonemu kokardę przypina,
Konfederatkę szyje, krzyż na pierś zawiesza
I mdlejąc z żalu, wyjazd lubego przyspiesza.
Mimo, że srogich przygód sny ją niepokoją,
Mówi:
„Walcz za Ojczyznę; wtedy będę twoją,
Gdy powrócisz z zwycięską na wrogów wyprawą!
Broń Boże, gdybyś do nas miał wrócić z niesławą!
Broń Boże, gdyby ona hańbą mnie okryła!
Umarłabym z rozpaczy i tobą wzgardziła!“

W Zażewie prezes zszedłszy rano na śniadanie,
Rzeknie do córki: „Haniu, wybuchło powstanie!“
I gdy o tem, co zaszło, rozmawiają dalej,
Nagle tentent przed dworem posłyszą ze sali —
I Floryan wraz z Zdzisławem weszli. wbiegli raczej,
Ale jacyś zmienieni; głos ich brzmi inaczej;
Nie pytając się nawet o wujaszka zdrowie,
Młodszy po powitaniu temi słowy powie:

„Mój wujaszku, czas nadszedł, Ojczyzna nas wzywa,
Aby pomódz jej skruszyć kajdanów ogniwa;
Spieszno nam ofiarować jej nasze usługi,
Pobłogosław więc, proszę, bo za czas niedługi
Może nas nie ujrzycie tu więcej z powrotem“.

„Wiedziałem ja już zdawna, moje chłopcy o tem“,
Rzecze prezes z westchnieniem; „że przyjdzie ta chwila;
Pomimo to, wzruszone me serce do tyla,
Że nie wiem, co mam mówić, ani wiem, co czynić...
Nie chciałbym was o pośpiech zbyteczny obwinić,

A jednak stanowisko opieki mnie skłania,
Abym wam zadał wprzódy niektóre pytania:
Czyście to przedsięwzięcie dobrze rozważyli?
Nie jest ono przystępem jednej krótkiej chwili?
Czy nie lepiej, żebyście jeszcze poczekali?“

„Nie wuju“, rzecze Zdzisław: „my się namyślali
Dość długo; dłużej czekać, nie jesteśmy w stanie;
Już Ojczyzna nas wzywa; wybuchło powstanie!
Honor po nas ofiary — Ojczyzna wymaga
Nie płacz Haniu, płacz tylko boleść w sercu wzmaga!“
Rzekł, całując dłoń Hanny: „pomnij na to, droga,
Że los ludzki jest w ręku Wszechmocnego Boga;
Nie każdemu na wojnie śmierć jest przeznaczona;
Wszak jesteś Polski dzieckiem: a patrz, oto ona
Nas wzywa; nie płacz, droga, bo nam serce miękczysz
I rozstania naszego boleści powiększysz“.

Na te słowa ostatnie łzy Hanna wstrzymuje
I rzecze: „Prawda, z żalu już tego nie czuję,
Żem winna was zachęcać, a ja wam odmawiam
I płaczem wasz hart duszy na próbę wystawiam..
O idźcie! Idźcie!“ Woła, ściskając ich obu,
Idźcie, ja za was będę modlić się u grobu
Waszych ojców; idźcie, gdzie śle was przeznaczenie“.
Nie mogła mówić dalej, gwałtowne wzruszenie
Owładnęło jej sercem i znów we łzach tonie.

Wtedy prezes rzekł, wzniósłszy w górę obie dłonie:
„Błogosławię was! Niechaj Bóg czuwa nad wami
I kieruje szczęśliwie waszemi losami!“
Bracia klękli, on obu ucałował głowy
Krzyżem świętym przeżegnał; poczem do alkowy
Wwiódł ich obok sypialni, kędy rozmaite
Uwagi obom czyniąc, nakoniec ukryte
Wydobył pistolety, w srebro oprawiane,
Dwie uzdeczki, takiemiż gwoździmi nabijane:
Po jednym dał każdemu i rozmawiał długo.

Zegar wybił godzinę po południu drugą,
Usiedli do obiadu. Wszyscy spoglądają
Po kolei na siebie; zastępować zdają
Wzrokiem zwykłą rozmowę; bowiem w takiej chwili,
Tylebyśmy tak chętnie myśli zamienili,
Tłoczących się do głowy i to, co się czuje,
Tak ciężko jest wysłowić i tyle kosztuje,
Że najlepiej oczyma powiedzieć możemy,
Wszystko, o czem myślimy, wszystko, co czujemy.
Darmo jedno po drugiem przynoszono danie,
Każdy nabrał na talerz, lecz jeść nie był w stanie.
Przyszła chwila stanowcza; przywiedziono konie,
Wszystkich serca zadrżały; tchu nie stało w łonie
I tentent kopyt zdawał się piorunów gromem —
I każdy myślą gonił kędyś poza domem.
Minął obiad; stanąwszy w oknie bracia, smętny
Zatopili wzrok w obraz luby i ponętny;
Ale jego kontury wydały się ostre,
Szukali czegoś więcej, a znaleźli — siostrę..
Mimo to, czuli w sercu dziwną jakąś radość,
Że przecie powinności swej uczynią zadość —
I gdy ono wzruszenie ich w smutku pociesza
Hanna im medaliki na szyjach zawiesza;
Spojrzawszy w oczy obom, blada i z wzruszeniem
Rzeknie: „Niechaj wam będą siostry przypomnieniem!“
Medaliki te były odbite w stolicy,
Na cześć ofiar naprzeciw Malcza kamienicy.
„Boże, zbaw Polskę!“ „Ojcze, ratuj!“ W jednej stronie,
We środku krzyż i orzeł, także z krzyżem w szponie;
Po drugiej: „Matko broń!“ I obraz Częstochowskiej,
Cudownej z Jasnej Góry Rodzicielki Boskiej.
Ocknął się Zdzisław, krzepszy duchem od Floryana,
Przemyśla o rozstaniu, chce ugiąć kolana
Przed wujem, gdy ów jego odgadując wolę,
Rzekł:
„Czekaj, odprowadzim was do krzyża, w pole“.
Podawszy ramię Hannie, wdział czapkę na głowę
I wyszli wszyscy społem, przed progi dworcowe.
Milcząc, dochodzą wreszcie zwolna, aż do krzyża;

Zdzisław, czując, że chwila rozstania się zbliża,
Rzecze:

„Jnż niema rady, czas żale zakończyć,
Przyjdzie nam się raz, prędzej czy później rozłączyć; —
Im dłużej co odwlekać, tem gorzej, więc pono,
Trzeba już lepiej jechać". Rzuca się na łono
Wuja, kończąc wzruszony: „Niech Stwórca wszechświata
Nagrodzi dobro, któreś świadczył dzieciom brata!"

I Floryan całuje z czcią wujowskie dłonie,
Snać z nadmiaru uczucia, głos zamarł mu w łonie,
Tak serce jego srogie szarpią niepokoje.

„Niech Bóg czuwa nad wami, drogie dzieci moje!"
Szepce prezes wzruszony: „od złego strzedz raczy!"
I na czołach siostrzeńców obu krzyże znaczy.

Na boku od tej sceny, jako widz, milcząca,
Stoi Hania i czeka, stroskana, jej końca
Nadaremnie nieboga na spokój się sili,
Bo nad sobą panować trudno w takiej chwili,
Kiedy się żegna braci, przyjaciół młodości,
Na drogę srogich przygód, niepewnej przyszłości...
To też gdy już nadeszli, by po raz ostatni,
Złożyć na licu siostry pocałunek bratni,
Łzy wstrzymywane długo, wytrysły strumieniem;
Spoglądali przez chwilę na nią z uniesieniem,
Jakby rysy jej chcieli wyrzeźbić w pamięci;
Aż przez łzę, która w oczach obu się zakręci,
Widnieje postać Hani, jakaś dziwnie mglista,
Jako duch na obrazach przezrocza, przejrzysta.

Zniecierpliwione konie, poczną grzebać nogą,
Dosiądą ich młodzieńcy, ubodłszy ostrogą,
Ruszają pędem z miejsca, niknąc coraz dalej;
W biegu się odwracając, po trzykroć kłaniali.
Prezes z Hanią przystanął, śledząc ich oczyma
I w górę rękę z czapką podniesioną trzyma.

Od pozostałych — przestrzeń jeźdźców coraz dzieli,
Jeszcze raz poza siebie, na wzgórzu spojrzeli,
Prezes stoi, dopokąd z oczu ich nie stracił
I za ukłon ostatni — ukłonem odpłacił.
Wtedy córki twarz bladą i zroszoną łzami,
Uścisnąwszy, ukląkł z nią pod krzyża stopniami;
Ukończywszy modlitwę, wzrok jeszcze odwrócił,
Powstał — i z jedynaczką do domu powrócił.

PIEŚŃ VI.

Śniadanie.

Szczęśliwsze są rogacze, które bronią stada,
Gdy je wilków zaciekła osaczy gromada;
Bo zapalone walką, od zmysłów odchodzą
I na swych przeciwników zapalczywie godzą,
Lecz starych, które ledwie zdolne biedz pomału
I łani, nie biorących w potyczce udziału,
Śledzących swych obrońców śmierci lub wygranej,
Jakże los stokroć bardziej od nich opłakany!

Znał własne położenie prezes doświadczony
I nie był tak o siebie zaniepokojony,
Jak o przyszłość swej córki, pociechy jedynej —
Nie mogąc sypiać nieraz, do późnej godziny,
Dręczon myśli przykremi; ale z jego twarzy
Trudno ognia dopatrzeć, co się w sercu żarzy
I zwykle pogadankę prowadzi wesołą.
Raz idąc na spoczynek, całuje ją w czoło,
Świecę bierze do ręki, gdy nadspodziewanie
Zatrwożyło ich silne do okna pukanie.

„Kto tam?“ Zapytał prezes.

„To ja, sługa boży!“
Odpowiedział głos z zewnątrz; „czy nam kto otworzy?
Noc ciemna strasznie; niechaj będzie pochwalony!“

„Na wieki wieków!“

„Ledwie trafiłem w te strony,
Przemokliśmy do nitki; okropna ulewa“.

„Jakże mi się kochany kaznodzieja miewa?“
Pyta prezes wpuszczając do sieni przybysza.

„Przedstawiam prezesowi mego towarzysza:
Oto kwestarz naszego klasztoru: Bazyli“.

„Siostrzeńcy mi o księdzu tak wiele mówili!
Bardzo miło mi poznać jest księdza kwestarza,
Ale niech się dobrodziej na mnie nie obraża,
Gdy mu na samym wstępie mały zarzut zrobię:
Godziż się bronią grozić duchownej osobie?“

„Że też ludzie nikomu nie dadzą spokoju!
Sługa Chrystusa,“ rzecze ksiądz; „winien do boju
Być gotowym, za Zbawcę swojego i wiarę.
Nie wszystkim da się jednę zastosować miarę:
Niektórych położenie całkiem wyjątkowe:
Ja dla dobra Ojczyzny swej — nadstawiam głowę;
Ciężkiej sprawy podjąwszy się, bronić jej muszę:
A chociaż ksiądz, prędzejbym chyba sprzedał duszę,
Niżbym zobowiązaniu śmiał się sprzeniewierzyć,
Bo spodlić się — to lepiej pono, wcale nie żyć!“

„Kiedy tak, to rzecz inna“; prezes mu odrzecze,
„Lecz dotąd nie spostrzegłem, że z was woda ciecze!
Zbliżcież się, dobrodzieje, zbliżcie do komina,
A tymczasem wam każę dać polewki z wina;
Bo wam trzeba się rozgrzać, po tak przykrej drodze“.

„Prawda, panie prezesie, przemokliśmy srodze,
Deszcz leje jako z cebra“; rzecze ksiądz Bazyli;
„O wiele bylibyśmy tu wcześniej przybyli,
Ale ugrzązł wóz w błocie, pękło przednie koło;
Szczęściem, że niedaleko było jakieś sioło;

Tu kłopot nowy, bo w nim kuźni, ni kowali
I bylibyśmy pono w błocie nocowali,
Gdyby nie chłop poczciwy, co zabrał nas z sobą.

„Taką podróż to można przypłacić chorobą,
Dodał ksiądz Roch; W niczem nie przesadził Bazyli" —
I coś szepce z prezesem na ucho; po chwili,
Prezes prosi, by księża zechcieli posiedzieć,
Mówiąc:

„Czemuż to było wcześniej nie powiedzieć,
Księże Rochu? Gdyż nie wiem, czy będziemy w stanie
Zgotować na trzydziestu trzech ludzi śniadanie —
I na którą godzinę termin naznaczony?"

„Na siódmą zrana"; odrzekł szybko zagadniony.

„Haniu", rzecze znów prezes; „domyślasz się, dziecię,
Kogo dziś gościć będziesz: odkażże się przecie!
Wiem, żeś chętna; czy tylko podołasz zadaniu?

„Niech ojczulek zostawi to memu staraniu!
Dla mnie jest dzień jutrzejszy niespodzianką taką,
Że zgotować przyjęcie, nie chcę ladajako,
Więc kucharza, kucharkę wezwę, dziewki obie,
Z niemi walną naradę jaknajśpieszniej zrobię;
Uda się, bo mam w myśli cały plan gotowy:
Najpierw zgotuję bigos; potem: schab wieprzowy;
Po wołowinę późno posyłać do miasta.
Na zakończenie jakieś upiecze się ciasta;
W piwnicy stoi piwo i gąsior nalewki;
A może dobrze z piwa nawarzyć polewki,
Bo dla nich ciepła strawa, to rzecz osobliwa.
Ojczulek niechaj z gośćmi spokojnie spoczywa
I o nic się nie troszczy, bo w tem moja głowa;
Dla księży będzie pościel za chwilę gotowa".

Podczas kiedy tak Hanna z zapałem dowodzi,
Ksiądz Roch ku niej niebawem, pocichu podchodzi

I rzecze: „ot wzór dziewic! Aż słuchać przyjemnie!
A może droga pani, nie jest rada ze mnie,
Żem dotąd nie przeprosił jej za najście ranne.
Czynimy to dziś; prosząc przytem pannę Hannę,
Aby w zamian przyjęła od nas upominek,
Za to, że nam tak z ojcem zaleca spoczynek".

„Dziękuję dobrodziejom! Dziękuję serdecznie!"
I pobiegła do kuchni, skłoniwszy się grzecznie.
Tam przyszedłszy, dopiero pudełko otwiera,
Patrząc na przedmiot, jaki w wnętrzu swem zawiera:
Jestto mały medalik, z perłowej macicy,
A na nim złota postać lśni Bogarodzicy.
Z czcią wpatruje się Hanna, w tę postać niebiańską —
I z miłością niezwykłą, iście chrześciańską,
Pocznie szeptać modlitwę, korną, a natchnioną.
A trzeba było widzieć, jako z zapłonioną
Twarzą od ognia, w biały fartuszek przybrana,
Doglądała roboty do samego rana;
Jako nucąc piosenkę, smutną to wesołą,
Spoglądа na kręcącą się służbę w około,
I skoro blask jutrzenki pocznie lśnić na dworze,
Śpiewa hymn wzniosły:
„Kiedy ranne wstają zorze!"
Tymczasem prezes z gośćmi rozmowę prowadzi,
Potem im na spoczynek powtórnie iść radzi,
Bowiem już nocy kilka spędzili bezsennych.
Z pojawieniem się pierwszych rano blasków dziennych,
Krzątał się, zgromadzając potrzebne przybory,
Już śniadanie przed przyjściem zamówionej pory,
Czekało na przybycie nadzwyczajnych gości,
Wtem szczekanie psów w całej rozległo się włości,
Wśród drogi dwójki konnych biegną lotem strzały,
Nad niemi chorągiewek lśni rząd okazały,
Dwubarwnych, nawpół białych, czerwonych na poły —
I z piersi Hanny okrzyk dobył się wesoły;
Podbiegła do rodzica, wołając:
„Już jadą!"
Trudno pojąć, jak była w onej chwili radą,

Ten zrozumieć to może, co jeszcze wolności
Nigdy w życiu nie zaznał; śni o niej w przyszłości.
I nie mogła się onym nasycić widokiem;
Prezes podszedł do okna, śledząc również okiem
Chorągiewki, mundurki jeźdźców granatowe
I burki różnokształtne, różnokolorowe;
Junackie twarze, maści różnorodnej konie,
Rynsztunki, torby, czapki, kulbaki i bronie.
On, co się tak niedawno obawiał powstania,
Będąc przez doświadczenie tego przekonania,
Że tylko zgubne skutki przyniesie krajowi,
Zatęsknił za młodością, złorzecząc wiekowi,
Który mu losu nie dał dzielić ze swoimi;
Walczyć za kraj rodzinny, lub umierać z nimi!
I uczuł wtedy, jak mu krew w żyłach zawrzała,
Przeszłość staje obrazem w jego myśli cała;
Widzi siebie wraz z nimi, obrońcą swobody
I tak przypominając minione przygody,
Stojąc ciągle przy oknie, drżał z wzruszenia cały,
Aż dopókąd przed dworem konie nie ustały;
Wybiegłszy wtedy, chwyta przybyłych w ramiona,
Wita wszystkich z kolei, to ciśnie do łona,
Słów mu braknie na ustach, mówić nie jest w stanie.
Hanna widząc rodzica ono pomięszanie,
Śmiejąc się i łzy roniąc na poły z radości,
Zaprasza do jadalni upragnionych gości.
Żwawa płynie rozmowa, bo wszyscy weseli,
Szczęśliwi, że u kresu swych marzeń stanęli;
Spożywają ze smakiem pożywienie ranne,
Cieszyło to niezmiernie prezesa i Hannę;
Ledwie talerz nałożą, zaraz wypróżniony,
Nie droży się gość żaden, bo jadła spragniony.
Gospodarz, by utrwalić wesołość w rozmowie,
Dał wnieść wino; spełniono młodzi polskiej zdrowie —
I wesołość powstała pośród nich w momencie.

Jako struna fałszywa w strojnym instrumencie,
Tak żal jednego łacno drugim się udziela,
Z początku nikt zagadnąć o to nie ośmiela,

Lecz gdy wesołość w smutek coraz się zamienia,
Zapytuje go prezes o powód milczenia.

„Oj, smutna to historya,“ nareszcie odpowie;
„Nie wiem, czyli was będzie zajmować, panowie...
Otóż — pozostawiłem z siostrą matkę starą,
Obydwie niedostatku paść mogą ofiarą;
Pokąd byliśmy razem, pracowałem na nie,
A teraz, cóż się z niemi nieszczęsnemi stanie?...
Pierwsza już niedołężna, ociemniała druga,
Że żyje, to rzec mogę, jest moja zasługa“.
Tu począł opowiadać, jako od powicia,
Nawykł był do dostatków, wykwintnego życia,
Aż do lat jedenastu; bowiem w wieku onym
Ojciec z mienia przez Moskwę był wydziedziczonym;
Z rozpaczy i zgryzoty zeszedł z tego świata.
Matka odtąd przez cztery we stolicy lata,
Razem z dziećmi, pod nędznym zamieszkuje strychem,
Na utrzymaniu z szycia poprzestając lichem
I kształci jego z siostrą, która w szóstym roku
Pozbawiona została po chorobie wzroku;
Wskutek czego na zdrowiu matka podupadła,
Ztąd piecza nad obiema na niego przypadła;
Ciężką pracą zarabiał na kawałek chleba,
Mimo to, kiedy kraju nadeszła potrzeba,
Do opuszczenia domu same go znagliły...
Dalej już opowiadać nie stało mu siły —
I przysłonił twarz ręką, żalem przygnębiony.

Prezes boleścią jego do łez rozrzewniony,
W te słowa go pociesza: „W miłosierdzie Boże
Bądź ufny, wszak powrócisz do nich jeszcze może;
Bóg jest wielki; nagradza szczodrze poświęcenie“.

Młodzieniec spuszcza głowę i chowa milczenie,
Wreszcie rzecze półgłosem: „Bodajem był nie żył,
Nie wiem, czy Stwórca losów tajnie mi powierzył,
Dość, żem pewien, iż pierwsza mnie kula nie minie...
Nie boleję nad sobą, nad niemi jedynie;

Zbyt skąpo na tym świecie doznałem radości,
Dla nich tylko pragnąłem szczęścia, pomyślności;
Bo z niemi tylko łączy mnie miłość prawdziwa".

Na to prezes: „Smuci mnie dola nieszczęśliwa
Was trojga; w rzeczy samej, godniście litości;
Ale nie można losu przewidzieć, przyszłości;
Możesz do nich powrócić, ujść śmierci na wojnie;
Bogu poleć swój smutek, myśl nadal spokojnie
Ja tym zacnym niewiastom pośpieszę z pomocą,
Przyrzekam ci solennie; lecz się nie smuć: po co?
Czemu zawczas rozpaczać i nadzieję tracić?"

„Ach," wyjąknął młodzieniec; „czemże się odpłacić?
Lżejszy ciężar, niż dotąd serce moje tłoczy,
Śmielej po tem, com słyszał, zajrzę śmierci w oczy
I gdy mnie już nie będzie, niechaj ci Bóg, panie
Nagrodzi, co odpłacić — ja nie będę w stanie".
I całuje dłoń starca.
Hanna, która zdali
Słyszała, co ze sobą obaj rozmawiali,
Przesyła rodzicowi spojrzenie dziękczynne.

Śniadanie skończyło się, wszyscy za gościnne
Przyjęcie prezesowi, Hannie, dziękowali;
Prezes nie chcąc, ażeby smutni odjechali,
Począł im opowiadać swe dawne przygody:
Gdy w czasie rewolucyi, w obronie swobody
Brał udział w bitwach różnych; jaki duch był w kraju...
Wtem jeden z gości, wedle polskiego zwyczaju
Wniósł zdrowie gospodarza i sam pierwszy pije;
W ślad za nim idą drudzy, wołając: „Niech żyje!"

Co widząc ksiądz Roch, szepnął któremuś na stronie,
On pocznie kogoś szukać w jadalni, w salonie,
A za jego przykładem inni się rozbiegli;
Lecz snać celu zabiegów swoich nie spostrzegli,
Bo krzyczą i wołają, że aż huczy w głowie:
„A gdzież jest gospodyni? Chcemy pić jej zdrowie!"

Tymczasem główny sprawca tego niepokoju,
Niespostrzeżony, chyłkiem wymknął się z pokoju;
I po chwili, przyległą komnatę otwiera,
Ciągnąc za sobą Hannę; ona się opiera;
Lecz nagle, snać przemogły jego przedstawienia,
Postanowienie bowiem powzięte, odmienia,
Z spuszczonym na dół wzrokiem, wchodzi zapłoniona,
Jak z płótna dawnych mistrzów wycięta madonna.
Na ten widok ustały głosy i wołania
I każdy po kolei przybyłej się kłania,
Po czem w górę kieliszek z okrzykiem podnosi:

„Wiwat! Z podziękowaniem za zdrowie gosposi".

Gdy siedli znów do stołu; jeden z gości pocznie
Opowiadać, że przybył z Litwy, tam naocznie
Widział i słyszał jako w Wilnie, w Boże Ciało
Aż dwadzieścia tysięcy ludu hymn śpiewało,
Nabożeństwo w kościołach odprawiano wielu,
Po książęciu Adamie i cnym Lelewelu.
Jak unią Polski z Litwą obchodzono święcie,
Jak Moskal lud mordował bezbronny, zawzięcie.
I we wszystkich zawrzała chęć zemsty, odwetu.

Wołają: „Bracia! Czas nam być gdzieindziej — nie tu!
Spieszmy pomścić tę krzywdę! Chodźmy bić Moskali!"
Przywódcy do odjazdu znak podwładnym dali:
Wesołość nie wróciła już wśród zgromadzenia,
Każdemu przyszły na myśl bolesne wspomnienia,
Każdy dosiadł bieguna, w jednem okamgnieniu,
Zniknęli, otoczeni pyłem — w oddaleniu.

Prezes z Hanną i księża pozostali sami,
Milczący, snać różnemi zajęci myślami;
Pierwszy ozwie się prezes:
„Księże kaznodziejo,
Ty, co zawsze pałałeś ufnością, nadzieją,
Wierzysz ty w sprawę naszą?"

Na co ksiądz: „Bez wiary
Nie brałbym w niej udziału; te nowe ofiary,
Które teraz składamy w Ojczyzny potrzebie,
Miłemi będą władcy na ziemi i niebie“.

„Mój Boże!“ Rzecze z miejsca wstawszy, ksiądz Bazyli;
„Gdybym ja mógł doczekać tej szczęśliwej chwili,
Zobaczyć Polskę wolną, chociaż czas niedługi;
Ofiarować tej matce powinne usługi,
Nacieszyć się jej szczęściem, onej odrodzeniem,
Przyszłemi losy, przyszłem życiem, powodzeniem!
Gdybym mógł, choć bezwładny, okryty ranami,
Podzielić te rozkosze wraz z współplemieńcami,
I wzrok chociaż popieścić tak lubym widokiem!
Albo na skrzydłach wznosząc się ponad obłokiem,
Przeniknąć serc tajniki i wewnętrzną radość,
Życzeniom moim wtedy stałoby się zadość.
O śmierci! Ja przed tobą nie drżę trwożny, ale
Oszczędź mnie, abym mógł się przyjrzeć Polski chwale!
Oszczędź mnie na czas krótki, choć na jednę chwilę
Dozwól, niech duszę moją spragnioną posilę,
Poczem zabierz mnie z sobą, rozłącz mnie na wieki
Z tym światem — i poprowadź w nieznany, daleki...
Boże mój! Racz wysłuchać nędznika wołanie,
Później, niechaj najwyższa Twa wola się stanie!
Tyś lat tyle przytomny był Polski cierpieniom,
Dasz naszym najgorętszym spełnić się życzeniom!
Nie doczekam ja tego, ni wy, dzieci wasze,
Bo w Polski łonie znowu powstaną Judasze,
Bo napowrót będą się szarpać, gryść wzajemnie
I wiarę w siebie tracić — i marnieć nikczemnie.
Zrodzą się ludzie wielcy, lecz zawsze jednostki,
Bo spójni w was ni znaleść, prywaty, małostki
Ponad dobrem ogółu wezmą górę wszędzie
I wróg z waszej słabości tylko szydzić będzie.
Dopiero przyjdzie pora, gdy po ciosach wielu,
Przekonacie się, że chcąc raz stanąć u celu,
Trzeba duchem zmartwychwstać; zespolić się w naród —
I zniszczyć z serc trucizny onej strasznej zaród —

I wierzyć tylko w siebie, w swoje przeznaczenie,
Które Bóg w pojedyncze nawet wlał stworzenie.
Szkoda tych ofiar, szkoda, co ich tyle zginie!
Szkoda tej krwi, co znowu strumieniem popłynie!
Szkoda onych dostatków, które wróg zagarnie;
Onych morderstw, grabieży, co ujdą bezkarnie!"

„Ach," przerwał prezes; „czyliż rozpaczać się godzi,
W tym zwłaszcza wieku będąc jeszcze, mój dobrodziej!
Gdybym to ja tak mówił, nad grobem, schorzały,
Dla którego już wszystkie pierzchły ideały,
Który jak dąb samotny, przetrwał gromy, burze —
I pomny lepszych czasów, nie dowierza chmurze
Przeciągającej nad nim, jak całun powoli;
Jednakowoż doczekać chciałbym lepszej doli
I nie tracę nadziei w sprawiedliwość Bożą;
Choć wyznam, przepowiednie twoje mnie dziś trwożą!"

„Są ludzie, którym niebo odkrywa swe tajnie,
Ale nie takim jak ja, żyjącym zwyczajnie";
Rzecze ksiądz. „wieszczym duchom, natchnionym od Boga;
Albo stanąć mającym u wieczności proga;
Prawda, że widmo śmierci ciągle za mną goni,
Powierzono mi bowiem przewożenie broni,
Połączone z niezwykłym trudem, narażeniem;
Bóg mi pobłogosławił dotąd powodzeniem.
Dziś wrogów niema; mogą nadciągnąć niebawem;
Postępowaniem twojem ośmielon łaskawem,
Drogi panie prezesie, w sprawie narodowej,
Pozwolisz, abym prosił w imieniu takowej,
O konie do granicy; czas ubiega skoro;
Przewiozłem jeszcze broni dotychczas niesporo,
Potrzeba nadejść może; musim ubiedz wroga,
Bo inaczej, to klęska spadnie na nas sroga".

„I owszem, z miłą chęcią!" Rzekł prezes; „mój księże!
Haniu! Powiedz, niech Michał do bryki zaprzęże!"

Turkot bryki przed domem wkrótce się rozlega,
Hanna na pożegnanie z pośpiechem nadbiega,

Księża wsiedli; już jadą.
Po niedługiej chwili,
Znowu dwór nieznajomi jacyś nawiedzili,
A po nich inni jeszcze; dość, że przez dzień cały
Wciąż dla przybywających, drzwi otworem stały.
Ci prosili o konie, a owi pomocy
Zaciągali w pieniądzach, ubraniu — i w nocy
Zbywało na spoczynku. Tak ubiegł dzień drugi
I trzeci. Prezes wszystkim nie szczędzi usługi,
Dobrą radą, zasiłkiem wesprze w Imię Boże,
Aż z niewczasu i trudu wreszcie zaniemoże.
Ztąd trudniejsze na Hannę spadły powinności:
O chorym mieć baczenie, to przyjmować gości;
Różne sprawy załatwiać, jednak bezustanny
Nawał przygód niezwykłych nie zatrważa Hanny.
Bo ona Polka — u niej — każde poświęcenie
Dla Ojczyzny, jest szczęściem; nie wie, co znużenie,
Nie zna trwogi; choć serce jej niewieście, tkliwe,
Im sroższa jest przygoda, tem mniej bojaźliwe.
Gdy w nocy kto zastuka, z posłania się zrywa,
Aby iść się przekonać, kto ciszę przerywa;
Wraz z wierną gospodynią podwoje otworzy,
Niczem się nie utrudzi, niczem nie zatrwoży,
Ugości nieznajomych, pożegna na drogę,
Potem wraca do łoża i sny roi błogie

PIEŚŃ VII.

Rewizya.

Ledwie prezes śniadanie zdołał spożyć ranne,
Wchodzi Agnieszka; na bok odwoławszy Hannę,
Zatrwozona ogromnie, blada, pomięszana,
Szepce jej wieść jakowąś. Snać nadspodziewana
Musiała zajść przygoda, inna niż powszednie;
Hani lice raz po raz mieni się, to blednie,
Drżącą ręką krawędzi stołowej się ima;
Nie uszło to na szczęście, przed ojca oczyma;
Podbiegłszy ku niej, schwycił jej kibić w ramiona,
Na których zwisła chwiejna i obezwładniona.

„Dziecię moje co tobie? zkąd ta nagła trwoga?
Agnieszko, mów co zaszło; mów na miłość Boga!
Podaj wodę z karafką i odpowiedz w porę:
Kradzież jaka, ktoś skonał, a może wieś gore?“
Agnieszka na pytania nic nie odpowiada,
Lecz drżąca, ręce jakby do modlitwy składa;
Snać waha się, czy sposób rzeczy wyjawienia,
Na nim jako na córce nie wywrze wrażenia;
Wreszcie myśli skupiwszy, śpiesznie odpowiada:

„Gdzież tam! ogień, ni kradzież; ot, Moskwy gromada
Domaga się rewizyi; już tuż są przed domem“.
Prezes stał przerażony, jak piorunu gromem,
Lecz szczęściem, w onej chwili, pomimo słabości,
Nie straciwszy na moment nawet przytomności,
Pyta, cucąc omdlałą, kładnąc ją na łoże:

„Od ogrodu drzwi wolne?“

„Tak jest“.

Chwałać Boże!

„A więc pochwyć co rychlej te ot z okna paki,
Biegnij w ogród i skryj je gdzie bezpiecznie w krzaki!“
Gdy co żywo Agnieszka spełnia polecenie,
W omdlałej życie wraca; rzuciwszy spojrzenie
Ku oknu, niespokojnie za czemś okiem śledzi
Na rodzica pytania miasto odpowiedzi:

„Gdzie paki, ojcze“, szepce osłabionym głosem.

„Nie troszcz się, dziecię lube, daremnie ich losem;
Już ich niema; na szczęście, na okniem je zoczył“.
Westchnęła, jakby ciężar spadł, co pierś jej tłoczył
I wstaje szepcąc znowu:

„Pozwól, ojcze drogi,
Już mi o wiele lepiej; nie miej o mnie trwogi,
Trzeba im drzwi otworzyć: będą w domu szukać;
Ot ich słychać, już przyszli; zaczynają stukać;
Ty połóż się“; to mówiąc, do sieni wybiega.
Wtem we drzwiach nieznanego młodzieńca spostrzega;
W strój przyodzian powstańczy, hardy, lica blade,
Milczy i wzrokiem prosi o pomoc, o radę.

„Pan tu, chroń się na Boga! dom już otoczony;
Idź i przemień ubranie; my i tyś zgubiony...
Lub skryj się tam“ dodaje, komin ukazując,
A sama chwiejne kroki ku sieni kierując.
Komin to był obszerny, staroświecki, duży,
Co razem do ogrzania i za światło służy;
W czasie długich wieczorów zimowych, rodzina
Zwykła siadać w około takiego komina
I czas przy pogadance wesoło ubiega,
Tak, że nikt opóźnionej pory nie spostrzega.
I dokłada się coraz nową wiązkę drzewa,
Zziębnięte członki każdy z rozkoszą ogrzewa;

Ogień pełza, jak wężów skłębiona gromada,
Wije się zwolna, trzeszczy, podnosi, opada.
Czasem huknie, jak wystrzał straconej pikiety,
Lub z wojsk nieprzyjacielskich puszczone rakiety;
Zżyma się srodze, płonąc, ciemnym dymem kłębi,
Wypuszczając prąd iskier i w komin zagłębi.
Dzisiaj, gdy drzewo coraz podnosi się w cenie,
Komin we dworach wiejskich poszedł w zapomnienie
I z nim razem z dniem każdym niknie coraz, słynne
Niegdyś w ojczyźnie naszej, ognisko rodzinne;
Jego ciepło łączące dalsze stopnie rodu,
Było dźwignią i spójnią całego narodu.
Teraz, bo już pod maską postępu obłudną,
Nawet najbliższych związków krwi dobadać trudno;
Materyalizm jak robak społeczeństwo toczy,
Poklask wszystkich pozyskał i myśli jednoczy;
Czy z nim zajść można dalej, utraciwszy serce,
Wiarę, miłość rodzinną i żyjąc w rozterce?
To przyszłość nam okaże. Czas opamiętania
Przyjść musi, a z nim razem chwila zmartwychwstania.

Bez namysłu wszedł młodzian za wskazaną radą;
Co widząc Hanna, mężnie chociaż z twarzą bladą
Idzie do sieni zwolna, poza której drzwiami
Słychać stuk, głosy grzmiące i bicie kolbami;
Hania klucz w zamek kładzie; klucz z ręki wypada.

„Hej! Czy tam buntowczyki, czy się knuje zdrada?"
Na brzęk klucza zahuczał za drzwiami głos dziki;
„Otwórzcie! drzwi wysadzim, hej, wy, buntowczyki!"
Oprzytomniawszy Hania, klucz podnosi z ziemi,
Otwiera zamek dłońmi z wzruszenia drżącemi;
Drzwi od zewnątrz gwałtownie popchnięto, połowa
Rozpada się — i wbiega czereda wojskowa,
Rozjuszonych Moskali. Jak wilków gromada,
Gdy do cichej zagrody owiec się zakrada
I raz wbiegłszy, spoziera wkoło siebie trwożna,
Czyli w razie zasadzki, umknąć będzie można,
Tak oni zerkną w każdy kąt z niedowierzaniem;

I niezadowolnieni komnat przeglądaniem,
Spokojni że zasadzki znikąd być nie może,
Poczynają przerzucać wszystko w całym dworze,
Otwierać szafy, biórka, komody, schowania,
Przetrząsać szaty, sprzęty, bieliznę, posłania,
Odrywając podłogi, zamki, okiennice;
Wreszcie idą rabować spiżarnię, piwnice,
Wróciwszy po wypiciu wódki, miodu, wina.
Naraz rzecze naczelnik:
„Jeszcze do komina
Nie zajrzeliście chłopcy“.
Na słowa takowe
Hani tchu zbrakło w piersiach; odwróciła głowę;
Szczęściem nikt z nich grą twarzy jej nie był zajęty.

„Czort chyba by tam siedział; albo duch zaklęty!“
Odrzekł sołdat spełniając rozkaz naczelnika;
„Ciemno jak w grobie, proszę mości pułkownika“.
I odeszli; co słysząc odetchnęła Hanna.

„No,“ rzecze znów pułkownik; „niech nam powie panna:
Czy tu byli powstańcy?“

„Dziwne zapytanie,
Zkądże ja o powstańcach mam wiedzieć, mój panie!“

„Sołdaty, przyprowadźcie mi tu służbę całą!“
Krzyknął głośniej.
Po chwili w drzwiach się ukazało
Kilkunastu, wiodących skrępowane sługi;
Pułkownik bada wszystkich z kolei czas długi,
Z początku ciszej, potem jak zwierz rycząc w gniewie,
Każdy z nich odpowiada, że o niczem nie wie.
Rozwścieczony nakoniec:
„Powiedz, niegodziwy!“
Ryknie, chwyciwszy ręką Prota za włos siwy
I targa z całej mocy, rozjuszony srodze,
Jako niedźwiedź, gdy gałąź stanie mu na drodze.
Hanna zdjęta rozpaczą, pada na kolana,

Błagając nadaremnie o litość tyrana;
Lecz on na nic nie bacząc, woła:
„Buntowczyki!
Ja wam tu zaraz zdołam rozwiązać języki!“
Szarpie ich, kopie i bić każe nahajkami;
Nic jednak nie wydali, biedni, pod razami.
Porzuciwszy znękaną służbę, w krwi zbroczoną,
Wybiega poić mordów chnć nienasyconą.
Złorzecząc prezesowi, Hani, ale ona
Stoi jakoby posąg i wzniósłszy ramiona
Ku niebiosom, zawoła:
„O, pomścij nas Boże!“
W tejże chwili z tkliwością wzrok zwraca na łoże,
Na którem usiadł prezes, strapiony, zbolały;
Zdało się, że podstarzał lat dziesiątek cały.

„Ach“ wyjęknął; „zdarzenie jako te, chwilowe,
Jest w stanie życie ludzkie skrócić o połowę!
Moi ludzie poczciwi i szlachetne dusze,
Czemże wam wynagrodzić zdołam te katusze?
Czyż takie poświęcenie kto odpłacić w stanie?
Ale wdzięczność w mem sercu zawsze pozostanie!“
I po kolei wszystkich przyciska do łona;
Hanna sług poczciwością do łez rozczulona,
Obejmuje ich głowy, pocałunkiem darzy,
Otarłszy krew, płynącą Protowi po twarzy;
Wszyscy milczą, aż pierwszy zabrał głos Prot stary:

„Każdy człek według stanu ponosi ofiary;
Państwo tracą najwięcej, bo im Bóg dał dużo,
Są dobrzy, za to im też ludzie wiernie służą.
Mielibyśmy się zdrady dopuścić niegodnie?
Bógby nas ciężko skarał za tak wielką zbrodnię!“

Ten stosunek dziś dziwnym wydaje się może,
Między państwem a służbą, lecz w zażewskim dworze
Pan był głową jednego i licznego rodu,
Prezes nad tem pracował od dawna; już z młodu,
Starał sobie pozyskać służbę i gromadę

I każdy szedł do niego po pomoc, po radę;
To dzieło rozpoczęte ukończyła Hanna,
Przez nią wsi była łączność z dworem nieustanna;
Ona biedakom wsparcie u możnych uprosi,
Dla chorych lepszą strawę po chatach roznosi,
Odprawia nabożeństwo majowe co roku;
Wszyscy ją też kochają i bez jej widoku
Nie mogliby się obejść, jak ogród bez róży,
Bo dziewczę czem się może, każdemu przysłuży
I nietylko powinność, lecz rozkosz w tem czuje.
 Nic nad dobry uczynek więcej nie smakuje,
Sercu dając pociechę i zadowolnienie:
A czyż jest skarb cenniejszy, nad czyste sumienie?
Dla biednych wprawy w lekach wnet nabrała tyle,
Że lud biegnie po radę, nie bacząc na mile
I dziś rzekła do służby:
 „Dam wam maść na rany.
A ty, połóż się w łóżko, ojczulku kochany,
Tak okropne jak ono przed chwilą zdarzenie,
Może wpłynąć na zdrowia twego pogorszenie“.
I wyszła do apteczki, a za nią i sługi,
W apteczce zabawiwszy tylko czas niedługi,
Powraca jaknajśpieszniej uwolnić młodziana
Z niedogodnej kryjówki, mówiąc:
 „Proszę pana,
Uciekaj póki pora, wrócić bowiem mogą,
Może cię szpieg podpatrzył, idącego drogą,
Doniesie im i wrócą, niezawsze los sprzyja;
Życzę, niechaj przygoda zła pana omija!
Możeś głodny? przyniosłam ci posiłek mały,
Spiesz pan tylko, bądź szczęśliw, że uszedłeś cały“.
Patrząc oknem, dodaje: „ot, widzi pan łodzie?
Siądź do jednej, płyń szybko; raz będąc na wodzie,
Nie masz się czego lękać, umiesz wiosłem robić?
Snadno na brzeg przeciwny będzie ci się dobić“.
Na to młodzian:
 „O! pani, nie wystawisz sobie,
Jakiem przeszedł męczarnie! Tam duszno jak w grobie,
Sadzy pełno i ciemność; każde poruszenie

Mogło było mnie zdradzić, wyjawić schronienie;
A kiedym głos posłyszał od dołu złowrogi,
Krew mi zbiegła do głowy — mniej się czuje trwogi,
Gdy się z wrogiem potyka, niż myśleć o zgonie,
Nie mogąc stanąć w życia swojego obronie.
Być jako mysz schwytanym, w łapce zaduszonym...
Ale dzięki ci pani, przez ciebie zbawionym!
Przyjechawszy od rządu naszego — z Warszawy,
Podszedłem do ogrodu, nieświadom obławy:
Jeśli legnę, niechaj Bóg ten czyn ci nagrodzi.
Żegnam cię; bądź szczęśliwa, bo czas szybko schodzi!"
Skłoniwszy się pobieżał, wartko, jako strzała;
Hania stanąwszy, w myślach zatopiona cała,
Zbliżyła się do okna, z natężonym wzrokiem
Słucha, jak słabnie w dali coraz krok za krokiem,
Potem plusnięcie ciszę przerywa miarowe;
Oddech w piersi wstrzymując, przechyliła głowę,
Spostrzega go, on zdala ogląda się, skłoni,
Ona — jako kwiat róży, nagle się zapłoni,
Ukłon wdzięcznie oddając raz wtóry, aż minął
Zatokę i na głębszą toń wody popłynął;
Wtedy westchnąwszy, śpieszy do ojca pokoju.
W rysach jego znać ślady strudzenia i znoju;
Snać spokój mu zamąca dzisiejsza przygoda;
Córka jego tak jeszcze delikatna, młoda,
A nuż więcej podobnych zdarzeń nazbyt wzruszy
Tajniki onej czystej i niewinnej duszy,
Jego przyszłe zamysły, nadzieje zniweczy?
Któż tę młodą latorośl nadal zabezpieczy,
Od tylu przykrych wrażeń? chociaż go nakłania
Stan jego zdrowia do snu takie rozmyślania
Nie dają mu na chwilę zamrużyć powieki.
Biedny ojcze, o, jakżeś ty jeszcze daleki,
Od świadomości wszystkich uczuć ukochanej!
Troszczysz się, najdotkliwszej nie dostrzegłszy rany,
Nie wiesz, że serce córki raz pierwszy zabiło
I że kocha tak wielką, tak potężną siłą,
Że gdy ją los rozdzieli z przedmiotem miłości,
Może już na tym świecie długo nie pogości.

„Gdzie tak długo bawiłaś, drogie dziecię moje?"
Pyta prezes: „tak bardzo dziś się niepokoję,
Sam nie wiem, o co; książkę weź od nabożeństwa
Nieboszczki matki twojej, przeczytaj męczeństwa
I pieśń, „kto się w opiekę akt wiary, nadziei,
Miłości", czytaj zwolna, czytaj po kolei.

Hania siadłszy przy łożu czyta; każde słowo
Uspokaja, otuchy dodając stopniowo;
Na oblicze chorego spokój wraca błogi.

„Staraj się usnąć teraz, ojczulku mój drogi,
Kucharz pewno nieprędko dziś obiad zgotuje".
To rzekłszy Hania, ojca z uczuciem całuje
I story zapuściwszy, na palcach wychodzi,
Szepcąc:
„Boże, uzdrów go, może się nie godzi,
Że dotąd zachowałam przed nim tajemnicę,
Ach, serce boli srodze; czy wyschły źrenice?
Płakałabym; uronić łzy nawet nie mogę,
Jakaś bojaźń mnie dręczy, przeczucie złowrogie,
Dziwne, straszne obrazy snując mi przed oczy;
Myśl jedna ustawicznie przesuwa się, tłoczy,
Od chwili gdym go dzisiaj zobaczyła z rana;
Piękny, szlachetny, w oczach słodycz niezrównana,
Wzrok mi gdzieściś znajomy; lecz kędy, nie pomnę,
Mogłam widzieć spojrzenie, tak czyste, niezłomne;
Nie spotkałam jak żyję, takiego wyrazu:
Czemuż go do ucieczki znagliłam od razu?
Byłby może nazwisko swe wyjawił wtedy;
Ach, żebym go zobaczyć mogła jeszcze kiedy!
Ale jego pochwycą, ach, zabiją może!...
Jak straszno o tem myśleć; moj Boże, mój Boże!
Oni tam poszli za nim; przebóg! Co to znaczy?
Słychać strzały, biją się; ach, skonać z rozpaczy!
Coraz głośniej i częściej; nie, słuch mnie nie myli;
Boże mój! Jeśli strzałem pierś jego przeszyli..."
I jękła, załamując ręce zrozpaczona,
Zachwiawszy się, upada, znów w ojca ramiona,
Który krzykiem zbudzony, zdążył póki pora.

„Co ci jest? dziecię moje, znów mdlejesz, tyś chora?“

„Nie, ojcze drogi, dziwna niemoc, osłabienie,
Przestrach mnie opanował; jakieś przywidzenie,
Słyszałam krzyki wrogów, huk wystrzałów srogi
I w tej chwili podemną zachwiały się nogi,
Poczęłam coraz słabnąć, gdyby nie twe ramię,
Byłabym padła pono, jako gdy kto złamie,
Lub podetnie w podstawie kwiat, albo roślinę“.

„Chciałbym tego zemdlenia odgadnąć przyczynę,
Moje dziecię najdroższe;“ na to prezes rzecze;
„Ale kto tajemnicy waszych serc docieczе?
Wszystkie otwarte, szczere, lecz do pewnych granic,
Ale raz po za niemi nie dojdziesz nic a nic.
Zmęczyłaś się, nadzwykłe dziś przeszłaś katusze,
Więc z kolei spoczynek zalecić ci muszę“.

Zaledwie prezes onej dokończył rozmowy,
Gdy drzwi się otwierają, z komnaty stołowej
I wchodzi Bronisława, zapłakana, blada,
Za nią dzieci jak piskląt sypie się gromada,
Poczną ściskać się, pieścić, całować wzajemnie,
Lecz na spokój zewnętrzny siłą się daremnie;
Za świeże snać ich rany, zbyt dotkliwe ciosy;
Opowiada kolejno każdy swoje losy,
Przeplatając je krzykiem, płaczem, narzekaniem,
Aż nareszcie wyszepce Bronisława z łkaniem,
Sadzając dwoje mniejszych dzieci na kolana:

„Przybyłam na czas dłuższy, bo już niema Jana!“

„Gdzież Jan?“ wykrzyknie prezes, a w głos za nim Hania,
„Cóż się stało?“

„Odjechał wczoraj do powstania“.

„Ależ to być nie może, ojciec tylu dziatek!“
Znown prezes „cóż poczniesz? bieda, niedostatek

Dom nawiedzą, bo któż go zastąpić wam zdoła?
A wiesz, że to nowina wcale niewesoła.
Żeby to człek przynajmniej był możny, bogaty"...

Wtem dzieci krzyczeć poczną: „mamo, niema taty!"
Najstarszy z nich, liczący pono szóstą wiosnę,
Zawoła:
„Nie płacz, mamo, tylko ja dorosnę,
To także razem z tatą pójdę bić Moskali!"

„Ach!" Jękła Bronisława; „powiem państwu dalej,
Jaki powód przynaglił do wyjazdu Jana;
Otóż wczoraj kapitan. przybył do nas z rana,
Wraz z jakimś młodym człekiem, jadącym z Warszawy,
Ma to być wódz niezwykłej odwagi i sławy;
Obadwaj nalegają, by nie tracąc czasu,
Siadł z nimi, bo Moskale już ciągną od lasu
I chcą Jana pochwycić, uprzedzeni zdradą.
W samej rzeczy ktoś skoczył na dach, krzyczy: „jadą!"
Nie starczyło nam czasu pożegnać się nawet,
Jan odchodząc, pogroził: „dam ja wam, wet za wet!"
I pojechali szybko wziąwszy zapas broni;
Ledwie zniknęli, nagle słychać tenteut koni,
Nadciągają Moskale, rozjuszeni, wściekli,
Zapytują o Jana i wszystko wywlekli,
Poprzetrząsali w domu, poszukując zbiega;
Po ogrodzie ta zgraja wszędy się rozbiega,
Mnie, sługom urągając, bijąc kogo znajdą,
Aż nakoniec gromadą do piwnicy zajdą,
Pijąc do upadłego, ciągnąc gwałtem dziewki
I nucąc pod mem oknem różne sprośne śpiewki.
Przeszliście dziś to samo, więc mój strach pojmiecie,
W trakcie tego zasłabło mi najmłodsze dziecię.
Inne krzyczą, pytając z przestrachu: „gdzie tato?"
O, niechaj ich Bóg skarze, tych nędzników za to,
Że ojca tylu dziatkom maleńkim wydarli!...
Bodaj zginęli marnie i z głodu pomarli!
A za te łzy com przez nich wylała nieboga,
Niech konają w męczarniach, zakłóci przez wroga!"

Ojciec z córką słuchają, straszną zgrozą zdjęci,
Hania blednie, a prezes widząc co się święci,
Przywołuje Agnieszkę; razem wszyscy troje
Zanoszą ją do łóżka, przez dalsze pokoje:
Dzieci w jadalni niańka zajęła zabawą,
Prezes siada przy łożu razem z Bronisławą,
Która Hanię układłszy, odwilża jej skronie,
Puls bada i oddechu nadsłuchuje w łonie;
Przekonawszy się wreszcie po badaniach onych,
Że to skutki chwilowe wrażeń odniesionych
Że zaśnięcia przyczyną nadmierne strudzenie,
Zaleca prezesowi ciszę i milczenie.
On również przygodami zmęczony nad siły,
Pocznie drzemać, do snu mu oczy się skleiły,
Na poręczy fotela wsparłszy siwą głowę
Kiwnął nią i w objęcia padł morfeuszowe.
Bronisława tymczasem usiadłszy na stronie,
Patrzy na śniących, w myślach głębokich utonie,
Wspominając co zaszło, widzi swego Jana,
Mówi do niego, marzy, aż wreszcie kolana
Zgięły się pod nią, pocznie modlić się gorąco:
„Boże mój, wejrzyj okiem na upadającą
Pod krzyżem srogich ciosów, wierną sługę Twoją!
Mój umysł widma nieszczęść srogich niepokoją,
Moją duszę ogarniać poczyna zwątpienie,
Racz ukoić tę rozpacz; zesłać pocieszenie!
Racz zachować mi ojca moich biednych dzieci,
Znikło już moje słonko, więcej mi nie świeci...
Znikła moja podpora, mój przyjaciel wierny,
Daj sił, by znieść cios mężnie; Boże miłosierny!“

I kiedy na ostatnim stanęła wyrazie,
Słyszy jak ktoś powtarza za nią raz po razie;
Głos to był jakiś dziwny, niezwykły i głuchy,
Taki, jakim się chyba posługują duchy.
Przelękła Bronisława, patrzy w oną stronę,
Zkąd zostały wyrazy za nią wymówione,
Mimo że słyszy własne, powtórzone słowa,
Niezwykły urok na nią wywiera ta mowa

I słucha, czyli śniąca nie powie co więcej,
Ale myśli zamarły snać w główce dziewczęcej —
I promienie jej włosów spływając niedbale
Wiją się po poduszce, jako wody fale,
Kłębiące się nad wody kryształową tonią.
  Kobiety są domyślne, odgadną gdzie dzwonią,
Po spojrzeniu, westchnieniu, słówku, głosu zmianie,
Ukryć się przed ich wzrokiem niełada zadanie,
Przeczuciem zgłębią serca wnętrzne tajemnice;
Bronisławie dość było spojrzeć w Hanny lice,
Gdy swe opowiadała wczorajsze przygody,
Aby poznać, że podbił jej serce wódz młody,
A że to on być musi przeczuciem odgadła,
Ale zkąd na wspomnienie jego Hania zbladła
I omal nie zemdlała znowu po raz drugi?
Byłby to do domysłów temat bardzo długi,
Złóżmy go również na karb kobiecej zmyślności,
A psychologicznej pieśń ta nie straci wartości.
  Hanna płci swojej również ma wszystkie zalety,
Lecz nie onej dzisiejszej, co liczy, niestety,
Zanim rękę powierzy, miłość poprzysięże,
I małżonka do jarzma jak wołu zaprzęże,
Lecz nie onej dzisiejszej, w zbytkach wypieszczonej,
Co poświęcić jest w stanie wszystko — dla mamony,
Gotowa dla niej nawet i sobą frymarczyć,
Bo na zbytek, czyż może majątek wystarczyć?
Słaba, ale przygody znosi z męzką siłą;
Skromna, lecz nie przesadnie, że aż patrzeć miło;
Nad wszystko kocha Boga, ojczyznę, rodzica;
Od kosmetyków wstrętnych wolne są jej lica,
Wie, że ładna, nie chełpi się jednak urodą,
Lubi zabawy, lecz nie z obowiązku szkodą

  Prezes pierwszy się zbudził i do córki bieży,
Lecz tylko Bronisławę prosi do wieczerzy,
Bo Hania śpi wciąż jeszcze, ocknie się, znów zaśnie,
Jako gwiazdka, gdy błyśnie płomieniem i zgaśnie;
Bronisława już do snu ułożyła dzieci,
Zdmuchnąwszy świecę, tylko lampka nocna świeci,

Przed obrazem cudownej Matki z Jasnej góry.
Wtem słychać stuk do okna, raz, a potem wtóry;
Drgnąwszy, okrzyk przestrachu ledwie wstrzymać zdoła,
Z po za domu ktoś na nią po imieniu woła;
„Głos Jana: Boże drogi! Sen, czy przywidzenie?“
I przelękła ku oknu zwróciła spojrzenie;
Nagle z wielką uciechą, trudną do pojęcia,
Dobiegłszy do drzwi, pada w małżonka objęcia.

Hanię bieg Bronisławy obudził z uśpienia;
Słysząc szepty radości, szczęścia, uniesienia,
Zrywa się, ciekawością zdjęta, ku drzwiom bieży,
Temi samemi ślady, oczom swym nie wierzy,
I z ukontentowaniem szwagierka powita;
Jedna przez drugą coraz co innego pyta,
Nakoniec do prezesa śpieszą wszyscy społem;
On również go z obliczem przyjmuje wesołem.
I jako rozłączeni długo, przyjaciele
Mający do mówienia z sobą bardzo wiele,
Radzi chętnie korzystać z każdej czasu chwili,
Tak z zajęciem rosnącem coraz gawędzili,
Czas im spłynął przyjemnie do późnej godziny.
Jan chce odejść, przyrzekłszy znów przyjść w odwiedziny;
Zaczyna pożegnanie, najpierwej od dziatek,
Rozdzieliwszy między nie czułości dostatek;
Dzieci chwytają szablę, to czapkę rogatą,
Wołając po kolei:
„Zostań z nami tato!
Nie jedź, bo mama płacze, powiększysz jej troskę“.

Na one prośby serce wezbrało ojcowskie,
Jan ledwie zdoła zebrać całą siłę woli,
Ażeby wytrwać mężnie w swej tułaczej doli.
Żona, Hania i prezes żegnają go z łzami,
Gdy wyszedł, pozostawszy wszyscy troje sami,
Płacząc, przeróżne na myśl przywołnją chwile,
Których z nim i ze sobą przeżyli już tyle.
Były to czasy inne, szczęścia i wesela,
A dzisiaj... jakaż przepaść z sobą ich rozdziela?...

I prezes się zadumał, nad przeszłością oną,
A zadmuchnąwszy fajkę, świeżo nałożoną,
Odchodzi, sen przerwany powetować nieco

Niełatwo zaspokoić ciekawość kobiecą;
Gdy Hania z Bronisławą znów się do snu kładnie,
Ta ostatnia rozmyśla jak ją podejść zdradnie,
Pocieszona w swym smutku, męża przyrzeczeniem —
I spotkawszy się oko w oko z jej spojrzeniem,
Aby wyraz jej twarzy zauważyć bacznie,
Mówiąc, kiedy niekiedy potrąci nieznacznie,
Jak szermierz w pojedynku, szablę przeciwnika,
A gdy niezbyt dyskretnie słówko się wymyka,
Powstrzymuje je znowu, jak on, gdy spostrzeże,
Że wróg fortel odgadłszy, górę nad nim bierze,
Aż widząc, że spłonęła, po jednem pytaniu,
Wykrzyknęła z tryumfem:
„Ty go kochasz Haniu!"

Tak szermierz, skoro zoczy, że wróg się zapali,
Jednem cięciem mistrzowskiem u nóg go powali.
I westchnęła nad losem braci siostra biedna,
Widząc, że im już serca kuzynki nie zjedna.

PIEŚŃ VIII.

Obóz.

Hanna razu pewnego skończywszy ubranie,
Bieży od rana, ojcu zgotować śniadanie;
Oboje zwykli byli pić w jadalni kawę;
Gdy zdrowie ojca wzbudzać poczęło obawę,
Przerywać sen potrzebny rodzicowi broni,
Aż dopókąd nie ocknie — i sam nie zadzwoni.
Wtedy kawę mu wnosi i prosto z garnuszka
Nalawszy ją, z śmietanką podaje do łóżka.
On pijąc, z smutkiem patrzy w blade lica Hanny,
Która siedząc, ubrana w szlafroczek poranny,
Sili się go rozerwać wesołym szczebiotem;
Wtem wchodzi Bronisława, mówić pocznie o tem,
Że już ludzi kilkoro wieść radosną niesie,
O obozie powstańców w pogranicznym lesie.
Prezes uszczęśliwiony tak był tą nowiną,
Że mimo osłabienia, wstaje z łoża ino,
Aby wzrok współrodaków widokiem uraczyć,
Ale musi ze smutkiem zamiar przeinaczyć;
Napowrót się położyć, dawszy polecenie,
Aby im dowożono obrok i jedzenie,
I wysłał pod ułanów czterech tyleż koni,
Oraz kilka sztuk palnej, przechowanej broni.
Hanna również dołącza do podarków owych
Kopę przeszło proporców, dwóch barw narodowych;
Wraz z kilku tuzinami różnego odzienia,
Które się doczekało swego przeznaczenia.

Nazajutrz dzień zaledwie słońce z po za ziemi
Błysło w przeźroczy nieba, promieńmi złotemi,
Oznajmiając dzień światu — i z przeciwnej strony
Księżyc blask utraciwszy, zniknął zwyciężony,
Kryjąc twarz między chmury, jak rywal, kochanek;
Zaledwie pierzchły grona hożych świtezianek,
Nad zwierciadlaną wody pląsających tonią,
Nocne widma z przestrachem przed brzaskiem się chronią,
Ptactwo nucić poczyna, zwierz za żerem goni;
Pośród cichych, nad brzegiem jeziora ustroni,
Przechodzą dwie niewiasty, w strój wiejski ubrane,
Głowy mając krasnemi chustki przyodziane,
Kibić w stanik ujęta i białe rękawy,
Kolor sukien, fartuszków, podobnież jaskrawy.
Pierwsza młoda, nadobna; drugiej wiek podeszły,
Obie szybkiemi kroki brzegiem wody przeszły
I prosto podążają do bliskiego boru.
Pomimo podobnego tych niewiast ubioru,
Wnosić snadno po ruchach, po różnicy mowy
I obejściu, że stan ich nie jest jednakowy.

„Niech panienka da koszyk!“ Starsza młodszą prosi;

Na to młodsza: „Zaciężko byłoby gosposi,
Jam młoda; czyż utrudzić nieco się zaszkodzi?“
To mówiąc, coraz szybciej ku dolinie schodzi,
Trzymając drobną rączką koszyczek zielony;
Co chwila oglądając się na wszystkie strony,
I śledząc niby za czemś; niekiedy przystaje,
Smagłem ciałem, jak łania, naprzód się podaje.
Gdy posłyszy psów gończych szczekanie zdaleka.
Chwilę na pozostałą towarzyszkę czeka
I gdy ta z nią się zrówna, znów przyśpiesza kroku,
Trzymając wciąż koszyczek zielony przy boku.
Podróżne coraz w stronę zbliżają się lasku,
Na którym już jaśnieje słonko w pełnym blasku;
Naraz młodsza podbiegłszy, woła, klaszcząc w dłonie:

„Trafiłyśmy, Agnieszko! Widzisz, ogień płonie;

Spojrz! Ot tam, ponad lasem, wzbił się w słup szeroki
I jakoby wąż, pełznie, pomiędzy obłoki.
Trafiłyśmy, Agnieszko! Teraz śpieszmy skoro,
Trza nam bowiem powrócić przed śniadanną porą".

Coraz słychać wyraźniej ptaszząt świegotanie
I donośniejsze z dali psów z wiosek szczekanie;
Na tle nieba, na wzgórzach, rysują się cienie
Trzód biegnących corychlej, ukoić pragnienie.
Drzewa szumią, wiatr dysze, koło huczy w młynie,
Rybka pluśnie nad tonią, zabłyśnie i zginie;
Nad lasem zatoczywszy kania krąg, półkole,
Przeciągle pogwizdując, prosto zmierza w pole,
Szukać szczęścia w zdobyczy; śmierci się nie boi,
Wiedząc, że o zgon kani nikt teraz nie stoi,
Chyba, żeby zapragnął popróbować strzału.

Podróżne nasze doszły do lasu pomału,
Ominąwszy potrójne staże rozstawione,
Gdy przez ostatnią wewnątrz zostały wwiedzione:
Jakże miłe ich oko raduje widzenie!
Stos drzewa, z pod którego buchając płomienie,
W kłęby dymu się wznoszą; wśród nich umieszczone,
Stoją kotły, ze wszech stron ludźmi okolone.
Jako bandą cyganów lśniących barwą stroju.
Czamarki jednych na kształt węgierskiego kroju,
Innych bluzy ściśnięte rzemiennemi pasy,
Z za których sterczą szable, noże, kordelasy.
Owi w burkach, mundurach i spodniach szerokich,
I czapkach różnokształtnych, niskich, to wysokich.
Leżą, oparci stoją na strzelbach, lub kosie.
Rżenie koni rozlega się echem po rosie,
W dali, jak tyczki chmielu, na krzyż ułożone,
Błyszczą kosy, gotowe na wszelką obronę.

„Hej! Nieszpetna dziewucha do obozu bieży!"
Woła kilku, pod bronią stojących młodzieży.
„Jakoś z rysów, z postawy, podobna do pani;
Że je tak przepuścili swobodnie ułani!

Młodsza jest warta grzechu: aż z ust ślinka płynie!
Dalibóg, warto bliżej przyjrzeć się dziewczynie".

„Cicho! Wara młokosy! A stać mi w szeregu!"
Krzyknie dowódzca. Konia osadziwszy w biegu
I zeskoczywszy z siodła, ku niewiastom kroczy,
Nagle, staje jak wryty, patrzy młodszej w oczy,
Mówiąc:
„Czy mnie wzrok myli?... Czy nastarość ślepnę?...
Lecz prędzej tego kurzu z mych cholew nie strzepnę.
Aż się dowiem, kto jesteś: na Najświętszą Pannę!
Rysy mi przypominają kogoś... pannę Hannę.
Oj, niełacno starego wyprowadzic w pole!
Miało się to za młodu spojrzenie sokole,
I z niejednego pieca, jak mówią, chleb jadło;
Niedziw, że cię pod onem przebraniem odgadło!"
Mówiąc to pyta Hanię, cmokłszy w rączkę drobną:
„Cóż tam słychać? Ojczulek choruje podobno".
Rewizyą wam kanalie narobili strachu:
Od jednego tych łotrów wyżeniem zamachu!
Tylko wpierw moich zuchów do musztry zaprawię;
Pozwolisz, panno Hanno, że ci ich przedstawię".
I zwróciwszy się ku nim:
„Prezentuj broń!" Krzyknął.
Żołnierz już do karności choć świeży, przywyknął,
Bo komendę wykonał w jednem oka mgnieniu;
A za nowym rozkazem, z bronią na ramieniu,
Przedefilował równym i zwartym szeregiem;
Obracając się różnie, szybkim, jak wiatr biegiem
Zakończył popis cały, ku niewiast zdumieniu.
Ochotnik pojętniejszy jest zwykle w ćwiczeniu,
A był to w większej części dobór i kwiat młodzi,
Z których każdy wie, po co do lasu wychodzi,
Z których każdy wie, z jakim ma się potkać wrogiem;
Pola nie zalegając od dziecka odłogiem,
Kształcąc się rozmaicie; kiedy naraz nagle
Przyszła pora rozpuścić na wiatr łodzi żagle,
Rzucić ją w nawałnicę, na niepewne losy...

Tacy, choć szeregowcy, mieli swoje głosy,
Wolno im było nieraz wyjawić swe zdanie.

To też, podszedłszy zbliska, który pozna Hanię:
„Wiwat, nasza gosposia!“ Krzyknąć nie omieszka.
Na ten krzyk zapłoniła się stara Agnieszka;
Ale widząc, że wzrok zwracają ku panience,
Założyła na koszu zwolna obie ręce,
Czekając, aż się owa rzecz z czasem wyjaśni.

„A to co!“ wódz wykrzyknie; „chcecie ze mną waśni?
Obywatelskiej córce śmiecie dać przezwiska?
Chodźcie tu, do mnie; każdy pojedyńczo, zbliska!
Jakem kapitan, wszystkich wyzywam na rękę!“

„Może na mnie wołają, a nie na panienkę?“
Odezwie się Agnieszka, chcąc rzecz załagodzić.

„Dalej! Tu, po kolei! Wychodzić, wychodzić!“
Woła kapitan, srogiem patrząc na młódź okiem.

Jak zwierz, co pokornieje przed pogromcy wzrokiem,
Tak oni, dziwując się tej w wodzu odmianie,
Radzą, co począć, winiąc go o obłąkanie.

Nakoniec Hanna, czując, na co się zanosi,
Kapitana o kilka słów na stronie prosi.
Kiedy na to przystaje, przekładać mu pocznie,
Że to młodzież znajoma musi być widocznie,
Że to pewnie ci sami, których ona zrana
Ugaszczała pod nieobecność kapitana.
Udobruchał się wiarus, przebaczył młodzieży,
Bo ją kochał, tak, jako dowódzcy należy
I zakończenie sporu nastąpiło zgodne.

Wtem wóz naładowany jedzie, różnorodne
Mieszcząc w sobie zapasy ze wsi, spiżarniane;
W stojącym z przodu kojcu, siedzą pomięszane
Kury różne, to kaczki, perliczki, indyki,

Dudnienie wozu głusząc wrzaskliwemi krzyki.
Jako w wózku rzeźnickim, spętane powrozem,
Leżą ciołki i trzoda chlewna, a za wozem
Przywiązane doń bydło, wolnym krokiem bieży.
U wierzchu, w środku samym, jakoby na wieży,
Siedzi postać wysoka, z kapturem na głowie.

„Kwestarz!“ Wykrzykną zewsząd; „chwytać go, panowie!“

Na to wysoka postać w górę się podnosi
I krzyknie grubym głosem:
„Kwestarz o głos prosi!“
Cisza nastała wkoło; on pocznie w te słowa:
„Słuszna to, nie zaprzeczam, panów braci mowa;
Wszystko zda się w tych czasach, pro publico bono;
Gdy chcecie, zabierajcie, dla was przywieziono.
Niechaj się wam dostanie na zdrowie, pożytek!“

Rzucono się z okrzykiem, w skok, na on dobytek:
„Wiwat kwestarz!“ Wołając, na rękach go wznoszą,
Podrzucając do góry, jak piłkę, z rozkoszą.
Wtem, gdy na cześć kwestarza tak huczą wiwaty,
Spadł mu kaptur:
„Na Boga! Spojrzyjcie, wąsaty!
Kwestarz z wąsami!“ Zewsząd podnoszą się głosy.

„Nie przypadkowe do was zagnały mnie losy“,
Woła kwestarz: „proszę się uciszyć, coś rzekę!“
Milkną; on ciągnie dalej: „Nie tak są dalekie
Moje stosunki, aby sięgły aż do nieba!
Słyszę, żeście tu przyszli; żywności im trzeba;
Pomyślałem wraz z żoną...“

„Hej, kwestarz żonaty!“
Wołają, na cześć jego znów wnosząc wiwaty.

On na to nie zważając niby, ciągnie dalej:
„Bylibyśmy wam lepiej wóz naładowali,
Gdyby nie to, że Moskwy okradły nas syny;

To co wiozę, to tylko małe okruszyny,
Mimo to, pożywicie się z onych bagatel;
Bom nie kwestarz, lecz sąsiad, tej wsi obywatel".

„Niech żyje!" Znów wołają; „bodaj takich wiele!"

„Szwagierku! Przyjacielu! Braciszku! Aniele!
A ty zkąd tu? Zkądże cię tu przywiodły bogi?
Dajże pyska! Lat kopem nie widział cię, drogi!"
Tę litanią jednym tchem wyszeptał przybyły,
Cmokając kapitana, ile starczy siły,
Który wraz z Hanią onej przyglądał się scenie,
Ale jako dowódzca, zachował milczenie.

„Ciszej, ciszej, mój Piotrze!" Mówi tenże chłodno;
Trzeba się tu z powagą zachowywać godną;
Ja komendant; to moi podwładni, młokosy;
Spoufalasz ich z sobą, wrzeszczą w niebogłosy,
A potem do mnie bieżysz, na miejsce niepomny:
Zawsześ jest nieoględny, zawsze nieprzytomny!"

„Widzę, że tu chorujesz na wielką powagę,
Dla innych, a nie dla mnie zachowaj tę blagę!"
Odpowiada Piotr, z drwiącym patrząc nań wyrazem.

„Ostrzegam, że tu drwinek nie przepuszczam płazem!!"
Znowu na to kapitan, unosząc się, rzecze.

„No, no, ten zawadyaka chyba mnie usiecze,
Wiedząc, że mam do broni taki wstręt, jak rabin.
Wolę ja w domu siedzieć, niż dźwigać karabin —
I nie lękać się żony, jak inni mężowie!"
Kapitan obojętnym zdał się onej mowie.

„Nie wstyd to do tchórzowstwa przyznać się tak szczerze
Panu Piotrowi?" Po nim Hania głos zabierze:
„Kobiecie nie przystoi; tembardziej mężczyźnie!
Kapitan dług wypłaca godnie swej Ojczyźnie;
Pan zaś od powinności, chociaż młodszy, stroni".

„A cóż to za dzwoneczek nad uchem mi dzwoni?"
Rzecze Piotr, odwracając nagle ku niej głowę:
„W stroju wiejskim, a taką ma pieszczoną mowę,
Jakoby jaka panna z pałacu, z salonu;
Nie dostaje jej tylko obcego żargonu".

„Oj, wdzięczny on dzwoneczek, co na twe androny
Wypalił ci naukę, jako ksiądz z ambony!
Tylko, żeś go nie poznał; no, zgadnij, kto taki,
Przebrany w onym stroju jest dla niepoznaki?"
A widząc, że Piotr oczy wytrzeszcza daremnie,
Kończy kapitan: „Pono nie zgadniesz bezemnie.
Trudno poznać, bo dobrze przebrana, lecz przecie
Pomyśl trochę".
Piotr ciągle stał, jak w szkole dziecię,
Gdy pytań profesora odgadnąć nie może.
Wreszcie rzecze:
„U dyabła! Istne sądy boże!
Ależ przeistoczona jest do niepoznania!
Uf! Męczę się daremnie! Panna... panna... Hania!"
Wybuchnął, jakby ciężar spadł mu z piersi srogi;
Ale zkądże to panią tu przywiodły bogi?"

Tu Hanna opowiadać pocznie cel podróży,
Lecz bojąc się, że ciąg jej zbytnio się przedłuży,
Pożegnała ich obu, darząc po ukłonie.

W dali, ludzi gromadka rozmawia na stronie,
Jeden głośno dowodzi, inni zasłuchani,
Jak uczniowie w prelekcyi, że nie słyszą, ani
Widzą, jako niewiasty skręcają w ich stronę;
A były tem spotkaniem zaniepokojone.
Hanna nie przeczuwała, aby wszedłszy w knieję,
Miała spotkać znajomych, krewnych, kaznodzieję.
Przed jej przyjściem, zawoła jeden z tego grona:

„Tak dawno pojedynku kwestya załatwiona,
Z honorem dla stron obu, z pożytkiem dla kraju:
U ojców naszych zdawna było we zwyczaju,

Uczcić i zapić, każdą pomyślniejszą sprawę;
Ma tu ze sobą hrabia starkę, której sławę
Głosili literaci, opieli poeci;
Jak wysączyć kieliszek, aż w oczach zaświeci!
Kolorek rubinowy, jako kryształ czysty,
A niby woda w górskim strumieniu, przejrzysty.
Jan otrzymał mięsiwa wykwintnego smaku;
Ja zaś kupiłem w mieście butelkę koniaku;
Więc czem chata bogata, tem rada, panowie!"

„Najpierw," rzecze ksiądz: „wznoszę zapaśników zdrowie!
Niechaj żyją! Na chlubę rodaków i kraju!"
Spełniwszy kielich, wedle polskiego zwyczaju,
Ksiądz daje go z kolei w ręce pana Jana;
Jan przepił do Zdzisława, Zdzisław do Floryana
I gdy obeszła kolej wszystkich kilka razy,
Floryan, który do hrabi pozbył się urazy,
Mówiąc z nim, rzecze:

„hrabio, winienem ci życie!
Bo kto jak hrabia, umie strzelać znamienicie,
Z tym, gdy się pierwej chybi, niema co żartować!"

„Główna rzecz, w pojedynku zimną krew zachować",
Rzecze hrabia; „potrzeba obycia i wprawy.
Ja tak często miewałem honorowe sprawy,
Że dla mnie są rozrywką w trapiącym mnie spleenie.
W strzałach również praktyka ma główne znaczenie:
W Niemczech, w któremś z miasteczek, (w jakiem, już nie pomnę)
Spieszą gromadnie rzesze pospólstwa ogromne,
Na odbywać mające się strzały kurkowe;
Słysząc o tem, przybywam na zapasy owe,
Prosząc, czy nie przypuszczą mnie również do strzału.
Jako obcy, nie mogłem brać w próbach udziału,
Zrobiono ten wyjątek, ominięto prawo;
Nie mogąc im wyrównać biegłością i wprawą,
Nie straciłem fantazyi — i mierzę do celu;
Cóż powiecie? Wyróżnia mnie los z pośród wielu
I trafiam w samo centrum. W jednem oka mgnieniu

Okrzyknięto mnie królem; z pompą, w otoczeniu,
Pod baldachimem, wiodą po rynku, po mieście,
Dając dar, wartający coś z talarów dwieście;
Prócz tego ofiarują sześćset w gotowiźnie.
Chcąc dać dowód hojności polskiej na obczyźnie,
Na ucztę całą oną przeznaczam im kwotę;
Podziwiają nieznaną w ich kraju szczodrotę,
Obsypując mnie mnóstwem pochwał, komplementów;
Zbywałem, jako mogłem, ciekawych natrętów,
Którzy mi zapytanie zadali wsród wielu:
„Czyli wszyscy tak u was strzelają do celu?"

Odrzekłem: „Jestem jeden z gorszych w moim kraju".
„Donnerwetter!" Wykrzykną; jak u nich w zwyczaju".

Skończywszy, hrabia sztucer przykłada i mierzy;
Wtem opodal nich Hanna z gospodynią bieży;
Ominąć im stojących, było niepodobna:
Woda po jednej stronie; z drugiej sterczy drobna
W jednę masę cierń zbita, jako kolce jeży,
A dalej kładka, w poprzek nad strumieniem leży;
Przez nią trzeba przejść było, więc waha się chwilę,
Z Agnieszką razem, kto ma iść z przodu, kto w tyle;
Gdy hrabia to spostrzegłszy, jako galantuomo,
Widząc młodą dziewczynę, piękną, nieznajomą,
Wstrętne do jej odzienia przemógł uprzedzenie
I podaje jej rękę.
Lecz — jedno spojrzenie
Wystarczyło, by poznał omyłkę chwilową,
Więc skłoniwszy się, rzeknie doń francuską mową:

„Enchanté de vous voir! Mais d'où vient le bonheur
Que vous venez visiter notre camp à cette heure?"

„D'importantes nouvelles sont venues de Varsovie,
Au chef en personne, il faut que je les confies";
Odrzekła Hanna, mówiąc dalej swoją mową,
Bo Polką będąc, miała dumę narodową,
Obcym, nie chcąc pierwszeństwa dać nad swym językiem.

Wtem spostrzegłszy trzech krewnych, biegnie ku nim
[z krzykiem;
Z ich piersi również okrzyk podziwu wypłynie:

„Czyż to ona?“ Wołają, biegnąc ku dziewczynie.
W jednej chwili po rękach całują przybyłą,
Pytając:
„Cóż cię, Haniu, tutaj sprowadziło?
Czy przeczucie ujrzenia nas, po raz ostatni?
Może Bóg da ujdziemy szczęśliwie z tej matni!
Zkąd ten ubiór?“ Bez końca sypią się pytania;
„Przebrałaś się w wyborny strój; nie do poznania!“

„Na ten pomysł dziś wpadła poczciwa Agnieszka;
Wiedząc, że wróg skorzystać z czasu nie omieszka,
Spieszę, a wy mi wskażcie, dokąd mam iść dalej;
Ważne wczoraj papiery do nas nadesłali,
Nie mając do nikogo dosyć zaufania,
Przybywam osobiście, w celu ich oddania.
Ojciec chory, spoczywa; więc za towarzyszkę
Dla bezpieczeństwa, wzięłam ze sobą Agnieszkę.
Wiecie, gdzie wódz naczelny?“ Spytała po chwili;
Bracia ją w odpowiedzi pod rękę schwycili
I gawędząc wesoło, w głąb obozu wiodą.

Przy ogniu, ponad świeżo powaloną kłodą,
Siedzi człek, młody jeszcze; przy nim, obok, drugi,
Podtrzymuje zwój mapy, rozwinięty, długi,
Pierwszy na niej coś śledzi, z natężonym wzrokiem,
Myśl, jako cień, osiadła na czole szerokiem,
Powściągając na wodzy silną żądze czynu,
Wyróżniającą ludzi niezwykłych od gminu.
A mąż ów wyróżnia się prócz tego, postawą,
Obejściem eleganckiem i nabytą wprawą
Obcowania wśród ludzi, tak trudną i rzadką.
Mundur na nim opięty, granatowy, gładko,
Na dwa rzędy guzików; czerwone wyłogi,
Ułanka, szabla, buty długie i ostrogi
Uzupełniają resztę żołnierskiego stroju.

Doznajemy dziwnego nieraz niepokoju,
Gdy śniąc, albo spuszczone w dół mając powieki,
Ktoś o dystans spogląda na nas niedaleki,
Tak, iż pomimo woli, wzrok wnosim do góry;
Siła to magnetycznej jest czysto natury,
Chęcią zbadania której, wielu mędrców pała;
Wzrok istot obojętnych, słabiej na nas działa,
Niż onych, których żądza prze ku nam pragnienia.
Pewien młodzian obudził z wiecznego uśpienia
Młode dziewczę, we wilią jej pogrzebu nawet
Za co odwzajemniając się, ona wet za wet
Sercem pełnem wdzięczności, wstępuje z nim w śluby;
Tympodobnej wzrok Hanny snać dokonał próby;
Onejże magnetycznej musiał być natury.

Mąż nagle zamyślony, wznosi wzrok do góry
I widzi tuż opodal dziewczę wiejskie, młode;
Ale niebardzo czuły snać jest na urodę,
Bo przerwane zajęcie, znowu rozpoczyna,
Pytając tylko: „Czego żąda ta dziewczyna?“

„Wiemy, wodzu, iż pilne zajmują cię sprawy“,
Odrzekł Zdzisław: „i gdyby nie ważne, z Warszawy
Depesze, które siostra wręczyć ci przybywa...“

„Siostra wasza?“ Wódz pyta, podczas, gdy odrywa
Pieczęcie, przeglądając podane papiery;
„A przecież wy do innej należycie sfery,
Zkądże więc wasza siostra w onym chłopskim stroju?“
I przeczuciem wiedziony, pełen niepokoju,
Rzuca ku stronie Hanny badawcze spojrzenie,
Spotkawszy się z jej wzrokiem, drgnął; dziwne wrażenie
Snać uczyniła na nim ta wiejska dziewczyna.
Może mu znajomego kogoś przypomina?...
Jako mędrzec uczony, nie chciwy poklasku,
Po wieloletnich próbach, dopnie wynalazku,
Ciesząc się, że do gmachu cegiełkę dorzuci,
Tak wódz, kryjąc wzruszenie, nagle się odwróci
Ku braciom, by rozmową zająć ich uwagę,

Rzekłszy:
„Miałem sposobność już poznać odwagę
I serce siostry waszej, do poświęceń skore;
Gdyby nie ona, jużbym nie żył pod tę porę;
Kiedyindziej opowiem wam owo zdarzenie,
Dzisiaj proszę wdzięczności przyjąć zapewnienie;
Niechaj za to stokrotnie Stwórca jej odpłaci!
Tymczasem — wracać radzę pod eskortą braci;
Niech panią odprowadzą jaknajspieszniej, zdala;
Bo Moskwy ku nam płynie niezgłębiona fala
I może lada chwila, zaleje nas w koło.
Jeśli Bóg da, że mężnie stawimy jej czoło,
Przybędziem do Zażewa, wypić zdrowie pani.
Tymczasem, jeśli łaska, to prosiłbym w dani,
Obyczajem rycerskim, jaki znak za godło,
Aby się przedsięwzięcie to nasze powiodło;
Ażeby Bóg nas raczył wziąść w Swoją obronę
I dał w niem serce mężne i niezwyciężone".

Na to Hanna, która się na spokojność sili,
Wstążkę na lewym boku białą mu przyszpili

Puściwszy myślom naszym czas niejakiś wodze,
Przypatrzmy się po chwili tejże samej drodze,
Po której dwie niewiasty szły o wschodzie słońca.
Cień smutku towarzyszy im teraz bez końca;
Miasto jak wpierw — wesołe, idą zamyślone,
W przeciwną zmierzające, wstecz od lasu, stronę.
Trzej jeźdźcy jadą zdala; nim znikły za płotem,
Skłonią się, do obozu wracając z powrotem.
W młodszej oku łza wtedy niebawem zaświeci;
Już minęły nad brzegiem zastawione sieci,
Pospiesznie w ogrodowe wstępując szpalery,
Zostawiwszy na stronie staw, topole cztery,
Ostatnią suchą prawie i gniazdo bocianie;
Wchodzą wreszcie do dworu. Po chwili śniadanie
Wnosi starsza, do owej sypialnej komnaty,
W której chory spoczywa, przemieniwszy szaty;
Młodsza również przebrana, u wezgłowia siadła,

Lecz jakoś posmutniała, z łzą w oku, wybladła;
Nalewa kawę, usmiech przybrawszy łagodny,
Mówiąc:
„Wypij, ojczulku, pewnieś nieco głodny?“

Na co chory ocknąwszy właśnie w onej chwili:
„Coś, Haniu, taka blada? Czy mnie wzrok nie myli?
Znowu pewno musiałaś mieć jakieś zmartwienie:
Czy cię nie zatrwożyło znów senne widzenie?“

„Nie, ojcze, nieco byłam na głowę cierpiąca;
Ale“ — rzeknie po chwili: „pij, póki gorąca“;
Podając ojcu kawę. I dziwnie zmieniona
Była Hania, zaiste, jakby odrodzona;
Mimo, iż twarz jej blade przybrała kolory,
Których oko rodzica nigdy do tej pory
Tak znacznych nie dostrzegło, mimo, iż zwilżone
Źrenice jej zdały się, przez łzy uronione
Spojrzenie jej, przybrało wyraz szczęścia błogi,
Chociaż z liców widnieje cień smutku złowrogi.
Któż odgadłby uczucie, co jej sercem miota?
Któż odgadłby, jaka w niem boleść i tęsknota?
Czyliż ojciec tych smutków jest tylko przyczyną?
Do tej pory istotą był dla niej jedyną —
I zdrowie jego postrach w sercu córki wznieca;
Ale w jej oku nowy blask odtąd przyświeca,
Być może, z kuzynami boli ją rozstanie,
A może sama sprawy sobie zdać nie w stanie,
Co na całą istotę jej — tak oddziaływa?
W rzeczy samej, raz pierwszy serce jej roztlewa
Miłością czystą, świętą, dziewiczą miłością;
Ztąd wejrzenie choć łzawe, przyświeca radością.

Rzadko serca przeczucie wzajemne omyli,
One cierpią, cieszą się, smucą w jednej chwili;
Serce młodej dziewicy jestto pączek kwiatka,
Wypieściła, wydała go przyroda matka;
Lecz dopiero, pod blaskiem słonecznych promieni
Ow pączek się roztworzy, w kwiatek się przemieni.

Kiedy słonko za chmurę skryte, sposępnieje —
I on listki zamyka — kiedy zajaśnieje,
On rozkwita – gdy całkiem za chmury się skryje,
Kwiatek więdnie, usycha — i już nie odżyje!
Chyba, iż to ogrzanie dłań zwodniczem było,
Wtedy znowu rozkwitnie; lecz rzadko z tą siłą,
Z którą kwitł po raz pierwszy, ztąd — oprócz radości,
Niedziw, że w sercu Hanny i niepokój gości,
Który się w jej spojrzeniu odbił mimowoli:
Smutek wewnątrz tajony, najwięcej nas boli.

PIEŚŃ IX.

Bitwa.

Skwar silny, jako w letnią, południową porę,
Słońce pali, rzec można, ludziom na przekorę,
Nie mogącym się schronić od jego promieni;
Zwierzęta syte ciepła, szukają drzew cieni,
Z przymkniętym wzrokiem, senną opuszczając głowę,
Na niebie chmurki w poprzek krzyżują się płowe,
Przysłaniając niekiedy tarcz lśniącą planety,
Która przez to jakoby nabrawszy podniety,
Jeszcze gorętszem światłem przyrodę ogrzewa.
Od lekkiego powiewu kołyszą się drzewa,
Muszki i pszczoły brzęczą, ssąc miodu dostatek,
Motylki przelatując, z kwiatuszka na kwiatek,
Igrają po powierzchni drzew, jak płatki śniegu,
Wstrzymując się niekiedy w onym szybkim biegu,
Aby znowu nektaru pokosztować nieco
I chyżo, lekkie jak wiatr, ku wyżynom wzlecą.

Po skończonym obiedzie, właściciel Zażewa
Wyszedł przejść się, pomiędzy najcienistsze drzewa;
Potem siada przed ganek, winem osłoniony,
Rosnącem w kształcie girland i wieńców w wsze strony,
Wonią kwiatów ożywczą pojąc się z ogrodu,
Tu zwykł często czas spędzać w upały, dla chłodu,
Przy gazecie, puszczając z fajki kłęby dymu,
Najpierw czytając wieści z Paryża i Rzymu.

Przed nim, na boku, dziatwa raźno się zabawia,
Najstarszy młodsze rzędem przed sobą ustawia,
Zrobiwszy im z papieru kaski, epolety —
I zachęca do walki, nie szczędząc podniety.
Najgorzej, że uczniem wiedzione jednakiem,
Każde pragnie w zapasach pozostać Polakiem.
Jakże tu walkę toczyć, bez nieprzyjaciela?
Wtem jedno wniosek innym stawić się ośmiela,
Aby ciągnąć na losy. Poczęła się walka,
W której Polak poczubił małego Moskalka;
Powstał krzyk; strony godzić, aż nadbiegła matka;
Lecz Moskalik poddać się, nie chce do ostatka.
Nie pomnąc o przyjętej z góry na się roli,
Że powinien broń złożyć — i pójść do niewoli.
Wtem — kurz zdala — na drodze podniósł się tumanem —
I jak Arab w pustyni, gnany uraganem,
Pędzi, co koń wyskoczy, by dobiedz oazy;
Tak pojazd, pędząc szybko oparł się o głazy,
Przed gankiem — i kres kładzie zapalczywej walce;
Z jego wnętrza hrabina wysunąwszy palce
Ku prezesowi, woła:
„Cousin, cousin chéri!
Wybacz, że nie wysiadam, ale wiem, żeś szczery —
I lubisz szczerość; a więc — przyznam ci się z góry,
Que je n'ai pas grande envie qu'on m'attrappe w tortury;
Albo — co gorsza jeszcze — qu'on m'égorge niegodnie;
Byłoby mi tu spocząć u ciebie wygodnie,
Lecz lękam się za chwilę de ce qui doit arriver.
Nieszczęście to, doprawdy, jest dla mnie prawdziwe,
Que mon neveu, pomimo ciotki nalegania,
Uparł się — i odstąpić nie chciał od powstania;
Powiada, że son honneur zaangażowany,
Zginąć gotów, potomek rodziny tak znanej!
I ostatni po mieczu .. Na tę myśl, że frémis!
Hélas! Ale to zawsze tak z tymi młodymi!
Mais il me vient w tej chwili... wiesz? Une idée subite:
Niech Hania doń napisze; oh, dites le lui! dites!
Potem — siadajcie ze mną — et fuyons, daleko,
Bo niebawem strumienie krwi tutaj pocieką".

„Moja kuzynko“, na to prezes jej odpowie:
„Dziwne czasem pomysły roją się w twej głowie!
W Hani, ręczę, ni chwili myśl ta nie zagości,
By zwracać kogo miała z drogi powinności;
Co do mnie zaś — choćby tu się działo, Bóg wie co,
Nie rzucę mego gniazda, papugi odlecą,
Niewielką wyrządziwszy szkodę swym rodakom;
Nam przystoi na miejscu pozostać, Polakom
Tutaj przodkowie moi żyli i pomarli
Jeszczeby się potomka swojego wyparli,
Gdyby upaść, broń Boże! miał kiedyś tak nisko —
I nieskażone niczem, zhańbiwszy nazwisko,
Stanął przed ich duchami niepokalanemi...“

„Adieu!“ na to hrabina: „Valentin, jedziemy!“
I nakazującym ruchem woła na stangreta;
Szybko się potoczywszy po piasku kareta
Zniknęła na zakręcie, we wsi, za figurą,
Przysłoniwszy się kurzu tumanem, jak chmurą.
Prezes za odjeżdżającą, spoglądał przez chwilę,
Potem wszedł do salonu, zkąd widok na milę
Ciągnie się, bo Zażewski dwór na wzgórzu stoi,
Rozleglejszy tam widok, niż z innych pokoi,
Przed któremi to drzewa piętrzą się omszałe,
To krzewy, płoty, oraz budynki wspaniałe;
A prezes te porządki gospodarskie cenił —
I od czasu do czasu kształt w czemściś odmienił.
Tu przybyła przystawka, tam płot, dachu kawał;
Co rok na odnowienie część dochodów dawał
Jako dobry gospodarz, zwyczaj mając mawiać,
Że łacniej odnowić je co rok, niźli stawiać.
Z okien sąsiednich widać jasno, jak na dłoni,
Wsie pobliskie rozsiadłe pośród pól i błoni;
Widnieje las, jeziora i wzgórz wyższych szczyty —
I trakt do wsi wiodący, szeroki, a bity.
W oknie przystanął prezes, z Hanią, Bronisławą
I dziećmi, cisnącemi się z minką ciekawą,
One ich przywołały okrzykiem:
„Moskale!“

Traktem ciągnie powoli oddział po oddziale,
Postępując miarowym, posuwistym krokiem,
Jako chmura szarańczy, płynąca potokiem,
Ku żyznym łanom zboża, trawy i zieleni —
I niebawem je w martwe pustkowie zamieni.
Przodem konnica, drogę toruje piechocie,
I niby automaty, onych ludzi krocie,
Postępują ode wsi do lasu — milcząco,
Jako wilki, ofiarę podchodzące śniącą,
Pragnąc osaczyć wroga i wykonać obrót,
Uniemożebniający ucieczkę i odwrót.
Za nimi, dudniąc głucho, jako grzmot przed gromem,
Ciągną zwolna armaty; ciężarem, ogromem
Dominując nad resztą owego mrowiska,
Która zwolna do lasu tłoczy się i wciska.

Przy dworze zgromadził się ludek ze wsi całej,
Patrzy, trwożny — i słucha; z lasu grzmią wystrzały,
Rzadko — częściej niekiedy; to znów cisza głucha
Zaległa zewsząd, jako po burzy posucha;
Kiedyniekiedy przerwie się szereg Moskali,
Śmierć podciąwszy ich nagła, jak kłosy powali;
Nagle — by na komendę — grom za gromem pada,
Rozpierzchła się lękliwa wieśniaków gromada,
Wołając: „Powracają, od lasu odparci!"
A wtem znowu na wroga wróg natrze zażarciej;
Owdzie pierzcha piechota, konni za nią gonią,
Ci w gromadę skupieni odważnie się bronią
Stawiając opór mężnie, aż ich wróg wyżenie,
Przenosząc coraz dalej pożogę, zniszczenie.

Wśród największego dymu, stoi wódz sędziwy,
Ręką lewą niebawem szarpie za wąs siwy,
Gdy wróg celnymi strzały ludzi mu przerzedzi,
Odwet mu przysposobić pragnąc w odpowiedzi.
Prawą zachęca swoich, ukazując kędy
Łacniej im podejść wrogów, hamuje zapędy,
Kiedy młodzież zbyt krewka, nadto się naraża;

A było o czem myśleć, bo potęga wraża
Szła szeroką lawiną, ścieląc wszędy trupy.

Część piechoty powstańczej, skryta za chałupy,
Którą dowodzi hrabia, najwięcej jej szkodzi,
Dzielą ich od niej bagna; a więc przez nie brodzi,
Każdym razem wpadając dziesiątkami w błoto;
Rozjuszona, krwi chciwa, tłoczy się, mimo to,
Pełzając, jako gadów, most śliski, ruchomy,
Pokąd nowych pocisków nie uderzą gromy,
Po których most niebawem zuiżywszy się, runie
I błotnista powierzchuia nagle się rozsunie,
Zatapiając w swej niczem niezgłębionej toni —
Tę falę ciał ruchomych i ludzi — i koni.
Cisza po onej wrzawie nastała chwilowa,
Nad powierzchnią błotnistą ukaże się głowa,
To ręka, to grzbiet koński, nagle się odsłania
Coraz inna część ciała, broni, lub ubrania.
I słychać jęki ofiar mordu i grabieży,
A po nich krzyk tryumfu zwycięskiej młodzieży,
Na który nie zważając nowe biegną tłumy,
Jakby im Bóg Wszechmocny pomięszał rozumy.
Nadbiega owa zgraja, z okrzykiem — zaciekła,
Na skon pewny, niechybny; istny obraz piekła
Przenosząc na świat Boży, z tyrana rozkazu
Do zgrozy się niemało przyczynia obrazu
Upał dwudziestu kilku stopni Réaumur'a,
Dokuczający srodze i z wystrzałów chmura
Że od niej w chatach niskich zrobiło się ciemno.
Z bagien powietrze cuchnąc wonią nieprzyjemną,
Tamuje oddech łącząc się z zapachem prochu,
Jak przy wejściu do szczelnie zamkniętego lochu;
Co sekunda strzał wraży powali ofiarę,
Każdy strzeże się wyjrzeć, chociażby przez szparę.

W środku jednego z okien rozsiadł się sam hrabia,
Wesoło snać go krwawy obraz usposabia,
Bo z czołem rozchmurzonem wydaje rozkazy,
A gdy który nie doznał szwanku i obrazy,

Przeszedłszy mimo strzałów, wzdłuż bagien i dołów,
On nie da mu owocu spożyć tych mozołów,
Lecz wziąwszy sztucer, celnie w pierś samą wymierzy
Nie chybi, pobudzając tem zapał młodzieży.
Za każdym razem okrzyk z ich piersi wypłynie,
Wróg chwieje się — zatoczy — i pluśnie w głębinie.
Jeden z Rosyan, mających odznak różnych mnogo,
Poznał hrabiego; konia ubodłszy ostrogą,
Woła: „Czemu w chałupie graf jak chłop się chowa?"
Nie skończył; zabełkotał, chwieje mu się głowa
I ciężkie cielska jego zwiesiwszy się brzemię,
Z pluskiem, jakoby kłoda, runęło o ziemię.
Widząc Moskwa, że naszych pokonać nie zdoła,
Podkłada ogień pod część przeciwległą sioła
Padają krokwie, słoma wiatrem uniesiona,
Pędzi w stronę powstańców i tego dokona,
Czego oni z największym wysiłkiem nie mogą.
W niebezpieczeństwo wszyscy spoglądają z trwogą,
„Gore!" Krzyczą; nie wiedząc na razie, co radzić.
Wtem ktoś szybko dał drugim na dach się podsadzić
I bieży, narzuciwszy mokre na nim szmaty:
Zewsząd się posypały okrzyki, wiwaty,
Ogień bowiem przytłumił, jako ból, w zawiązku.
„Ten", — rzekł hrabia; „dopełnił cnego obowiązku".
Ledwie słów tych domówił, padł strzał — w chwilkę małą,
Nad oknem, w którem stoi, spada jakieś ciało;
„Szkoda go! zawołano;
Był to trup Floryana;
Hrabia szczerze przywiązał się był do młodziana,
Na skon jego posmutniał; łza mu błysła w oku,
Chociaż miał czas przywyknąć do śmierci widoku,
Niepomny będąc losów własnego żywota;
Nagle spostrzegłszy wrogów, brodzących przez błota
„O pomszczę cię!" zawoła;
Wymierzywszy celnie,
A co strzeli raz po raz, to zawsze śmiertelnie,
Nie udałoby mu się wydostać z płomieni,
Gdyby nieprzyjaciele nie byli zmuszeni,

Przerzucić się gdzieindziej, całą ludzi masą;
Zwycięstwo dnia onego stało się okrasą.

Nie tak szczęśliwie wodzom innym się powiodło,
Kapitan walczył mężnie obrawszy za godło,
Przemódz wroga lub zginąć; był innym przykładem —
I gdy kule w około sypały się gradem,
Przywołuje wspomnienia dla zachęty — dawne,
Wynosząc czyny gwardyi Napoleona sławne,
Stawiając im za przykład one bohatery,
Walczące w Arcis-sur-Aube, u stóp Sammo-Sierry;
Gdy ich cienie z przyszłości przyzywa dalekiej.
Kula go razem z nimi złączyła na wieki.
Darmo mu wódz naczelny słał pomoc trzykrotnie,
Nowa wrogów piechota i kozaków sotnie
Biegną, jak stado owiec do ognia, w natłoku;
Za drugim razem ukrył kosynierów z boku,
Po obu stronach drogi legli między krzaki,
Zaczajeni za pniami drzew dla niepoznaki;
Nie spostrzegłszy ich wrogi, prosto drogą dążą,
Ci nagle ich ze wszechstron z okrzykiem okrążą;
Nastaje rzeź straszliwa: obcinane głowy,
Ręce, nogi, przecięte ciała do połowy,
Pokryły przestrzeń wielką, cieknąc krwi strumieniem.
Wtem wróg z dział począł strzelać, z trudem, wysileniem;
Osiągnięte korzyści przepadły nanowo,
Kto nie uciekł, przypłacić musiał opór głową.
Wódz naczelny stał w dali; widząc, co się stało,
Wysyła jazdę, aby ich zwabić ku sobie,
Drugą do kapitana. Złączywszy się obie,
Mają nieprzyjaciołom z dwóch stron zająć tyły;
Plan był dobry, ale niedostateczne siły,
Bo w tej chwili przypada, wysłany na zwiady,
Że świeży wróg nadciąga.

„Innej nie ma rady“,
Rzeknie wódz: „na nas kolej wspomódz kapitana,
Kto tę pozycyą zajmie, tego dziś wygrana“!

Kiedy przyszli wśród przeszkód. już kapitan nie żył,
Porucznik, któremu wódz ten oddział powierzył,
Uciekł z placu haniebnie — i plan zeszedł na nic.
Wtedy wódz — już wyszedłszy z cierpliwości granic,
Spiąwszy białego konia, szablą w górę łysnął,
Rumak chwilę jak gemza — w powietrzu zawisnął;
Potem w wraże zastępy runie ciężkim ciałem,
W ślad za nim skoczy oddział naszych za oddziałem:

„Za mną, bracia!“ Wódz krzyknie: „zwyciężyć, lub zginąć!“

Wróg zaskoczony znagła, nie mógł sił rozwinąć;
Z początku opór stawia, wstrzymując natarcie,
Potem cofać się pocznie, broniąc się zażarcie;
Wreszcie pierzcha w nieładzie, jak mrówki z mrowiska,
Kiedy kto w wnętrze jego kamieni naciska.
Wódz spotkane zapory, druzgoce, obala,
Niby trąba powietrzna, rozhukana fala:

„Ach to on!“ Jękła Hania, wsparłszy blade lica,
Nie pomnąc tajemnicy — o ramię rodzica.
Odgadłszy ją, z współczuciem objął kibić drżącą,
Tuląc do swojej piersi, jakby przed grożącą
Chciał ją burzą zasłonić — i niebezpieczeństwem.

Nieprzyjaciel złamany bohaterów męstwem,
Pierzcha, ścieląc trupami równinę w odwrocie,
Gdy z poza lasu rota zjawia się po rocie,
Z błyszczącemi bagnety, wśród kurzu — w oddali,
Zdążając ku pomocy tych, co już pierzchali.
Dają ognia, dym chmurą osiadł w bojowisku,
Ruch powstał, jako w ulu pszczół. albo mrowisku;
Snać to walka ostatnia; wiedząc o co chodzi,
Obie strony, tem wściekiej wróg na wroga godzi;
Krzyki, jęki, rozkazy, wrzawa — zgiełk dokoła,
Kłąb dymu unosząc się z pobliskiego sioła,
W którem hrabia ze swymi broni się za lasem,
Otoczył tłum walczących z wrzawą i hałasem;
Strzały huczą w oddali, jak piorunów gromy,

Odbijając się echem o zażewskie domy;
Już kule coraz bliżej świszczą, nad głowami
Patrzących się wieśniaków, pod dworu oknami;
Przerażeni, uchodzą, ukryć się pod strzechy,
Szukając w wspólnych modłach otuchy, pociechy.

Woląc pośród przyjaciół spędzić dnia ostatki;
Przyszedł proboszcz do dworu, w towarzystwie matki;
Klękli z prezesem, Hanią, Bronisławą razem —
I jej dziećmi, przed Matki Najświętszej obrazem,
Śpiewając hymn pobożny:
„Pod Twoją opiekę“.
Ucichły strzały wreszcie, gdzieś niegdzieś dalekie;
Słychać krzyki, gwar, tentent; lud znowu się zbiega,
Ale więcej walczących tłumów nie spostrzega,
Tylko ciała poległych czernią się w oddali.

Wtem zagrzmi śpiew przeciągły: „Czy słyszysz Moskali?“
Zapyta prezes córki, stojąc w oknie znowu.

„Słyszę“, odrzeknie Hania: „powracają z łowu;
Zapewne będą wieźli wziętych do niewoli;
Kto zwyciężył?... Ach, jakiejże ulegli doli
Jan, Floryan i Zdzisław. . a on?... poległ może!...
Jak mnie ta myśl zatrważa! .. Mój Boże! Mój Boże!“...
Łzy dotychczas tajone, spłynęły potokiem,
Po wybladłych policzkach — i z jękiem głębokim
Poczyna płakać, wsparta na ojca ramieniu.

„O, płacz, płacz! Łzy przyniosą ci ulgę w cierpieniu,
Najdroższe dziecię moje! Teraz — ten ból srogi,
Łacniej zniesiesz; nieprawda? Lżej ci?“

„Ojcze drogi,
Lepiej mi“.

„Tegom pragnął“.
Pomiędzy gromadą
Znowu rozległ się okrzyk:
„Wracają już! Jadą!“

Tym razem, w samej rzeczy, szare wojsk oddziały
Wynurzyły się z lasu; przed niemi jechały
Powózki jednokonne; w koło sterczą piki,
Kozaków śpiew tryumfu rozlega się dziki;
Coraz to szybciej drogą prosto ku wsi dążą,
Niektórzy pojedyńczo po manowcach krążą
Jako owce niesforne, zbłąkane od stada;
Niejeden, z konia zsiadłszy, cichaczem się skrada,
By obedrzeć w wieczystym już śniących spokoju,
Nietrwożny, by raz drugi powstali do boju!
A jeśliby do życia powrócił z nich który,
Gotówby na ów widok — skonać po raz wtóry.
Przednie powózki za wsią już we wsi, przy dworze,
Ostatnie jeszcze w lesie grzęzną gdzieścić może.
Cofnęła się przed ganek wieśniaków gromada:

„Biada wam!" Krzyczą wrogi: „o, biada wam, biada!"
Pędząc, co koń wyskoczy, przez topol alee;
„Biada wam, buntowczyki, rabusie, złodzieje
My was nauczym, oręż podnosić na cara!
Oto jest wiarołomstwa waszego ofiara!"
Wrzeszcząc, przed dwór wbiegają, strasząc lud szaszkami,
Po których krew niewinna sączy się kroplami;
A spostrzegłszy prezesa z Hanią, w oknie sali,
Do nich:
„Wy, buntowczyków, pany, ngaszczali!"
Jeden wskazując Hani szaszkę zakrwawioną,
Woła:
„Twego kochanka nią przebiłem łono!"

Na te słowa nieludzkie, pełne naigrawania,
Hanna z jękiem znów w ojca objęcia się skłania;
Gdy wiedziona przeczuciem, w bok rzuca spojrzenie,
Naraz spostrzega słów tych żywe zaprzeczenie —
I rozpacz krótkotrwała przemienia się w radość,
Gdyż gorącym życzeniom jej stało się zadość.

„To on!" szepce, bezmiernem szczęściem upojona,
To fałsz, w jego krwi szabla ta nie jest zbroczona!

Nie zginął, Bogu dzięki! To on, ja go widzę!
Ojcze, łatwowierności mej jakże się wstydzę!
Jakże mogłam uwierzyć, że on — wódz — zabity!“
Zdrój łez radosnych z oczu jej spłynął obfity
I znów szeptać poczyna:
„To on, wszak nie mara...
W kajdanach... boska przecie nie tak sroga kara,
Aby mnie chciał pozbawić wszystkiego na świecie“...

„Uspokój się Haniusiu; uspokój się dziecię!“
Na to prezes, głaszcząc jej wybladłe oblicze:
„Odrzuć raz z wyobraźni te mary zwodnicze,
Czyliż go nie poznajesz? Przecież cię powinno
Było serce upewnić; nie bądź tak dziecinną;
Wszak szczędzić nie będziemy zachodu i mienia,
Ażeby go na wolność wydobyć z więzienia —
I szczęście wam zabłyśnie; ja pobłogosławię;
Lecz to nie sen, wierzaj mi! Dzieje się na jawie“.
Tak mówił, od rozpaczy pragnąc ją odwodzić;
Wiedząc wszakże, że wodza z więzów wyswobodzić,
Nie uda się tak łatwo, chociażby śpichlerze —
I mienie oddał całe Moskalom, w ofierze.
Jedna go wybawienia pocieszyła droga,
Tą było ułatwienie ucieczki z rąk wroga.

„Dajcie jeść! siana dajcie!“ wołają Moskale;
Nie czekając, w podwórze tłoczą się zuchwale —
I rabują, klnąc srodze, wieśniaków na wozach:
„My was, jako tych łotrów, powieziem w powrozach!“
Następnie bić ich poczną, również uwięzionych.
Jęk się rozległ od razów, srodze wymierzonych;
Puściły się powózki, szybkim, jak wiatr cwałem,
Kozactwo pochylone na kulbakach ciałem,
Ryknęło dzikim głosem — i w koło nich goni,
Strzegąc jeńców i rannych — i zdobytej broni.

Ci o drabie kaleczą głowy pozwieszane,
Owi ręce i nogi mając zdruzgotane,
Zrywają się z siedzenia, boleścią miotani,

A każde poruszenie bliznę ich rozrani.
Z ubytku krwi niektórych powieki przymknięte —
I pięści, konwulsyjnie z bólu zaciśnięte;
Usta szepcą jakoweś niewyraźne słowa,
Mówiąc zapewne:
„Bywaj nam, ojczyzno zdrowa!
Żegnaj kraju kochany, przodków ziemio święta!
Już wszystko utracone, już przyszłość zwichnięta!
Już cię, luba, nie ujrzę więcej — i rodzino!
Dni moje, zdala od was, nazawsze przepłyną...
I ty, wiosko rodzinna, żegnaj mi, na wieki!
Wszystko już utracone — prócz boskiej opieki“...

Już powozki minęły wieś; za niemi w ślady
Dążą okajdanionych piechotą gromady.
Na końcu — jako wilków stado wygłodniałe,
Którego wyciem wnętrze lasu huczy całe —
I trwogą okolicznych mieszkańców przejmuje.
Zwolna wojsko zwycięzców piejąc, postępuje.
Śpiew ten ich jednostajny, głąb duszy przenika
Dziwnie przykrem uczuciem; to głos niewolnika,
Albo psa, służącego wiernie panu swemu;
Jak pies, od urodzenia, łasi się onemu —
I liże stopy jego, spełniając rozkazy,
Za złe ich wykonanie, ciężkie znosząc razy;
Za dobre wysługując sobie lichą strawę:
Tak on, nad wolność ceniąc spojrzenie łaskawe,
Za tak wierne, na starość świadczone usługi,
Dostaje lichą płacę, a gdy żywot długi
Już uprzykrzy się panu, na nic się nie przyda,
Jako psa rakarzowi — katowi go wyda.
Kiedy kij z ręką pańską nad nim zawieszony,
Miasto przed nim się schronić, łasi się skulony,
Za zaszczyt poczytując razy z ręki pana —
I choć z bólu zębami zgrzytnie na tyrana,
Choć jedno chlebodawcy łaskawe spojrzenie,
Niweczy zamiar jego, rodząc zapomnienie
Nikczemnego obejścia; znów kąsać jest zdolnym
Ujarzmionego, jeśli pragnie zostać wolnym.

I ci już wieś minęli — i tylko kurz biały
Wznosi się ponad drogą; już śpiewy ustały,
Już tylko jednostajne, głuche bębnów grzmienie,
Turkot kół, ich bytności daje przypomnienie.
Wieśniacy czas niejakiś śledzili ich okiem
I wolnym ku domowi rozeszli się krokiem

„Ach, czyliż nie spostrzegłeś w wzroku jego zmiany,
Kiedy na cię spozierał, ojczulku kochany?“
Mówi Hania; „tak tobą zajęty się zdawał,
Jakoby znajomego w twych rysach poznawał,
A potem na mnie spojrzał, odwróciwszy głowę,
Czyliżby na domysły jakie wpadał nowe?...
Bladł, naprzemian czerwieniał, wzdychając głęboko,
Patrząc na białą wstążkę, zbroczoną posoką —
Jakoby do niej mówił, ze smutnym wyrazem:
„Miasto szczęścia — przyniosłaś mi więzy tym razem.
Wierzyłem w ciebie, jako w powodzenia godło,
A tymczasem przeczucie — jakże mnie zawiodło!“
Ruch wozu z tej zadumy zbudził go nakoniec;
Chciał coś mówić, lecz krzykiem przygłuszył go Doniec —
I reszta czujnej straży podbiegła w tej chwili.
Ojcze drogi, jeśli mnie przeczucie nie myli,
Jego to, niezawodnie, ja widziałam we śnie. . .
Zlituj się nad nim Boże!“... wyjękła boleśnie;
„Kilkunastu żołnierzy wyszło z środka roty,
Z wymierzonemi strzelby moskiewskiej piechoty;
Słyszę strzał, on padł; trwożna, zrywam się z pościeli...
Ach, ojcze, sen się sprawdzi! Ach, po to go wzięli!“...

„Haniusiu,“ przerwał prezes: „uspokój się droga!
Idź; ukląkłszy, pomódl się za niego do Boga;
Wierzaj mi, są to tylko płonne przywidzenia,
Sama sobie przyczyniasz bólu i cierpienia“.

„Prawda, ojcze, rozpaczać naprzód się nie godzi,
Lecz w smutku pamięć przykre obrazy przywodzi,
Jako robak, zgryzotą dręcząc wyobraźnię;
Daruj, że niepotrzebnie tem wszystkiem cię drażnię“.

„Złote są“, rzecze proboszcz; słowa ojca pani,
Jako okręt po burzy, dąży do przystani,
Tak i my, kiedy troska serce nam owładnie
Uciekajmy do Boga, prosząc go przykładnie,
Aby od nas odwrócić zechciał ciosów brzemię,
Bo słabe, niedołężne, jest to ludzkie plemię.
Ale mnie obowiązek od państwa odpędza,
Niejeden tu zapewne dziś zapragnie księdza;
Więc chodźmy już, mateczko! Wam spoczynku trzeba,
Mnie zaś — drogę grzesznikom torować do nieba“.
To mówiąc, skłoniwszy się, wraz z matką odchodzi;
Bronisława z współczuciem żal Hanny łagodzi,
Prezes pocałowaniem darzy je kolejnem —
I ku sypialni krokiem kieruje się chwiejnym,
Patrząc na córkę z słodkim miłości wyrazem,
Która klękła niebawem przed Maryi obrazem.

„Tak, mówił, sam do siebie, kładnąc się na łoże:
Miałożby to zrządzenie być Twoje, o Boże?...
Lecz miłość zwykle sobie różne dziwy stwarza,
Podobieństwo częstokroć na świecie się zdarza;
W istocie, jest niezwykłe... Toż same wejrzenie,
Też rysy, wprawiające niemal w osłupienie,
Tylko nieco ściąglejsze, blade; krucze włosy,
On miał jasne... Boże mój! Nie, to chyba losy
Zrządzają, by do nieszczęść tak wielu, przybyły
Znów nowe, których wreszcie znieść nie starczy siły...
Ruchy — jakby odmienne... To on, to on, Boże!
Ostrzegłeś mnie, ażebym ratował go może,
By mi życie podwójnie było jego drogie...
Jeśli go nie uwolnię, dziecię stracić mogę!...
Lecz ja chory... w tę porę... i droga mnie nuży...
Wpadłem na myśl! Stefana skłonię do podróży,
On to dla mnie uczyni — i rzecz poprowadzi
Lepiej, niżbym sam zdołał; wszystkiemu zaradzi,
Wszak chlubi się stosunki rozległemi wszędzie:
Przełożę mu tę sprawę, skoro tu przybędzie“.

I długi czas dumając, zasnąć nie był w stanie,
Naraz głośne posłyszy z dworu turkotanie,

Pan Stefan i Piotr wchodzą. Na gości przybycie
Prezes wstawszy, narzucił na prędce okrycie;
Uwiadomiony Stefan już o wszystkiem wprzódy,
Zapytuje prezesa o przebyte trudy;
Widząc twarz przyjaciela posępną i bladą,
Pragnąłby go pokrzepić pociechą i radą;
Nad losem ich bolejąc, z szczerą przyrzekł wolą,
Podjąć się sprawy całej — i zająć ich dolą.
 Poczem Piotr opowiadać rozpocznie nowiny
I swe własne przygody.
 Mijały godziny,
Już spożyli wieczerzę, a gawędy owe
Zbawienny wpływ wywarły, wlały siły nowe,
Jakoby balsam w ranę — w te zwątpiałe dusze,
Bo rozpacz im najsroższe zadaje katusze!
Czas zszedł przy pogawędce do późnej godziny,
Goście przyjęli chętnie na noc zaprosiny.

PIEŚŃ X.

Pogrzeb.

Przykro jest, rzucać ziarna na niewdzięczną rolę,
Przykro opiewać smutki, rozpacz i niedolę;
Przykro widzieć łzy w oczach, co szczęściem jaśniały —
I gruzy w miejscu, kędy stał gmach okazały.
Przykro patrzeć, gdy robak w róży się zalęgnie,
Gdy człowiek zaufania, fałszywie przysięgnie.
Świat tak piękny, powabny, tyle w nim uroku
Co w nadobnej huryski jaśniejącem oku;
Co w uśmiechu dziewicy, gdy lubego wita,
Co w jutrzence, gdy ranną godziną zaświta.
Świat tak piękny, powabny, a złości w nim tyle!
Wszystko w nim jest oparte na fałszu i sile,
Na podstępie i zbrodni, niegodnej człowieka;
Daremnie niewinności szatę przyobleka,
Daremnie o ideach rozprawia szeroko,
Kiedy się bratnią pierwej chce zbroczyć posoką;
Kiedy pierwej bieg ziemi wykoleić pragnie,
Burząc, co się do jego przekonań nie nagnie.
Świat tak piękny, powabny! lecz tylko z pozoru;
Podobny do ślicznego onego koloru,
Który w sobie truciznę jadowitą mieści;
Do onej delikatnej, z pudru płci niewieściej,
Pod którą pory, zmarszczki i piegi się kryją.
Ludzie kosztem wzajemnym jedni drugich żyją,
Radzi z siebie krew wyssać, aż do szpiku kości,
Tyle w nich fałszu, zdrady, obłudy, zazdrości.

Hegemonia szczepowa wartkim biegiem płynie,
Samoistność narodów — nurzając w głębinie;
Już od ciosu Kaina w krwi broczy się Abel,
Przyjdzie ludziom ochota wznieść i wieżę Babel,
Aż im nanowo Stwórca pomięsza języki;
Wówczas ku Niemu trwożne podniosą okrzyki,
Błagające daremnie litości, pomocy,
Jako człowiek zbłąkany w manowcach, wśród nocy.

Są u nas okolice, gdzie obyczaj dawny
Zachował się pierwotnie. Syn niemarnotrawny,
Nie naruszywszy dotąd praojców spuścizny,
Czuł, że winien całości strzedz swojej ojczyzny;
Taką to okolica była wsi Zażewa;
Każdy swą przestrzeń ziemi uprawia, zasiewa,
Prastarym obyczajem, chwaląc Stworzyciela;
On też każdemu wsparcia w potrzebie udziela,
Błogosławiąc na zdrowiu, dobytku i mieniu,
Kto wie, w którem od wieków już tam pokoleniu.

W kościele parafialnym proboszcz już od rana
Odprawia za poległych Mszę i kapitana;
Zatopionemu w modłach łzy po licach płyną,
Żył z nim w szczerej przyjaźni i jego rodziną.
Na katafalku leży nieboszczyka ciało,
W walce za kraj rodzinny, poległego z chwałą;
U stopni, jako Marye przy Chrystusa grobie,
Uklękły trzy niewiasty, wszystkie trzy w żałobie,
Wszystkie trzy płaczą; każda ma łzy ronić po kim,
Wszystkie trzy też z przejęciem modlą się głębokiem.
Obok dwie klęczą jeszcze, między niemi dziatki
Z rumianemi licami, cisną się do matki.
Kto są one niewiasty, domyśleć się łatwo;
Pierwsza z nich Bronisława, wraz ze swoją dziatwą;
Druga Hania, a trzecia jest nam dobrze znana,
Z poprzedzających pieśni, żona kapitana.
Oprócz córek, klęczało jeszcze osób wiele,
Których płacz rozlegał się po całym kościele;
Byli to ludzie z różnych okolic odległych,

Przybyli, aby swoich poznawać poległych,
Których dnia jutrzejszego mają grzebać społem.
Na osobnym cmentarzu, w dali — za kościołem —
Niedługo ma nagrobek stanąć kapitana;
Małżonka jego ciało dała przywieść zrana:
Żadnej zmianie po zgonie nie uległo w niczem,
Rękojeść dzierżąc szabli, z marsowem obliczem.
Poznała swoją stratę, gdy została wdową,
Bo proch ścierał, jak mówią, przed swoją połową.
Kraj kochał, aż do zgonu służąc mu przykładnie;
Tylko bywało często, skoro w zapał wpadnie,
Opowiada historye, z prawdą niezbyt zgodne,
Jako z Tysiąca Nocy, w wyobraźnię płodne.
Ale wszyscy lubili, gdy gawędzić pocznie,
Zdawało się, jakoby to widział naocznie,
Co zwykł był opowiadać z wiarą tak gorącą,
Że z ust jego opowieść była zajmującą;
Nieraz — ludzie śmiejąc się do łez i rozpuku,
Namawiali, by podał niektóre do druku.

On wtedy odpowiadał: „Wierzcie, państwo moi,
Żołnierzowi na starość bazgrać nie przystoi".

Kochali go też wszyscy, opłakując szczerze,
Ksiądz miał długą o zgasłym mowę bohaterze,
Podnosząc jego zacność — i sławiąc zalety,
Których dzisiaj, z dniem każdym, coraz mniej, niestety!
Od wzruszenia nie mogąc nieraz przyjść do słowa:
Tem większe uczyniła wrażenie ta mowa.

Dzisiaj, przed nabożeństwem, otrzymano zrana
Wiadomość od Zdzisława, o śmierci Floryana;
Pisze, że ich wraz z Janem Moskale ujęli,
Ażeby we warszawskiej więzić cytadeli;
Że straszny cierpią w drodze głód, prześladowanie,
Które pióro opisać nawet nie jest w stanie.
Można sobie wystawić, jakie te nowiny
Wywołały wrażenie wśród całej rodziny;

Prezes bolał serdecznie po siostrzeńca stracie,
Hanna razem z kuzynką płakała po bracie:
O żyjących niepokój przyłączył się srogi,
Bronisława od zmysłów odchodziła z trwogi,
Lękając się o Jana, ojca tylu dziatek,
Postanowiwszy oddać majątku ostatek,
Byle tylko ocalić ich obu z niewoli.
Ale takie starania ciągną się powoli,
Czasem przez lata całe. I młodość przeminie,
Zanim wrócą ofiarę, wydartą rodzinie;
Spracowaną, schorzałą na zdrowiu przed czasem.
A wieluż tam skon znajdzie, powiedzmy nawiasem,
W syberyjskich kopalniach, wśród mrozów i głodu,
Wzdychając za Ojczyzną, straconą za młodu;
Za zwichniętą przeszłością — życia ideałem,
Które drugich, szczęśliwszych stało się udziałem!
Nieraz ułaskawienie nadejdzie po czasie,
Kiedy zgasłej ofierze już na nic nie zda się.
Gdy osiągnie świat inny, świat uciech bez granic,
Z którym ziemskie rozkosze równają się za nic;
Kędy życie przemija błogo, wiecznotrwałe,
Ku nadgrodzie cnotliwych — na Wszechstwórcy chwałę.

Wie o tych przeciwnościach Bronisława biedna,
Więc rozmyśla, czem sobie wpływy ludzi zjedna,
Jak obronić obudwu, zrzucić podejrzenie —
I uzyskać nakoniec ich ułaskawienie,
Które celem jej odtąd najgorętszych marzeń:
Ale nie uprzedzajmy przed czasem wydarzeń.

Przy wieczerzy, otrzymał prezes zaprosiny
Na pogrzeb współrodaków, poległej drużyny.
Piotr do domu pospieszył, Stefan pozostaje;
Nazajutrz, po południu, prezes zaprządz daje,
Czując się zdrowszym, jedzie z córką i Stefanem
Na miejsce, kędy ciała złożono nad ranem;
Wysiadają z powozu, postępując zwolna,
Gdzie wznosi się nad drogą wielka grusza polna,
A przy niej, ludu rzesze cisną się dokoła;

Konwój księży wraz z tłumem zstępuje z kościoła,
Niosąc czarne chorągwie, na wiatr rozpostarte;
Trumny poległych stoją szeregiem, otwarte,
Przy nich uosobienie smutku i żałoby,
Uklękły w czarnych szatach, różnych lat osoby:
Są to matki, kochanki, żony, siostry, dzieci —
I w starych ojców oku łza również zaświeci;
Schyleni, spoglądają poza płaczącemi.
Że tych, co mieli zająć ich miejsce na ziemi —
I rodzinie być całej podporą, opieką;
Wkrótce jeszcze przed nimi zamknie trumny wieko
I całe ich nadzieje podpory starości,
Ziemia pochłonie w swoje na wieki wnętrzności.

Ileż matek przebieży rząd trumien dokoła!
Kochanek, żon, sióstr!... Żadna rozeznać nie zdoła
Ciała syna, kochanka, małżonka, lub brata;
Wszędy płacz, jęk, westchnienia, istny koniec świata;
Wybladłe, jako widma, z załzawionym wzrokiem,
Postępują powoli, idąc krok za krokiem,
Odnaleść pragnąc swoich w licaah krwią zbroczonych,
Pałaszami tak srodze skłutych, poranionych,
Że ani śladu rysów rozpoznać się nie da;
Z każdą trumną nieomal taż sama jest bieda:
Członki porozrywane, pokłute, obcięte,
Pierścionki wraz z palcami u rąk oderznięte;
Bielizna odstająca; podarta w łachmany,
Odsłania sine ciała i zakrzepłe rany —
I krzyżyk, lub szkaplerzyk, wiszący u łona;
Po nim poznawszy męża, niewiasta schylona
Z jękiem woła:

„Ach, dziatki, biedne moje dziatki!
Nie będziecie już nawet znały swego tatki!
Ja nieboga, cóż pocznę? Co się z nami stanie?“

„O, czemuż nie zabrałeś mnie z nim razem, Panie?“
Woła druga, innego łzami rosząc lica.

„Biedna ja!“ Szepce trzecia; „nieszczęsna, dziewica!
Sama twojego skonu stałam się przyczyną“.

„Syneczku mój najdroższy! Pociechą jedyną
Byłeś dotąd swej matki, sama na tym świecie,
Zostałam, tyś uprzedził mnie, najdroższe dziecię.
I ja za tobą pójdę, gdy cię ziemia skryje,
Takiego ciosu w wieku moim nie przeżyję...
O Boże, daj mi skonać!“... Tak w niebo przesyła
Skargę, siwa staruszka, opuszcza ją siła,
Pada z jękiem, na piersi zwisła siwa głowa...

Tam siostry nad swym bratem w te boleją słowa:
„Więc to ty, bracie drogi?... Tak srodze zrąbany!
O, daj nam z piersi swojej obmyć łzami rany!
Daj nam po raz ostatni ucałować dłonie,
Któremiś gromił wrogów w Ojczyzny obronie!“

Niejedna milcząc, stoi, z czołem pochylonem,
Na podobę posągów, z marmuru rzeźbionym;
Nieruchoma, w punkt jeden zatopiwszy oczy,
Ale w nich tyle uczuć społem się jednoczy,
Taka boleść, tak ciężki żal, cierpienia srogie,
Że ten widok w przytomnych wznieca żal i trwogę;
Długiej i czarnej rzęsy żadna łza nie zrosi,
Pierś tylko z gwałtownością zniża się, podnosi,
Jakoby w niej dla serca miejsca nie dostało,
Jakoby swojem biciem rozsadzić ją miało.
Zda się, gdyby nie na krzyż zaciśnięte dłonie,
Pewnie swem tętnem oddech stłumiłoby w łonie.

Srogi widok! I człowiek, co wszystkie przygłuszył
Uczucia w sercu swojem, pewnieby się wzruszył,
Zapłakawszy na widok tak ciężkiej boleści.
Lecz nawet i w cierpieniu pociecha się mieści:
Hanna w łzach żalu tonąc, im bardziej nad temi
Ofiarami boleje, tem jej znośniejszemi
Własne do pokonania zdają się cierpienia.
I zwolna, uczepiwszy się ojca ramienia,

Chodzi z nim. Wtem — stanąwszy przy jednej u brzega
Zamilkli. Pasmo wspomnień snać myśl ich przebiega:

„Nie poznajesz go?“ Pierwszy rzekł prezes półgłosem.

„Ach, ojcze, wszak to młodzian, co bolał nad losem
Matki swojej i siostry, przeczuwszy zgon własny...
Tak, to ten sam; też rysy, włos długi i jasny...
Zatrzymajmy się przy nim — i za jego duszę
Pomódlmy się do Boga“.
Kląkłszy, błagać w skrusze
Poczęli Przedwiecznego, z przejęciem, skupieniem,
Myśląc zarazem nad tem dziwnem przeznaczeniem,
Ścigającem niektórych ludzi do ostatka,
Aby zdążyć nie mogła w porę własna matka,
Dla oddania synowi ostatniej przysługi;
Schorzała, nie zniosłaby podróży tak długiej.

W tejże chwili, powstaje cisza w zgromadzeniu
Tuż na niewielkiem, z darni, pod gruszą wzniesieniu
Stanął ksiądz Roch i począł wymownemi słowy
Cieszyć siostry, kochanki, ojce, matki, wdowy;
A tak słodko przemawiał, niósł pociechę szczerze,
Że każdy swe nieszczęście poświęca w ofierze
Bogu, kładnąc na ołtarz, za kraj i swobodę.
Niestety, Bóg na później zachował nagrodę...
Na później! Nie czas jeszcze, ofiar legło tyle,
Zbywa miejsca mimo to, w niejednej mogile.

Ksiądz Roch kończył w te słowa: „Chluba wam, rodzice!
Chluba wam, siostry, żony, wam, młode dziewice!
Bo dzieci od rodziców swych biorą w spuściźnie
Miłość Boga, rodziny; uczą się ojczyźnie
Wypłacać przynależne, szczerą wolą długi;
Gdy wszystko oddać zdolne są na jej usługi,
Bo siostry krew z swobody łączy obrońcami:
Cześć wam, zacne dziewice! żeście ich siostrami!
Chluba żonom, kochankom! Bowiem wyróżniły
Bohaterów wolności, z nimi się zgodziły

Dzielić życie do końca; pragnąc żywot cały
Poświęcić dla nich. Nagle losy rozerwały
One wszystkie nadzieje z drogiemi istoty...
„O, nie płaczcie, niewiasty;“ rzekł Chrystus z Golgoty,
Gdy niebogie roniły łzy nad Jego losem;
„Nie płaczcie za mną;“ dalej mówił słodkim głosem;
„Ale raczej bolejcie nad waszymi syny“.
My zwykli opłakiwać ojców naszych winy,
Własnych będąc niepomni; niepomni, że ona
Przez nas także padając pod krzyżem, zemdlona,
Do matek naszych wyrzec może słowy temi:
„Nie płaczcie za mną, raczej nad syny waszymi!“
Bo posoką męczeńską i potem oblana,
Pod krzyżem pada, mdlejąc, na podobę Pana;
Pan ucierpiał za winy ludzkiego plemienia
Ona zaś za swych dziatek cierpi przewinienia.
„O, wy! którzy spełniacie chlubnie powinności!
O, cześć wam! Cześć za życia — cześć u potomności!
Bo większość z nas boleje, płacze od lat wielu;
Czyliż upragnionego płaczem dojdziem celu?
Nam jest czynu potrzeba; jedności i wiary:
Ojczyzny pojedyncze nie zbawią ofiary!
One tylko są zdolne litość w obcych wzbudzić;
Ach! przestańmy raz przecie nadzieją się łudzić!.
Nadzieją w obcą pomoc; spojrzmy raczej w siebie,
Wierząc z ufnością w pomoc Stworzyciela w niebie.

Jnż minęły te czasy, kiedy poświęcenia
Zniewalały narody do odwzajemnienia;
Teraz — często za dobro płacą złem, lub zdradą;
Teraz — szczerość, otwartość u ludzi jest wadą:
Że świat dawny był lepszy, zdanie się powtarza;
Nie poświadczą nam tego, śpiący wśród cmentarza,
Ani zmartwychpowstaną, aby dać świadectwo;
Jestto ciągłe, chroniczne, wiekowe kalectwo,
Wciąż się powtarzające z każdą generacyą.
Obecnie — chyba mają poczęści i racyą:
Bo z postępem nic światu nie przyszło na lepsze,
Życie nad stan — człowieka tylko w nędzę weprze,

Rodząc w nim żądzę wygód, z kieszenią niezgodną.
Bogactwa chcąc osiągnąć, pracą różnorodną,
Chciałby dociec wszystkiego, bez myśli przewodniej;
Brak wiary prze do uciech, do nędzy, do zbrodni.
Gdy na świecie jest tyle miejsca i przestrzeni,
Ludzie się w Europie gromadzą, ściśnieni,
Wydzierając wzajemnie najmniejszą piędź ziemi;
Walka o byt wre, jako między drapieżnemi.
Złączmy się myślą, duchem — wtedy świat zobaczy
Że i w nas jest potęga — i jak wiele znaczy
Korzystanie z przykładów, doświadczeń nabytych;
Wtedy silnych na duchu, mężnych, jednolitych,
Niech wyzwie wróg do walki, za wolność i wiarę!
Obecnie — czynim tylko ze siebie ofiarę,
Korzystać ze sposobnej pory nie umiemy,
Lecz chociaż, pod przemocą, znów czoła ugniemy,
Krew nasza w rozpaczliwej obronie wylana,
Zdoła łaskę wyjednać nam Zastępów Pana!
On nas silnie zespoli, wady wykorzeni,
Iż chrobrzy, staniem mężni i niezwyciężeni.
I zginiem lub wywalczym niepodległość Polski,
Którą zalał Germański żywioł i Mongolski;
Bo dopokąd krew ojców w żyłach naszych płynie
I potomstwa naszego — Ojczyzna nie zginie!“

Nie, nie zginie! Nie zginie! Powtórzyły echa!
Do serc ze słowem onem wstąpiła pociecha.
Nie, nie zginie! Nie zginie! Wtórzyły dąbrowy,
Błonia, wzgórza, doliny, — rzeki i parowy
I bory i mogiły, z których ojców cienie
Zjawiają się, unosząc ponad zgromadzenie;
Łączą się z jego chórem, tuląc tych do łona,
Których ciała dziś grzebie ludność zgromadzona.
„O, chodźcie! Mówią do nich; „chodźcie razem z nami!
Niech wasz zgon opłakują, niechaj roszą łzami
Ciała wasze zbroczone; chodźcie, błagać społem
Przed Stwórcy majestatem, z pochylonem czołem,
Jużeście wypełnili wasze przeznaczenie“.

I wyżej — coraz wyżej, unoszą się cienie,
Powtarzając:
„Nie zginie! Hosanna Ci, Panie!
Hosanna Ci, którego wieczne królowanie!
Bądź Ci chwała na wieki; bądź Ci cześć bez końca!“

Niebo się rozstąpiło, płonąc blaskiem słońca,
Duchy szepcą, unosząc się pośród jasności:
„O! święć się Imię Twoje ponad wysokości!
Przed oblicze Twe nowe przywodzim ofiary,
Bodaj się przyczyniły do zmniejszenia kary
Za nasze przewinienia! Wszak, Panie, nie zginie,
Póki krew nasza w żyłach dzieci naszych płynie?“...

„Nie zginie! Odpowiada głos z onej jasności“.

„O, Hosanna Ci Panie, Cześć na wysokości!“
Wykrzyknęły radośnie; znikł, blask, a z nim one,
Powtarzając: Nie zginie! Znikły spowietrznione.

Po kazaniu, lud ruszył w dwie długie kolumny:
Środkiem idą mężczyźni, niosąc rzędem trumny;
Schyleni pod ciężarem, pot spływa im z skroni,
Postępnją powoli, z gromnicami w dłoni,
Nucąc hymny żałobne; obok krok za krokiem
Wtórują im niewiasty, z załzawionym wzrokiem.
Tak doszli aż na cmentarz, kędy zdjąwszy brzemię,
Spoglądają, odkrywszy głowy, w oną ziemię,
Która mile ich sercu istoty pochłonie...
Płeć niewieścia dopotąd zawodzi na stronie,
Aż uciszył ją proboszcz, przez kazanie drugie;
Nie był on krasomówcą, lecz miał tę zasługę,
Że mówił prosto z serca, gdy się przejął treścią:
Począł zatem pocieszać, ojców, płeć niewieścią,
Wskaznjąc im przykłady z przeszłości dalekiej:
I skończył; boskiej dla nich wzywając opieki,
Wreszcie trumny do dołów powoli spuszczono,
Które wodą pokropił z kolei święconą...
I powstał płacz dokoła srogi w onej chwili;
Niewiast kilka zemdlało, gdy je ocucili,

Każdy — ziemi na wieko garść podniósłszy, rzucił
I wieczny odpoczynek duszom ich zanucił.

Darmo Hania wraz z ojcem poszukuje brata,
Wydaje im się przez to tem cięższą ich strata,
Że zapłakać nad jego zwłokami nie mogą,
Dowiedzieć nie udało im się od nikogo,
Gdzie zginął, kędy jego ciało się podziewa —
I powrócili, smutni bardzo, do Zażewa

Prezes, pod świeżo jeszcze przebytem wrażeniem,
Pomny, że się niedawno związał przyrzeczeniem,
Znalazłszy pozór, aby nie zyskać odmowy,
Wysłał pierwszy zasiłek dla tej biednej wdowy,
Której syn odgadł dziwnem przeczuciem śmierć własną.
Hanna list napisawszy, uprzejmie i jasno,
Dodaje kilka słówek pociechy od siebie,
A umiała strapionym nieść ulgę w potrzebie.

Gdy Moskale odeszli, zostawiwszy trupy,
Hrabia wraz z pocztem swoim wychodzi z chałupy;
Lecz przeprawa przez bagna zajęła dość czasu —
I kiedy dotarł wreszcie aż do głębin lasu,
Do miejsca, kędy obóz wrzał ruchem i życiem,
Zdziwiony niespodzianem jest wielce odkryciem:
Słońce już ku zachodniej schylało się stronie,
Jak lampa na tle szarem mieni się i płonie,
A nad niem równolegle do poziomu ziemi,
Ciągną się długie chmurki, z rąbkami złotemi.
Obok — gdzie spojrzy, wszędzie martwych ludzi zwłoki.
Zczerniałych, obryzganych od skrzepłej posoki;
Snać polegli wśród ciężkich borykań i ciosów,
Bo w rękach ich tkwią strzępy sukna, trawy, włosów;
Wystrzelonych nabojów, z których proch tak cuchnie,
Jak kiedy kto tlejącą się świecę zadmuchnie.
Dym kołace się jeszcze, szary, między drzewy,
Zachodząc w głębię lasu, w jałowce i krzewy;
Miejscami ogień całkiem niezgaszony, płonie,
Leżą powywracane powózki i konie,

Z pod niektórych widnieją sinej barwy trupy;
Mimo, że ten sam widok miał hrabia z chałupy,
Zatrzymał się, dumając, smutny, krótką chwilę:
Poco ludzie wzajemnie mordują się tyle?
Czy nielepiej żyć z sobą we wzajemnej zgodzie,
Niż wiecznie jedni drugim stawać na przeszkodzie?
I w srogiem brat na brata godzić uniesieniu...
Przesunęły się myśli one w okamgnieniu
Przez ów umysł wrażliwy, na widok niedoli
Tych, co byli przed chwilą pełni życia, woli,
Których niedawno jeszcze rozbrzmiewały głosy;
„Snać niebardzo musiały dopisać im losy!“
Pomyślał: „trza zasięgnąć zkądkolwiek języka“.

Naraz — widzi opodal — ktoś szybko umyka,
Jako kot przeskakując zręcznie przez zawady
„Chwytać go!“ woła: „łapaj!“ Kilku biezy w ślady
I za chwilę prowadzą spętanego zbiega.
Hrabia, na wstępie badań, wziął go był za szpiega;
Lecz się potem przekonał, że ono stworzenie
Zarówno na ludzkości żyje pohańbienie,
Tylko, że się dorabiać zwykło innym torem;
Szakal idzie trupami żywić się wieczorem,
On spieszy ich obedrzeć o tej samej porze;
Wiedząc dobrze, że żaden zmartwychwstać nie może,
Ażeby mógł w własności swej stanąć obronie.
Hrabia pocznie go badać i pytać na stronie,
Kto zwyciężył w tej walce: nasi, czy Moskale?
Gdy miasto odpowiedzi — stawia się zuchwale,
Zniecierpliwiony, każe podwładnym go osiec;
Trudno byłoby z łotrem szczerej prawdy dociec,
Bo się zaciął uparcie, milcząc, jak niemowa.

Wtem — słychać jęk, a po nim urywane słowa:
Z pomiędzy trupów głowę ciężko ranny wznosi
I o wodę, ratunek — współrodaków prosi.
Więc spieszą mu z pomocą, pytając niebawem,
Kto zwyciężył, kto przegrał w owem starciu krwawem?
Dowiedziawszy się prawdy, biorą go na nosze —

I aby się nie utrząsł, przystając potrosze,
Weszli w głąb' lasu spocząć, utrudzeni srodze.
Hrabia ciało Floryana każe wziąść po drodze,
Przyciągnąwszy nareszcie na noc do swych włości;
Napotykając w lasach mnóstwo przeciwności,
Odpoczywa czas jakiś — i ludziom — i sobie,
Pochowawszy Floryana w familijnym grobie,
Zanim go nie przeniesie gdzieindziej rodzina.
Z kimś drugim nieboszczyka częstokroć wspomina:
Jest nim właśnie ów ranny, co błagał pomocy,
Gdy przynieśli go wreszcie strudzeni, wśród nocy,
Leżał ciągle w gorączce, w malignie majaczył;
Lekarz doń przywołany, kiedy go zobaczył
Nie wróżył mu już życia, lecz młodość i siły
Osłabionej naturze na pomoc przybyły.
W przeciągu kilkunastu dni wyzdrowiał tyle,
Że już siedzieć na łożu mógł o własnej sile
Hrabia co dnia odwiedzać przybywał go z boru,
Koń jego w pogotowiu czekał koło dworu,
Aby w razie odwiedzin nieproszonych gości,
Gospodarz mógł uciekać ze swej posiadłości.

Raz, kiedy przybył, ranny wzniósł oczy ku niemu,
Rzekłszy: „Za pieczę o mnie — dziękuję hrabiemu!"
A potem — słabym głosem wyszeptał po chwili:
„Nie poznajesz mnie hrabio? Jestem ksiądz Bazyli".

„Bazyli?" Spytał hrabia, patrząc w niego bacznie;
„Nie poznałbym cię nigdy, zmieniłeś się znacznie,
Nic rysów, jako zarost tak nie przeistacza:
Zkądże z księdza, przeszedłeś raptem na rębacza?"

„Nie miałem święceń;" na to chory mu odrzecze;
„Czyliż każdy jest księdzem, co habit oblecze?
Nosiłem go jedynie, by pod tą osłoną
Więcej dało się zdziałać, pro publico bono.
Nastała pora czynu — wyszedłszy z klasztoru,
Broniłem sprawy naszej: wolności, honoru".
Na tem się dnia onego skończyła rozmowa,

Chorego rozbolała z utrudzenia głowa,
Bo przerwał zalecone surowo milczenie;
Lecz kiedy nastąpiło szybkie polepszenie,
Przyjście do sił zupełne, a z niem — żądza czynu:
Bazyli, nie łaknący chwały, ni wawrzynu,
Ale wolności ziemi ojczystej jedynie,
Widząc, że czas stracony, bezpowrotnie płynie,
Ubrawszy się pospiesznie, broń dobył z ukrycia,
Hrabiowskiego czekając, jak zwykle, przybycia.

„A to co?“ Spytał tenże, wchodząc do pokoju;
„Miasto, jako zazwyczaj, zażywać spokoju,
Przebrałeś się; zamiary musisz żywić inne?“...

„W istocie, życie mi się sprzykrzyło bezczynne —
Idę więc razem z tobą dzielić jedne losy“.

„Dobrze robisz, Bazylku i w stosowną porę,
Bo Moskale dziś mają nawiedzić twą norę,
By w niej lisa pochwycić; oj, frant z ciebie, bratku!
Urządzimy im figla na samym ostatku;
Bo pewni, że śpiącego pochwycą do matni“.

I gniazdo pożegnawszy własne — raz ostatni,
Hrabia trzymał się z swymi czas niejakiś w lesie;
Lecz kiedy nikt pomocy w niczem mu nie niesie
Ścigany coraz bardziej, przeszedł za granicę.
Tam się pono opętać dał przez Francuzicę,
Czekając spadkobiercy majątku rodziny;
Włości swe zapisawszy na imię hrabiny,
By je od konfiskaty uchronić w ten sposób.
Ona upodobanie do duchownych osób,
Posunęła do tyla, że w Świętej stolicy
Osiadła przy klasztorze, w roli pokutnicy
Na świętopietrze cały oddawszy majątek —
I umarła, lat temu już pono z dziesiątek.

PIEŚŃ XI.

Więzienie.

Ciemno, głucho w więzieniu, tylko raz po razie
Rozlega się stąpanie strażnika po głazie;

„Słuszaj!!“
Krzyknie przeciągle, po każdej godzinie;
Odbije się o mury głos — i w dali ginie.
I słychać jego drżenie pośród nocnej ciszy;
Znowu gdzieści podobny jemu się posłyszy,
Lecz cichszy, jako echo wśród gór słuch przenika,
To głos czujnego kędyś, drugiego strażnika.
I znów cisza w więzieniu — niejeden więziony
Nie zbudzi się, do hasła tego wzwyczajony,
Lecz innym, którym natłok myśli śnić nie daje,
Którym już godzin życia niewiele dostaje,
Zastępuje zegaru jednostajne bicia,
Przypomina mający kres nadejść ich życia.

W jednym z lochów kaganiec słabym blaskiem tli się,
Postać ludzka w nieznanym widnieje zarysie,
Leżąca na słomianem w pobliżu posłaniu,
Widno po poruszeniach, słychać po wzdychaniu,
Które ciężko raz po raz wypływa z jej łona
Iż do ostatnich z więźni winna być liczona.
Cicho — ta postać czuwa, coś półgłosem gwarzy,

Lecz nie sposób dopatrzeć w ciemni więźnia twarzy.
Czasem zabrzękną kajdan zrdzewiałe ogniwa,
Na łożu konwulsyjnie wznosi się, to zrywa,
Znów cisza — cisza głucha.
Naraz, z oddalenia
Coraz to donośniejsze słychać głosów brzmienia;
Zrywa się więzień z łoża, zadźwiękły kajdany,
W szybki krok pocznie chodzić od ściany do ściany,
Jako król pustyń w klatce poważny i srogi,
Mierzący wzrokiem dumnym patrzące nań wrogi.

Przystał wraz — grzmiące głosy słychać tuż, za drzwiami;
Klucz zgrzytnął i za trzema ciężkiemi spustami
Pchnięte z zewnątrz podwoje, z hukiem się rozpadły.
Więzień stał, od latarni oświetlon, wybladły,
Podniósłszy dumnie czoło, wyciągnął ramiona,
Jakby w nich zdusić wroga chciał, zanim sam skona;
Lecz nagle rysy wyraz odmienny przybrały,
Na widok wchodzącego, ręce, które miały
Powitać go niebawem śmierci uściśnieniem,
Zwisły teraz — a usta wyszeptały z drżeniem:

„To ty, Iwan?“

„Tak, to ja; przychodzę w te progi,
Chociaż mundur przysłania barki moje wrogi,
Przyjaźń w sercu ku tobie nie zgasła Iwana;
Nie witaj we mnie wroga, nie witaj tyrana,
Lecz dozwól się uściskać, bracie, po dawnemu;
Com winien, że mój naród jest wrogi twojemu?“

„Czytałem to w twym wzroku,“ odrzekł uwięziony;
Jam sądził, żem już z światem wiecznie rozdzielony,
Nikt mi dłoni nie poda, że już zapomniany
Od wszystkich, zginę, jako zbójca, rozstrzelany;
Prędzejbym się każdego odwiedzin spodziewał —
Powiedzże mi, najdroższy, gdzieżeś się podziewał,
Przez te lata długiego naszego rozstania?“

„Byłem w Tomsku, w Odessie, do czasu powstania,“
Odrzekł Iwan; „awanse przechodząc z kolei,
Przybywszy tutaj, trwałem ciągle w tej nadziei,
Że się dadzą pogodzić sprawy obu krajów;
Nieświadom będąc polskiej mowy, obyczajów,
Tyle tylko com o nich zasłyszał od ciebie
Starałem się zaradzić ogólnej potrzebie
I wytrwać, jako można, na swem stanowisku;
Lecz kraj pragnąc wyrwać się z niewoli, ucisku.
Spoglądał z uprzedzeniem na me dobre chęci.
Nie zostawię po sobie ja tak złej pamięci,
Jak moi poprzednicy; lecz moje marzenia
Nigdyby tu nie doszły do urzeczywistnienia“.
Skończywszy, pyta Iwan Czesława, co czynił,
Czemu srodze przeciwko carowi zawinił?
I gawędząc, obadwaj wkrótce zapomnieli,
Jak wielka przepaść losy ich obydwóch dzieli.

Bo ileż myśli, zdarzeń, przesuwa się w głowie
Ile pytań nieomal w każdem prawie słowie!
Żal nawet jeden wyraz dwukrotnie powtórzyć,
Nie wiedzieć, z czem się prędzej wywnętrzyć, wynurzyć;
To ważne, to ciekawe, owo orzec zda się,
Po tak długiem rozstaniu wciąż zbywa na czasie,
Tembardziej, iż takowy bezpowrotnie płynie.
A cóż dopiero w jednej wywnętrzyć godzinie!
Szereg z lat kilku z rzędu przebytych wydarzeń,
Myśli, uczuć, trosk, bólów, tęsknoty i marzeń...

Obadwaj przyjaciele tak zajęci sobą,
Nie nacieszyliby się nawet całą dobą,
Gdyby nie głos przeciągły rozległ się wśród ciszy:

„Słuszaj!!“
Przybyły hasło gdy owo posłyszy,
Zrywa się; więźnia temi pocznie żegnać słowy,
Ściskając go w objęciach:

„Czesławie, bądź zdrowy!
Stwórca jest sprawiedliwy; sprawa wasza święta,

On wszakże o najmniejszem jestestwie pamięta;
Was także nie zapomni; do widzenia, drogi!
A nie miej o swym losie bezpotrzebnej trwogi;
Lada chwila nadeśle car ułaskawienie,
Pomny będąc na służby gorliwe pełnienie,
Łaskawie próśb przyjaciół twych wysłuchać raczy
I rozkaz pełnomocnych swoich przeinaczy.
Daj się teraz uściskać! Ach, gdyby narody
Nasze mogły porzucić ową kość niezgody,
Którą cisnęło jarzmo władzy dzierżycieli!
Gdyby nie krew niewinna, co żąda mścicieli
I nie chęć panowania jednych nad drugimi,
Gdybyście nie łudzili się mrzonki płonnemi,
My — zrzucili nakoniec poddańczą pokorę
I ogień, który w sercach wszystkich ludzi gore,
Znalazł więcej pośród nas wyznawców, czcicieli,
Otchłań, która dziś ludy te od siebie dzieli,
Nie istniałaby może. Potok krwi wylanej,
Krwi niewinnej, spadłby na wszechwładne tyrany.
Chciano ci już ucieczkę ułatwić z więzienia,
Lecz wszyscy będąc pewni twego uwolnienia,
Zamiaru zaniechali, bowiem ta niewiara
Pociągnęłaby może za sobą gniew cara.
Musiałbyś bezpieczeństwa szukać za granicą,
Może nad przyjaciołmi i nad okolicą
Odpowiedzialność sroga ciężyłaby za cię:
A więc — bądźże spokojny o swe losy, bracie!
Upewniam cię raz jeszcze: bądź zdrów! Do widzenia!“

Drzwi zgrzytnęły i słychać kroków uderzenia
Słabsze coraz — i wreszcie dawna wraca cisza.
Cóż więzień po odejściu czyni towarzysza?
Posłuchajmy, co mówi, pokrzepion nadzieją:

„Boże, jakąż los dziwną toczy się koleją!
Człowiek wśród niepewności, jak owad się miota,
Kiedy go sieć pajęcza dokoła omota —
I wreszcie osłabiony, zbytniem wysileniem,
Podda się woli Bożej, godzi z przeznaczeniem,

Oczekując zbawienia upragnionej chwili...
Lecz jakże, licząc na nią, częstokroć się myli!
Jak często łatwowierność swą przypłaci głową!
Jakkolwiekbądź, znajome jest mi carskie słowo:
Car wstał w dobrym humorze, a więc ułaskawił,
Lecz gdy go duch następnej nocy we śnie dławił,
Duch mściciel zbrodni, ciemięztw, tortur i kradzieży —
Car zrywa się, dekreta podpisywać bieży
I trunkiem uspakaja dręczące sumienie;
Zaspakaja krwi żądzę — i ofiar pragnienie.
Do rzędu tych ostatnich — mnie przyjdzie należyć,
Lecz być więźniem ich?... Wolę stokroć lepiej nie żyć!
Jam więzień... Czyż to dla mnie jest nowość rzecz obca?
Niewolnik... Wszakże przy chrzcie zapisano chłopca
Do rzędu niewolników i poddanych cara.
Przeznaczony za młodu już jako ofiara,
Jako ślepe narzędzie jego carskiej woli,
Nie śmiałem użalać się na to, co mnie boli;
Duch mój miał być zamknięty w sobie — i w uśpieniu
Do końca życia przetrwać jak w ciemnem więzieniu.
Przebóg! A ileż sroższe jest cierpienie duszy
Od cielesnej niewoli, od ziemskich katuszy?
Dla mnie — chwila skonania, to wolności chwila;
Duch mój wzniesie się w niebo, na skrzydłach motyla,
Lekki stanie i czysty przed wieczności progiem,
Korzący się przed swoim Stwórcą i Wszechbogiem!
Dla mnie — chwila skonania, to chwila radości,
Duch mój szczęśliw, bujałby wśród nieskończoności,
Przenikając bezmierne wszechświata obszary,
Gdyby za nim, niestety, jako ciemne mary,
Nie biegły niezliczone przeszłości wspomnienia,
Zapomniałby niedoli ziemskiej i cierpienia.
Kraju mój! Polsko droga! Ziemio ukochana!
Czem ściągnęłaś na siebie tak srogi gniew Pana?
Wszakże wielu narodów krwią przeszłość splamiona,
A żyją w pomyślności... Ty — okajdaniona!
I gdzież jest sprawiedliwość? Lepiej było nie żyć!...
Bluźnię — i w to, com wierzył, poczynam nie wierzyć!
Wszędy fałsz, wszędy zdrada! Lata młodociane

Wróćcie się, aureolą nadziei owiane!
Jakżem szczęśliw był wtedy. Dziś — dręczon myślami,
Przenoszę się w daleką przeszłość wspomnieniami.
Dziwna rzecz, jako wszystkie odnoszą się społem
Do tego dworku, w którym z zasępionem czołem,
Stał starzec, obok niego dziewczę bladej cery;
Wieś — ogród koło drogi, te topole cztery....
Z tem wszystkiem łączy się mych wspomnień tajemnica,
Ów starzec... miałby być on? A ona dziewica?...
Jakże całkiem odmienni! Jego wyraz twarzy
Wuja mi przypomina... Ach, śni mi się, marzy!
A to dziewczę? Czyliżby to ona być miała?
Moja droga siostrzyczka, owa Hania mała?
Widziałem ją niedawno; do obozu zrana
Przyszła wtedy, za prostą wieśniaczkę przebrana,
Zmieniona, żem jej zrazu nie poznał, niestety!
Rzecz dziwna; dotąd zimny na wdzięki kobiety,
Zobaczywszy tę postać, tak niewinną, młodą,
Zostałem mimowoli olśnion jej urodą —
I dotychczas w pamięci mojej tkwi głęboko,
Dziwnie błogim wyrazem, jaśniejące oko,
Ścigało mnie bez przerwy — i tu — w tem więzieniu
Towarzyszy mi ciągle, lecz w jego wejrzeniu
Miasto dawnej radości, łza współczucia świeci,
Iż serce mi zakrwawia — i żar w mózgu nieci.
  Biedna! Snać przebolała późniejsze przygody,
Bo bladość zastąpiła krasne wpierw jagody
I płakała, tuląc się do rodzica, z trwogi:
Niedziw! I ona Polka — i dla niej kraj drogi!
  Oni mnie nie poznali. — Niestety lat tyle
Jak mnie Moskwa uwiozła! Te przeszłości chwile
W pamięci młodocianej utkwiły głęboko.
Dla słabej duszy będąc jakoby opoką,
O którą się złoczyńców rozbiły zamiary,
Czyhających na serce niewinnej ofiary,
Jako o głaz urwisty, bystre wód bałwany.

  Do kadetów, z innymi, za młodu oddany,
Wielu z nich, dziećmi będąc, pod knutem chowani

Gorsi są dziś, niż carscy, moskiewscy poddani;
Niepomni swej ojczyzny, rodziny, wyznania,
Pochopni do rozkazów wszechwładcy spełniania,
Ręce broczą w krwi własnej, krwi życiodawczyni;
Przebacz, Boże takiemu, bo nie wie, co czyni!
Zostałem ich własnością, a więc sobie tuszą:
Pozór przeistoczyli — duszę, serce — muszą!

Niestety! Zawiedli się! Spełniłem ich wolę
Pozornie, bom był słabe i wątłe pacholę;
Ale inną mi serce wskazywało drogę,
Nią idąc, śmiało śmierci zajrzeć w oczy mogę,
Wypełniwszy najświętsze Polaka zadanie:
Niechaj, Wszechmocny Boże, wola Twa się stanie!
Byłbym może dostąpił zaszczytów, łask cara,
K'temu była konieczną — przekonań ofiara
Zaparcie się swych uczuć: czyż byłbym szczęśliwy?
Nigdy! A więc zerwawszy kajdanów ogniwy,
Wolałem kiedy pora czynu się nadarzy,
Niemi — zrzuciwszy maskę obłudną z mej twarzy,
Roztrzaskać czaszkę wroga; przysiągłszy w ofierze
Oddać życie ojczyźnie — i wytrwałem w wierze.

Biedny Iwan! Jak smutne jego położenie!
Roztrzelać przyjaciela — na carskie skinienie!
A jednak — cóż ma począć? Co może, to czyni,
By mi życie ocalić — wyrwać z tej pustyni.
To Rosyanin szlachetny! Rosyjo! Rosyjo!
O, gdybyś ty nie była, jadowitą żmiją,
Krwi chciwą, woli carów ślepą niewolnicą!
Gdybyś wzięła raz rozbrat z mordem, szubienicą,
A poznała, czem jesteś, czemeś być powinna,
Cześćby ci była — chwała! Lecz tyś nadto winna!
Ty jesteś, jako Kain — co dokonał zbrodni;
Piętno na twojem czole światu udowodni,
Żeś spełniła zabójstwo nad siostrą rodzoną.
Ścieraj to piętno! carską zakryj je koroną!
Przyjdzie czas, że korona z skroni twojej zleci,
A piętno krwawszą jeszcze purpurą zaświeci.

Natenczas, żal ci będzie twego zaślepienia;
Poznasz, żeś pokrewnego jest katem plemienia;
A owa krew niewinnych, co się co dnia sączy,
Ciebie na wieczne czasy z ideą rozłączy,
Ideą panslawizmu; bo Polska to skała,
O którą roztrzaska się budowa wspaniała
Okrętu twego, wszystkich twych przyszłych zamiarów:
Nie tobie hegemonia! Ślepa służko carów!

Nadejdzie chwila zemsty — chwila wybawienia!
Kiedy wszystkie, gnębione jarzmem pokolenia,
Powstaną — i uderzą na tyranów swoich;
Ta chwila — wyzwoleniem współplemieńców moich:
Ona i im zabłyśnie!
Czemuż w owej porze,
Żyć mi nie przeznaczyłeś? O Wszechmocny Boże!
I rok ten jest ostatnim życia mego rokiem...
Cisza — ktoś idzie z dzwonkiem ku drzwiom wolnym kro- [kiem...
Niestety! Po nadziejach!..."
W tej chwili więzienia
Drzwi rozwarły się z zewnątrz; łagodny z wejrzenia,
Wszedłszy, ozwał się kapłan:

„Niechaj pochwalony
Będzie Stwórca!

„Na wieki!" Odrzekł uwięziony,
Idąc ku przybyłemu: „witaj sługo Boży!
Ach, dobrze, że przychodzisz! Tak wszystko mnie trwoży,
Tak osłabion się czuję, na duszy i ciele.
Przeszedłem tyle przygód i wrażeń tak wiele.
Choć śmierci się nie lękam, a jednak mi trwożno ..
O, ty mi wskażesz ścieżkę, jeżelim szedł zdrożną!

Widno wyrok snać zapadł na mnie niecofnięty:
Przybywasz mnie rozgrzeszyć, bym był wniebowzięty...
Jak mi duszno! Jak słabo!"
I szepcąc te słowa,
Pochylił się; na łono księdza zwisła głowa —

I ciało wpółomdlałe biednego młodziana.
Ksiądz chwycił go w objęcia — siadł, wsparł na kolana,
Począł cucić, powoli powracają zmysły
I ręce, co bezwładnie ku ziemi obwisły,
Składają się w pokorze; usta szepcą w skrusze:

„O, pokrzepiłeś ciało, uzdrów teraz duszę!“

„Synu, synu, odwagi! Raz człek musi skończyć!
Rychlej czy później z światem trza mu się rozłączyć;
Tyś młody, tobie wszystko wdzięczy się, uśmiecha;
Jakaż tobie, o synu, z ust starca pociecha?
Tybyś pragnął żyć jeszcze i doznawać wrażeń;
Urzeczywistnienia swoich nie dożyjesz marzeń;
Pojmuję to, odczuwam, bo sam byłem młody.
Walczyłeś, synu, w imię wolności, swobody;
Za świętąś sprawę życie poświęcił w ofierze
Razy tyle — a teraz — czemuś osłabł w wierze?

Stokroć jest łatwiej, wiemci, poledz, w chwili szału,
Niż czekać; gdy śmierć ku nam zbliża się pomału...
Pomnij, synu, nie pierwszą ty jesteś ofiara,
Upadnij na kolana — i pokrzep się wiarą
W przyszłe szczęście, w nagrodę dusz na tamtym świecie
A przestaniesz być trwożny, słaby, jako dziecię.
I jako mąż, ulegniesz Wszechmocnego woli,
Poddawszy się z radością poprzedników doli,
Męczenników wolności, ludzkości i wiary.

Czemuż ja cię zastąpić nie mogę, ja — stary?
Życia mego godziny już są policzone,
Zaśpiewajmy praojców hymn: „Pod Twą obronę;“
On cię synu pokrzepi, na siłach wspomoże“.

Uklękli, ksiądz krzyż trzyma, wódz upadł w pokorze
I nucą pieśń odwieczną — po niej hymn do Boga;
Widno, jak z lic młodziana niknie bladość, trwoga.
I rumieniec ich miejsce zajmuje stopniowo,
Gdy klęcząc przed kapłanem z nachyloną głową,

Bijąc się w piersi z skruchą, wyjawia swe grzechy;
Ksiądz co chwila nie szczędzi mu w słowach pociechy.

Długo szepcą półgłosem, a postać młodziana
Zdaje się coraz lżejsza, jakby mgłą owiana;
Jak już nie z tego świata; niebiańska, natchniona...
Teraz on wszystko, zda się, przemoże, pokona;
To już nie ów młodzieniec, ale mąż stateczny:
Skończyli.

„Synu, rzekł ksiądz; „już jesteś bezpieczny;“
Objął szyję Czesława i całował z łzami,
Szepcąc: „Daruj nam winy, jako odpuszczamy
Je naszym winowajcom — przyjm łaskawie Panie
Duszę, która niebawem przed Twym tronem stanie
I ma świat ten opuścić za najświętszą sprawę.
Racz ją policzyć między te ofiary krwawe,
Które ją poprzedziły: oddal od niej trwogę!
Synu, czy gotów byłbyś iść w wieczności drogę?“

„Ojcze,“ odparł wódz młody: „mam jeszcze pytania:
Znane ci są osoby, robiące starania
O moje uwolnienie, mówiłeś przed chwilą.
Otóż, jeśli mnie moje domysły nie mylą,
Jam pokochał kuzynkę, przeczystą miłością:
Nieprawda? Wszak nie grzeszy się nieświadomością?

Wuj poznał mnie, aby znów utracił raz wtóry,
Pociesz ich po mym zgonie. Opuszczaj te mury;
Jedź i pokrzep nieszczęsnych; przygotuj powoli,
Zanim ich uwiadomisz o Czesława doli.
Nic nie mam, chyba pierścień ten na palcu złoty,
Oddaj go Hani — i te z włosów moich sploty,
Niech na piersi je nosi. O, szczęśliwe włosy!
O, one nie zmartwieją! Jak kroplami rosy
Ciepłem słońca napawa się kwiecie w poranki,
Tak one, spoczywając na sercu kochanki,
Żyć będą jego ciepłem, póki jego drganie
Czuć będą — i zmartwieją, kiedy bić przestanie.

Wówczas — śladu nie będzie już mego istnienia;
Co rok westchnij do Boga, w dzień mego imienia;
Wujowi list ten doręcz — sobie, ojcze drogi,
Weźmij ten krzyżyk. Teraz — już w wieczności progi,
Gotów jestem; daj rękę — i bądź zdrów, na wieki!
Tak bliski teraz — wkrótce... tak od was daleki!...

O, gdybym mógł się przenieść tam — w rodzinne strony!
Zobaczyć ich — zakątek tyle upragniony,
Odetchnąć tem powietrzem... Lżej byłoby rzucić
Świat cały, wznieść się w tamten — i więcej nie wrócić!
Przebóg! Myśl moja błądzić poczyna, strapiona:
O, dzięki Tobie, Boże, że do ofiar grona
Wkrótce chcesz mnie zaliczyć! Może zgon mój zmaże
Winy bratnie i szalę niedoli przeważę!"

Zamilkł Czesław; ksiądz szlochał, jak dziecko, z wzruszenia.
Wtem — drzwi się znów naoścież roztwarły więzienia,
Weszli zbrojni i wyszli — a z nimi ofiara...
I kląkł starzec, chwiejąc się — i załamał dłonie
Wstawszy, bieży z pośpiechem ku tej samej stronie.

Przepełnione już mury były cytadeli,
Po kilku więźniów w jednej mieściło się celi;
Przywiedziono zmęczonych, w wielodniowej drodze,
Aby się tu nad niemi, głodem znęcać srodze.
Dzban wody, chleba kawał — i to niezbyt duży
Za posiłek codzienny — nieszczęśliwym służy!
Niekiedy kąsek mięsa, skąpo dorzucony,
Jako zwierzętom w klatce, organizm zwątlony
Miał na długo pokrzepić; a trza było wiele
Mieć odwagi i męstwa, na duszy i ciele,
Aby wyjść z indagacyi moskiewskiej zwycięsko;
Przeciw sile brutalnej, z energią męską,
Przeciwstawić moc niczem niezachwianą ducha,
By drugich do jednego nie wplątać łańcucha;
By nie zdradzić się kiedy z nieopatrznem słowem,
Aby się mieli zbytnio cieszyć ryb połowem.

A łowili na różne sposoby z zamieci,
Jako wprawni rybacy, gdy zastawią sieci;
To groźbą, jak niedźwiedzie, kąsając i drapiąc;
To wędką łagodności łatwowiernych łapiąc,
To podstawiając świadków, niecnych i fałszywych.
Nie szczędząc razów przekleństw i słów obelżywych;
Innym znów obiecując ordery, zaszczyty
I przyłączenie wreszcie do służalców świty;
Znikczemniałych, sprzedajnych sług białego cara
Ale rzadko im podejść dała się ofiara!

Ogół trzymał się krzepko; nieugięty, hardy,
Oczekując wyroku, z wyrazem pogardy.
Do ostatnich liczyli się obaj szwagrowie,
Ostrożni i oględni będąc w każdem słowie,
Zawziąwszy się przy swojem, wytrwali w oporze,
Pomimo, iż wiedzieli, że ich wróg przemoże;
Że ich kara w ostatku sroga nie ominie —
I utoną, w zarzutów, oskarżeń głębinie
Opór stawiają, aby coś zyskać na czasie,
W nadziei, że stosunki poruszyć uda się,
Zwłaszcza, nie oszczędzając pieniędzy w obronie.

Pokładając największe zaufanie w żonie,
Jan co dzień oczekuje wiadomości od niej
I do dalszych postępków wskazówki przewodniej.
Lecz znikąd żadnej wieści krztynki, ani cienia;
Siła ich woli zwolna w rozpacz się zamienia,
Poczynają nadzieję tracić z każdą dobą,
Obraz smutnej przyszłości mając po przed sobą.

Razem zamkniętym było raźniej i weselej,
Lecz gdy ich do osobnej przeniesiono celi,
Ogarnęła zgryzota te zbolałe serca,
Zadając ciosy, jako sztyletem morderca.
Porozumienie odtąd będąc utrudnione,
Uniemożebnia obu opór i obronę;
Bo każdego z kolei słuchają z osobna
I częstokroć na pozór rzecz mała i drobna,

Wprowadza ich w labirynt bez wyjścia, bez końca
Z którego najzdolniejszyby nawet obrońca
Nie zdołał ich wydobyć, jako z głębi toni:
Bóg jeden przed złym losem chyba ich uchroni!

Aby urozmaicić samotność i próżnię,
Radzą sobie więźniowie, jako mogą, różnie;
Rozmawiając naprzykład pukaniem przez ścianę,
Żeby myśli ich wzajem były rozumiane;
Chcąc wzajemnie się ostrzedz w każdej ważnej chwili,
Osobny alfabetu rodzaj ułożyli.
O wiele ciężej z poza obrębu więzienia
Gdy dozorcy szpiegują, czynią utrudnienia,
Przesłać pismo do więźnia i odpowiedź dostać,
A jednakże wszystkiemu trzeba było sprostać,
Azeby uspokoić ofiarę, że przecie
Dotąd niezapomniana przez wszystkich na świecie,
Że ci, co mają pełną swobodę działania,
O uwolnienie onej podjęli starania.

Pewnego dnia, zacząwszy jeść chleb przeznaczony,
Jan, wzdychając za wieścią od swoich, od żony,
W roztargnieniu, gdy skórkę oderwał, z pod ręki
Wysunął mu się zwitek papieru maleńki;
Rozwinął go, szczęśliwy z tego wydarzenia,
Gdyż zawierał nadzieję rychłą uwolnienia;
Całując papier z łzami, śledząc każde słowo,
Uczuł, że w niego siła wstąpiła nanowo,
Jako po wysączeniu wina do kropelki.
Wiary w oswobodzenie nie miał wszakże wielkiej;
Znowu począł zapadać w apatyą, zwątpienie,
Kiedy nie nadchodziło znikąd wybawienie,
Kiedy czas płynął dalej — i znów wieści żadnej.
A tu pastwią się nad nim — w sposób bezprzykładny.

Zdzisław tymczasem, gdy go słuchano z osobna,
Spostrzegł, że się uwolnić obom niepodobna —
I raz — pośród rozmyślań, przyszło mu natchnienie,
Aby całe na siebie zrzucić przewinienie.

„Wolnym,“ pomyślał; „nic mnie nie wiąże ze światem;
Rozdzielony nazawsze z ukochanym bratem,
Mam się tułać samotny, jak nędzne stworzenie,
Co krok napotykając jego przypomnienie.
Miłości, która innym wdzięcznie się uśmiecha,
Wtórują w mojem sercu tylko smutne echa,
Szarpiąc, jako nurt rzeki, urwistą opokę,
Jego wnętrze — i ciosy zadając głębokie.
Tak przynajmniej po sobie zostawię wspomnienie,
Błogosławić mnie będzie młodsze pokolenie,
Za to, że ocaliłem ich ojca od zgonu,
Korne modły do Stwórcy zasyłając tronu·

O tem postanowieniu Jan całkiem nie wiedząc,
Zdziwił się, w celi swojej, jak zazwyczaj, siedząc,
Kiedy mu oznajmiono, że wolność odzyskał,
Tem goręcej do serca list żony przyciskał,
Sądząc, że jej li tylko wolność swą zawdzięcza,
Przed wzrokiem jego błysła różnobarwna tęcza;
Gdy wyszedł z wrót więzienia, zaledwie iść zdoła,
Słaniając się, tak świat z nim wiruje dokoła;
A serce bije, jakby kto tłukł w niego młotem —
I pospieszył, szczęśliwy — do domu z powrotem.
Nie mogąc nic posłyszeć o Zdzisława losie,
Którego życie tylko wisiało na włosie.

PIEŚŃ XII.

Rozstrzelanie. — Smutna wieść. — Sybir. — Epilog.

Co to za zgiełk ponury, o tak rannej porze?
Ledwie na szarem niebie zabłysnęło zorze,
Zrywają się z posłania strwożeni mieszkańce
I zdjęci niepokojem, biegną poza szańce;
Tam wojsko z bagnetami wzniesionemi w górę,
Zasłania widowisko smętue i ponure;
Grzmią sygnały doboszów jednostajnem brzmieniem,
Jako we wnętrzu ziemi, przed onej trzęsieniem;
Czynią to, aby na śmierć wiedziona ofiara,
Nie miotała w rozpaczy przekleństwa na cara
Darmo lud słuch wytęża, nie dosłyszysz mowy,
Ci, co wyżej od innych wznieść zdołali głowy.
Przyglądając się z okien, z drzew szczytów tej scenie,
Chowają snać na później wszelkie objaśnienie,
Bo siedzą nieruchomi, z wlepionemi oczy;
Niekiedy z pod źrenicy ich łza się potoczy,
Czasem jęk słychać w tłumie, czasem krzyk rozpaczy,
To krzyk matek — z pośród nich wieleż nie zobaczy
Swych synów, co nlegną takiejż śmierci może,
Przeczucie jako ostrzem wnętrzności ich porze.
Nagle lud wzrok w punkt główny zwrócił widowiska,
Słychać zdala komendę — pałasz w górze błyska
Po raz pierwszy, raz drugi, trzeci — broń do oka
Rozległ się strzał, dym, ogień, jako z paszczy smoka;

„Już po nim!“...
Wyrzekł każdy, stłumiając westchnienie;
Głuche wśród zgromadzonych nastało milczenie,
Jako grób, w którym spoczął wolności obrońca.
Dwóch młodych dotrwać w onem nie mogli do końca

„Boże!“ wyjęknął pierwszy; „wszak ten nieszczęśliwy
Czołgał się — i do grobu wleciał na wpół żywy,
Pomimo ran tak wielu, zbroczony, osłabły“.

„Rozmyślnie uczynili, to wcielone dyabły,“
Dodał drugi; „by zadać tem większe męczarnie.
Wszystko w tym biednym kraju uchodzi bezkarnie...
Cyt — może szpieg podsłuchać te nasze wyznania!
Wiesz co bracie? Krew za krew! Chodźmy do powstania!“

W godzinę później, w oknie bogatej komnaty
Stoi człowiek, przybrany we wojskowe szaty;
Włosy jasne, twarz śniada i niebieskie oczy,
Łza w nich błyśnie i zwolna po licu się stoczy;
W lewem ręku przed sobą papier jakiś trzyma,
Przebiegnie po niem szybko łzawemi oczyma
I szepce drżącym głosem słowa przerywane:

„Ułaskawienie!... W porę... W sam czas nadesłane!...
W godzinę później... Biedny! Już mu go nie trzeba“...
Wzrok wzniósłszy w górę, dodał: „Pomścijcie go nieba!“

I smutniej, niźli wprzódy, jest w Zażewskim dworze;
Prezes wciąż chory, łoża opuścić nie może:
A Hanna? Smętna, blada; lecz już łez nie leje,
Ona już pogrzebała wszystkie swe nadzieje...
Kochające się serca, razem z sobą dzielą
Uczucia i wrażenia — smucą się, weselą,
Przeczuwają złą dolę, dobrą jednocześnie,
Marząc o sobie wzajem, na jawie, lub we śnie.
I Hanna tak marzyła — jej serce dziewicze
Przeczuło wszystko, wszystko... wybladło oblicze,
Oczy niegdyś tak skłonne do łez uronienia

Wyschły — dawny ich więcej blask nie opromienia;
Gdy z odleglejszych komnat do ojcowskiej wchodzi,
Wtedy się jej spojrzenie nieco rozpogodzi.
Siądzie na łożu jego, pieści się z nim, gwarzy,
Ale robak zgryzoty nie znika z tej twarzy,
Niedawno tak pogodnej. on i serce toczy:
Biedne serc tych tajniki, w które on się wtłoczy!

Jakże rzadko cios jeden zwykł spotykać ludzi!
W Hanny sercu rodzica słabość postrach budzi,
Prezes bardzo podupadł, zaniemógł od wrażeń
W krótkim czasie przebytych i smutnych wydarzeń,
A więc wciąż czuwa nad nim.
Pewnego dnia zrana
Pyta ojciec:
„Haniusiu, córeczko kochana,
Coś mi dziwnie wyglądasz: smutnie i wesoło;“
Mówiąc to, ucałował jej wybladłe czoło.

„Myślę w tej chwili ojcze, że też ja odrazu
Nie poznałam Czesława; z spojrzenia, z wyrazu,
Które przecież zostają, choć rysy się zmienią,
Jak pień, gdy liście na nim już nie lśnią zielenią;
Ale z dziecka na wodza przeskok nazbyt duży,
Iż najbieglejsze oko, olśni i odurzy.
Odnalazłszy w nim wreszcie straconego brata,
Przyszły mi na myśl nasze młodociane lata,
Tak pełne niepojętych uniesień i marzeń,
Snów rozkosznych — i niczem niezatartych wrażeń,
Których czaru me słowa oddać nie są zdolne.

On zbierał mi po łąkach barwne kwiaty polne,
Z których wiłam wiannszki, nucąc różne pieśni,
Aż nas mężem i żoną przezwali rówieśni.
To zapuszczając się w głąb' cienistej zieleni,
Szukaliśmy gniazd ptasząt drobnych i szerszeni.
Wdrapując się na drzewa z zwinnością wiewiórki,
Rzucał mi w kosz owoce, które ja ze skórki
Obrawszy drobną rączką, gotowałam niby;

To chodziliśmy zbierać poziomki i grzyby,
Szczęśliwi, gdy się koszyk napełnił do wierzchu,
Wracając ku domowi z pośpiechem, o zmierzchu.

Dziś, śniło mi się wojsko na obszernych błoniach,
Uwijają się jeźdźcy dokoła, na koniach;
Słychać komendę; szereg dymem się otoczy,
Pada wystrzał — i we krwi, młodzieniec się broczy:
Czesław to, bezwątpienia! Gdy padł krwią zalany,
Białe wytrysły kwiaty z każdej jego rany;
Uczepiwszy się wzajem listkami za końce,
Krążyły nad mą głową, jako jasne słońce,
I szept cichy słyszałam:

„Nie płacz, ciesz się raczej,
To szczęście, gdy Bóg komu taki skon przeznaczy!
On przeniósł się w tej chwili w nadziemskie krainy,
Tam na cię czekać będzie; ty — zacnemi czyny
Uwieńcz pamięć po sobie, a doznasz osłody,
W wdzięczności — w przywiązaniu domowej zagrody".
I zwolna — po tych słowach, wzniosły się do nieba.

„Obudziłam się, płacząc; łez mi było trzeba;
Teraz lżej mi na sercu, chociaż mi wciąż kwili,
Już nie żyje, zabity... Ojcze, nie omyli
Mnie głos jego tym razem"... I płakać poczęła.

„Biedne dziecię!" Rzekł ojciec; „na toś życie wzięła,
Aby cierpieć i boleć... Porzuć raz te troski,
Miej ufność w miłosierdzie i majestat boski;
Wesprze nas, gdyby ziścić miała się twa mowa".

Głośny turkot ostatnie przerwał starca słowa —
I po chwili sędziwy ksiądz Roch we drzwi wchodzi:

„Jak się ma?" Wita prezes; „kochany dobrodziej!
Zkądże pan Bóg prowadzi? Usiądź, mówże przecie;
Co słychać? Co się dzieje tam na Bożym świecie?
Bo my tu, jak zaklęci, czekamy w nadziei,

Tracimy ją niebawem i tak po kolei.
Patrz!“ Rzekł, za odchodzącą Hanną wodząc wzrokiem
Westchnąwszy: „To już nie to dziewczę, co przed rokiem,
To cień Hani — drżę z trwogi na oną odmianę;
Żal patrzeć w owe oczy, smętne, zapłakane.
Otóż ojcze, przed chwilą zawodziła rzewnie;
Obawa o Czesława — tak ją dręczy pewnie;
Przeczuwa, że daremne są wszelkie nadzieje...
Powiedz wielebny ojcze, co się też z nim dzieje?
Wszakże ztamtąd przybywasz; — cóż, nie odpowiadasz?
Jakiś jesteś posępny, ty, co dar posiadasz
Rozweselania drugich; powiedz, w imię Boga!
Patrząc na twe milczenie, ogarnia mnie trwoga;
Jeśli masz tajemnicę, wyjaw ją w tej chwili!
My na wszystko gotowi, tyleśmy przeżyli
Ciosów — i ten przeżyjem; zgodzić się nam trzeba...
Milczysz?... A więc nie żyje!... Litości! O nieba!...
Sprawdziło się“... I siwa zwisła starca głowa
Na poduszkę, na ustach zamarły mu słowa,
Ksiądz schwycił go w objęcia — i z omdlenia cuci.
Przez długi czas zdało się — do życia nie wróci;
Wreszcie oddech i bicie serca opóźnione
Upewniło, że jeszcze nie wszystko stracone.
Jęk rozległ się w tej chwili z przyległej komnaty,
Naraz zaszeleściły tuż niewieście szaty.
Wbiega Hania; uklękłszy przed łożem rodzica,
Całuje jego dłonie, łzami rosi lica,
Wołając:
„Ojcze drogi! Wiem wszystko... Och, Boże!...
Ty mnie nie rzuć przynajmniej, nie opuść w tej porze!
Teraz — tyś dla mnie wszystkiem! Nie opuść sieroty!
Boby zwiędła, jak listek, z żalu i tęsknoty!“
Ów krzyk, te słowa dziecka, sieroctwa wspomnienie
Snać na umysł osłabły wywarły wrażenie,
Starzec rozwarł źrenice, patrzył w jej oblicze
Lube — jakby chciał mary odegnać zwodnicze,
Jakby chciał się przekonać, czy taż sama ona,
Czy też cień jej — i tulić począł skarb do łona,
Spozierając w promienne łzą radości oko;

Długo, długo — raz po raz westchnąwszy głęboko,
Pyta wreszcie jakoby w chęci upewnienia:

„Więc żyjesz? Sprawdziły się twoje w śnie widzenia...
Przebóg! znosisz cios mężniej, niżeli ja, stary,
Bo też na nas nieszczęścia spadają bez miary;
Człowiek przestał być panem sił własnych i wrażeń
I upada, pod ciosem bolesnych wydarzeń;
Uległem im chwilowo, nie pomnąc, iż przecie
Niewszystko postradałem jeszcze na tym świecie!
Tyś mi, córko, została; choć smutna, choć drżąca,
Ale zawsze kochana, zawsze kochająca".
Zamilkł.
Ksiądz Roch, na obraz ów tkliwy spoziera
I rękami łzy z oczu płynące, ociera,
Nakoniec, w takie słowa, głosem drżącym rzecze:
„O, smutne przeznaczenie — i losy człowiecze!
Prezesie, wybacz moje, zbyt długie milczenie,
Lecz twe niespodziewane, nagłe zagadnienie
Było jego powodem.
Przybyłem w te progi.
Aby was przysposobić, nim cios zadam srogi;
Stało się nie po myśli mojej: trudna rada,
Człek gdy pragnie najlepiej. inaczej się składa;
A że dobrze wam życzę, o tem nie wątpicie,
Pozwólcie niech opowiem, jak zakończył życie:
Słuchałem go spowiedzi; ów dzielny młodzieniec
Obchodził mnie prezesie — raz, że twój siostrzeniec,
Powtóre: jako Polski naszej zacne dziecię...
Ale, dodał, być może, sami zostać chcecie;
Najmilsza jest samotność, kiedy serce boli,
Zresztą niechęć czujemy — i to mimowoli
Do osób, które wieści przynoszą dotkliwe,
Lubo wierzym w ich przyjaźń i serce życzliwe".

„Zostań, wielebny ojcze," na to prezes powie
„I odmaluj dokładnie nam słowo po słowie,
One blaski ostatnie gasnącego słońca,
Którym byłeś przytomny do samego końca".

Siadłszy przeto, rozpoczął ksiądz opowiadanie,
Przerywane przez częste westchnienia i łkanie.
Zostawmy bolejących nad losem ofiary,
Spiesząc śladami innej w północne obszary.

W Syberyjskiej krainie, w dzień mroźny, ponury,
Na niebie zwisły ciężkie, ołowiane chmury,
Prósząc po ziemi lekkie, białe płatki śniegu,
Krzyżujące się coraz w swoim szybkim biegu
I kryjące jej obszar jednostajną szatą.
Za wsią, śniegiem pokrytą, za ostatnią chatą,
W koło gorzelni — ludu mrowiło się wiele,
Przyodzianych w barw szarych płaszcze i szynele.
Opodal, jak nad trzody pasącem się stadem,
Stoi nariadczyk, bacznie czuwając, nad ładem;
A katorżnym snać z czynów podejrzanym więcej,
Przydani dwaj sołdaci, o twarzy zwierzęcej;
Z wyrazem obojętnym patrzą na ofiary,
Wzrokiem niedowierzania śledząc ich zamiary,
Kiedy który się w pracy opóźnia niedbale,
Nie szczędzą za to razów, w służalczym zapale.

A jest między onymi ludźmi katorżnymi
Większość, napiętnowana czyny niegodnemi:
Za rozboje, za kradzież, gwałty — i pożogę,
Do nich zastosowane są też kary srogie;
Ale nie w równej mierze, co do tych biedaków,
Walczących za swobodę swoich współrodaków —
I pragnących kajdany zdjąć z rąk własnej matki,
Mienia swego w ofierze oddając ostatki.

Dla tych istnieją w Rosyi prawa wyjątkowe,
Za każdego dozorca odpowiada głowę;
Odłączeni od świata, samotnie strzeżeni,
Jako indyjscy Paria, albo zadżumieni,
Nie mają nawet w nocy spoczynku, wytchnienia;
Przydany sołdat obok, liczy ich westchnienia,
Każde niebaczne słówko, wymówione we śnie
Każdą skargę, jęk z łona, co zabrzmi boleśnie —

I donosi zwierzchnikom z skwapliwą radością
Ciesząc się ich pochwałą, jako kundel kością
Ogryzioną przez służbę, z biesiadników stołu;
A trza nieraz wielkiego trudu i mozołu,
Ażeby podejść więźnia, zamkniętego w sobie —
I wznieść się jego kosztem, jako chwast na grobie.
On ostrożny, obawia się podejrzliwości
Swych dozorców — i onej zwierzęcej skłonności
Pastwienia się nad słabą, bezbronną ofiarą,
Cieszących się za każdą, zadaną mu karą.
Zły duch od nich nie czulszy na ludzkie cierpienia,
W ich mniemaniu — więźniowie za swe przewinienia
Słuszną karę ponoszą, bo śmieli wznieść dłonie
Zbrojne przeciw carowi, który na ich tronie
Przodków zasiadł, przemocą, wydarłszy im mienie,
Nazwisko, szczęście, wolność, dla świata znaczenie.

Oni za to tak cierpią, że odzyskać chcieli
To, co im siłą srodzy najezdnicy wzięli —
I nikt nie ma z żyjących litości nad nimi,
Targnęli się na Boga zastępcę na ziemi.
A któż jest nim? iżali nie ów tyran srogi,
Nie mający nad ludźmi litości ni trwogi?
Przed sądem sprawiedliwym stworzyciela Boga,
Który wziął berło z ręki człowieczego wroga,
Aby lud swój pod knutem trzymał i w ciemnocie;
Czciły go jako Boga, dusz poddanych krocie,
Nie znając od powicia nic, oprócz wyrazu
Niewoli; nie czcząc nic, oprócz carskiego rozkazu.

Wśród tych więźniów pracuje mąż wzniosłej postawy,
Trzymając rydel w ręku; czasem z dłoni prawej
Przerzuca go do lewej, dla spoczynku ręki,
Niezwyczajnej tej pracy, pieszczonej i miękkiej.
W jego rysach tkwi piętno przebytych kolei,
Cierpień, srogich zawodów, straconych nadziei;
Wzdychając, wzrok odwraca ku stronie zachodniej
Jakoby czegoś pragnął, czegoś żądał od niej
Oj, zostawił tam swoich!... Czyli żyją jeszcze?

Nieraz trapią go o nich przeczucia złowieszcze.
Pisywali z początku; lecz po liście drugim,
Nie dają znaku życia; tem milczeniem długiem
Martwi się, sny miewając o nich bezprzestanne,
Bo kocha bardzo wuja, a kuzynkę Hannę
Wielbi miłością szczerą, gorącą, prawdziwą,
Widząc ją wciąż przed sobą, uroczą i żywą,
Jako w czasach szczęśliwych, promiennych młodością.
  Zamyśliwszy się chwilę nad oną przeszłością,
Począł znowu pracować, z łzy otarłszy oko,
Ostrze rydla wpuściwszy do ziemi głęboko.
Widnieje na nim przymus do tej ciężkiej pracy,
Do której wzwyczajeni są tylko prostacy;
Stworzony do innego z młodości zajęcia,
Nie miał o niej dotychczas jasnego pojęcia,
Pracując pilno, aby uniknąć nagany,
Nad ziemi do skopania, przestrzenią zadanej;
Woli milczeć, gdy często strofują go za nic,
Bojąc się wyjść niekiedy z cierpliwości granic;
Mimo, że nawykł życie już niewiele cenić —
I radby je na inne, wiekuiste zmienić;
Wolno, ciężko dnie płyną — ni chwili wytchnienia;
Głos: „Wstawaj na robotę!“ Budzi go z uśpienia
I nariadczyk, człek nawpół dziki, nawpół zwierzę,
Z złoczyńcami traktuje go w zarównej mierze.

  Czyż już końca tych cierpień nigdy nie doczeka?
Czy mu nigdy nie wrócą godrości człowieka?
Czy nie ujrzy już więcej ojczyzny dalekiej?
Czy tu przyjdzie mu zamknąć strudzone powieki?...
  Kiedy usta modlitwę wyszepcą poranną,
Myśl żali się na oną mękę nieustanną,
Buntując przeciw Temu, który bez litości
Da się znęcać nad ciałem, wolą Opatrzności.

  „Gdzież Twoja sprawiedliwość słynna, wielki Boże?
Kiedy innych poranne budzi ze snu zorze,

Aby przynieść im szczęście i życia rozkosze.
Mnie co k' Tobie pokorny głos co dnia zanoszę,
Łzy wyciskasz i karzesz trudem, poniżeniem,
Obiecując w nagrodę obdarzyć zbawieniem...
Dzięki Ci! Lecz mych cierpień przebrała się miara;
Gdyby nie miłość k' Tobie i gorąca wiara,
Byłbym już samobójstwem zakończył te troski;
Okaż więc Twą wszechmocność i majestat boski
I sprawiedliwość oną wielką, bo inaczej"...

Tu modlącemu głosy przerwały rozpaczy;
I staje przed nim poczet polskich męczenników,
Wołając:
„Dość tych bluźnierstw, złorzeczeń, okrzyków!
Czy ty jeden cierpiałeś za kraj? Zkąd masz prawo
Wygrażać Stwórcy, ręką samobójczą, krwawą?
Zkąd masz prawo sprzeciwiać się Jego wyrokom?
On losów tajnie tylko odsłania prorokom;
Żali wiesz, jaką przyszłość gotuje narodom?
Niedawno — któż przewodził tym śniegom i lodom?
Garstka ludzi wpół dzikich. Dziś spojrz w te obszary!
Zaludniają się coraz; już słychać świat pary,
Już życie wrzeć poczyna wśród jednostek wielu:
Żali myślisz że Stwórca co czyni bez celu?
Postępuj naszym śladem, nędzny buntowniku
Boś jednostka; a takich marnieje bez liku,
Aby zgotować przyszłość promienną ludzkości,
Którą Bóg w swej najwyższej obmyślił mądrości.

I upadł młodzian, korząc się z poddaniem, w skrusze,
A kiedyściś nadejdą, zabrać jego duszę,
Bez żadnych skaz żywota, jako łza przejrzystą,
Wolną od plam wszelakich, świetlaną i czystą,
By przyłączyć ją wreszcie do swojego grona.
Bóg ją wtedy przyciśnie z miłością do łona
I rzeknie, ukazując mu swą własną ranę:

„Wierzysz teraz w wyroki moje niezbadane?"

Wszystko kres ma na świecie, do którego dąży,
Ziemia także do chwili kresu swego krąży;
Najpiękniejsze idee jednostek — jak ludów,
Poparte niezliczonem pasmem ofiar, trudów,
Krwią niewinnych — przemocy wreszcie uledz muszą,
Wyczekując aż znowu kiedyś światem wzruszą,
Aż przyjdzie sposobniejsza chwila do działania;
Taki był również koniec polskiego powstania.

Nieszczęsna męczennica, w krwi własnej zbroczona,
Legła — sztandar wolności — krzyż — tuląc do łona,
W którem serce drga jeszcze — w niem — zbolałe dziatki
Pokładają swych przyszłych nadziei ostatki;
Czerpią zdrój sił żywotnych pod jarzmem niewoli,
Oczekując. aż lepszej blask im błyśnie doli.

Smutny koniec tych dziejów; Aż serce się kraje,
Myśli plączą się społem, — i słów nie dostaje...
Smutny koniec! Po chwilach — tak pełnych radości,
Po tylu poświęceniach dla wiary, wolności.
Próżno o pomstę niebios wołamy w rozpaczy,
Bóg teraz losów naszych snać nie przeinaczy;
A srodze na nasz naród musiał się zagniewać,
Widno, żeśmy niegodni w szczęśliwość opływać,
Która innym narodom dana po wsze ziemie;
Tułać się musim, jako Izraelskie plemię,
W kopalniach syberyjskich konać wśród męczarni,
Lub przystać dobrowolnie do carskiej owczarni.

I też same, ach sroższe, niźli wprzódy, pęta
Dźwigać musisz, o, Polsko! matko nasza święta!
Biedna, nadtoś chrześciańską rządziła się cnotą;
Wyzyskiwano ciebie, by później z sromotą
Patrzeć na twój upadek. Wassale, dłużnicy
Wzmocniwszy się na siłach, jako zbójcy dzicy,
Rzucili się na ciebie. Bezrząd wśród twych dzieci
Miasto postrach, jak wprzódy, chęć zysku w nich nieci.

Dwa lata przeminęły od tej smutnej chwili,
Którąśmy na początku pieśni umieścili.

Dwa lata — czas niedługi tym, co szczęście sprzyja,
Tym, co chwila po chwili wśród rozkoszy mija;
Lecz istota, podwójnym ciosem przygnębiona,
Na której ustach uśmiech nazawsze już skona,
Od łez wylanych wyschną, zmartwieją powieki.
Dla której świat utracił swój powab na wieki;
A młodociane niegdyś, pełne żądzy serce,
Powoli gasnąć pocznie, iskra po iskierce,
Której wszelkie nadzieje głaz zimny pokryje,
Dwóch lat jakże częstokroć nawet nie dożyje!
Zwiędnie, jako roślina, pozbawiona wody,
Zgaśnie, jako ptaszyna, łaknąca swobody.
Pomimo, że troskliwy rodzic, bezprzestannie
Czuwa przy bolejącej, ukochanej Hannie
I towarzystwem swojem, Janostwa i dziatek,
Pragnie życiu powrócić więdnący już kwiatek,
On schnie w oczach z dniem każdym, w podwójnej żałobie;
Codziennie na cmentarzu, modląc się przy grobie,
Zaledwie słońce wzejdzie, obok głazu klęczy;
Zda się jakby z kimś gwarzy — i wzdycha — i jęczy;
Przeminie godzin kilka zanim cmentarz rzuci —
I ku świątyni Pańskiej chwiejne kroki zwróci.
Wchodząc, wspiera ubogich, szczodrobliwą dłonią,
Klęcząc w ławce, gdy na mszę w kościele zadzwonią;
Potem zajdzie, wracając, pod ubogich strzechę.

„Dobrze“ mawiają ludzie; „znajdzie w tem pociechę;
Widać duszy potrzeba modlitwy i skruchy,
Dla nabrania sił nowych, do życia otuchy“.

Raz gdy na nią z obiadem czekają we dworze,
Nie nadchodzi.
„Na Boga! Cóżże to być może?“
Prezes śle sługi: przebóg! Na cmentarnym głazie
Widzą, klęczy; niestety! Po oczu wyrazie,
Po wybladłych policzkach — poznali, że zmarła;
Ręce obie na piersiach konwulsyjnie zwarła,
W nich tkwił krzyż — i medalion, z włosami Czesława;
Taż sama jej jak zwykle, klęcząca postawa,

Oczy wzniesione w górę — i uśmiech na twarzy,
Zdało się, że z aniołów otoczeniem gwarzy.
  Mówiono, że widziano na niebie gołąbki,
Co chwyciwszy się wzajem za skrzydełek rąbki,
Unosiły duszyczkę białą ku niebiosom.

  Wkrótce rodzic stroskany, takimż uległ losom —
I wiek jego podeszły — i starganie siły,
Po tym ostatnim ciosie długo nie starczyły:
W łożu przebolał resztę dni, pókąd ich stało,
Siostrzeńcom zapisawszy swą majętność całą;
Z warunkiem głównym, aby nie szczędzili trudu,
W kształceniu i oświacie wieśniaczego ludu.

  I płacze po nich, wierna przyjaciół drużyna:
Ksiądz Roch, proboszcz, pan Stefan, gdy zmarłych wspomina,
Janostwo wraz z dziatkami — i matka zgnębiona,
Tuląca martwe zwłoki do zimnego łona.
  Nieraz westchną za nimi wszyscy, co ich znali,
Możni sąsiedzi — również prostaczkowie mali;
A łzy szczere cenniejsze nad wieńce wawrzynu,
Trzeba im cichych zasług — niegłośnego czynu.

  Dwór niegdyś pełen życia, polskiej gościnności,
Długo opustoszały stał pośrodku włości,
Powierzony Agnieszki i Prota opiece —
I nikt go nie odwiedzał z obcych — tak dalece,
Że murawą zarosły ścieżyny i drogi.
Czasem Janostwo z dziećmi zajrzą w jego progi,
Dziedzicząc włość po swoim wuju, nieboszczyku;
Ale im tu boleśnie, wśród wspomnień bez liku;
Jan wysiadłszy, rozmawiać idzie z ekonomem,
Bronisława tymczasem Agnieszkę przed domem
Pyta o drób', o trzodę; nie wchodząc do dworu,
Aby sobie i dzieciom nie zepsuć humoru.
Pomimo to, bez płaczu nigdy nie odjedzie,
Bo gdy okiem gdziekolwiekbądź smutnem powiedzie,
Wszystko jej przypomina wuja i kuzynkę.

Przywozi razem z dziećmi najstarszą dziewczynkę,
Na którą to maleńką czarnowłosą Hanię,
Gdy spojrzy wierna sługa, tłumi w piersi łkanie
Tak dziwne podobieństwo jest onej pieszczoszki
Do swojej matki chrzestnej i ciotki nieboszczki;
Z nią kiedyś do Zażewa dawne życie wróci,
Tymczasem ptaszę smętną piosenkę zanuci,
Nad grobami umarłych — zawodząc żałośnie,
Płynie melodya czysta i dźwięczy rozgłośnie,
A echo w dali coraz to ciszej powtarza
Imiona śniących wiecznie pośrodku cmentarza.

SPIS RZECZY.